ZE WSPOMNIEŃ

ALEKSANDER SMACZNIŃSKI

TOM I

1903

ZE WSPOMNIEŃ

Aleksander Smaczniński.

ZE WSPOMNIEŃ

TOM I.

WARSZAWA
Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Апрѣля 1903 года.

ZE WSPOMNIEŃ.

— Panienko, piękna panienko, królewno złota, dajcie grosik; powróżę wam na dolę, na szczęście, na długie życie; dajcie grosik ubogiej cygance! Już ja niejednemu powiedziała takie rzeczy, o których tylko tam wiedzą, bo ja stara— znająca — cyganka z dziada pradziada. Dajcie grosik; zlitujcie się, panienko piękna!!

Temi słowy powitał dwoje ludzi młodych, wychodzących z gęstwiny na małą polankę leśną, piskliwy, zawodzący głos jakiegoś łachmanami okrytego widma, które nagle stanęło przed niemi w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewać mogli.

Ona dwudziesto letnia, piękna bardzo dziewczyna, on dwa lata może młodszy—rodzaj przejściowej męzkiej formy między

szkołą a uniwersytetem—wdzięczny niezmiernie wyrazem twarzy, układem całym i tym nadmiarem życia, który szuka przestrzeni i światła przed sobą, a obok siebie człowieka, żeby go do piersi przycisnąć. To rodzeństwo. Jak wydobędą się z tej polanki i przedrą ścieżyną przez modrzewiowy zagajnik, to z pierwszego zaraz wzgórza widać będzie podwójny dach ich domu ojcowskiego, zkąd wyszli przed kilku godzinami zaledwie. On czuje zbliżający się koniec wakacyj i radby jednej chwili niestracić, a ona...? ona, to jedna z tych sióstr starszych, które tylko na tej ziemi wyrastają; nie opuszcza brata w tych ostatnich godzinach pobytu w domu rodzicielskim, i liczy z niepokojem, ile tych godzin będzie jeszcze przed rozstaniem.

Przez czas, który przepędzili w lesie, roztasowało się tu obozowisko cygańskie. Dwa wozy płótnem kryte, obok nich odpoczywające trzy konie w pozłocistej uprzęży; na kilku wbitych w ziemię drągach rozpięta szatra, uczerniona wydobywającym się z pod niej dymem, kilka postaci odartych różnego wieku i płci, kil-

koro dzieci półnagich o cerze oliwkowej i głowach kędzierzawych, zresztą nieodstępna przenośna kuźnia dopełniała obrazu.

Nie było to widowisko obcem dla nich zupełnie, ale w takich warunkach nie spotkali się nigdy jeszcze z tymi nomadami. Jako dzieci, widywali ich w drodze, mijając zawsze pośpiesznie, a w podwórza dworskie nie wpuszczają u nas zazwyczaj tych ludzi, bo w ogóle złej, a przyznać trzeba, że zasłużonej sławy, używają cyganie. Więc tego rodzaju zetknięcia oko w oko doświadczyło oboje tych młodych ludzi po raz pierwszy dopiero; na nią oddziałało ono podobnie, jak zbliżenie się do wszystkiego, co szpetne i odpychające; on, mniej wybredny, nie doświadczał takiego wstrętu, a był przytem w jednem z takich usposobień, w których młody człowiek rad jest wszystko obejrzeć, wszystkiego posłuchać i zakosztować.

A cyganka tymczasem zawodziła swoim lamentującym głosem, powtarzając i te prośby natarczywe o datek, i narzucając wróżby swoje, tak, że nareszcie on w po-

łowie zjednany odezwał się do siostry w obcym języku:

— Pozwól jej, skoro ma taką ochotę wielką.

— Po co, mój drogi? O przywiązywaniu jakiejkolwiek wiary do tego wszystkiego, co ona powiedzieć może, wiesz sam, że niema mowy—z drugiej strony zabawne to także nie będzie, przytem spojrzyj, jaka okropna...

— Uprzedzasz się, kochanie, zwyczajnie Sybilla, a im straszniejsza, tem więcej w moich oczach ważności mieć może to, co ona wygłosi.

— Pozbądź jej się — daj cokolwiek, i chodźmy.

— A! nie można, w żaden sposób nie można—psuty zazwyczaj ustępnością siostry protestował młody chłopiec. Przypatrz się, jak ona na nas spogląda; wiesz, że mnie w tej chwili coś formalnie ciągnie do niej, a i ty niewątpliwie większą masz ochotę posłuchać wyroczni, niż okazujesz. Tak jest z pewnością, bo to będzie nawet trochę w twoim guście; uważajno: tajemnicze głębie nieznanej przyszłości... uchylenie rąbka zasłony pokrywającej

oczy śmiertelnych.., wiesz to przecie lepiej, niż ja, i wiele przytem innych rzeczy, tylko ci nijako przyznać się przedemną, bobyś trochę wyjść musiała z roli mentorki, ale co tam!... ten jeden raz— zrób to dla mnie...—I zwrócił się do cyganki:

— Owszem, owszem, powróżcie tej pani, bo ona schnie z ciekawości, tylko ma trochę strachu w tej chwili, ale jak jej powiecie, kiedy przez ten las przejeżdżać będzie królewicz w złocistej karecie, w którem miejscu złamie mu się koło u kolasy, i jakiego rycerza pośle z tą wiadomością do dworu, zobaczycie, jak wam podziękuje pięknie.

Pobłażliwy półuśmiech błąkał się po wdzięcznej twarzy młodej dziewczyny; dlaczegoby wreszcie temu ukochanemi psotnikowi nie miała pozwolić się zabawić swoim kosztem, to też bez oporu powierzyła mu rękę, którą on pochwycił, po części, aby przyśpieszyć to na co czekał, a głównie z obawy, żeby cyganka sama o czemś podobnem nie pomyślała. I roztwierając dłoń siostry, zapytał drwiąco:

— No, co tam słychać z tym królewiczem?

Nachyliła się wiedźma nad białą dłonią pięknej dziewczyny, potem spoglądała jej w oczy, to znów zdawała się w krzyżujące linie ręki wpatrywać, ale milczała—z wróżbą jej jakoś teraz śpieszno nie było. A gdy nareszcie młodemu niecierpliwcowi za długiem się wydało oczekiwanie—gdy raz jeszcze pytanie swoje ostatnie ponowił, zaczęła stara mówić powoli, ale głosem tak zmienionym, że się wzajemnie brat i siostra spojrzeli na siebie zdumieni, bo to istotnie nie ten sam był głos, co poprzednio—nie ten sam z pewnością, i jak gdyby nie z tej piersi wychodził.

— Niema... paniczu... niema królewicza... niema i nie będzie... chyba ty sam królewiczem jesteś... innego kochania, prócz twego, na świecie ona mieć nie będzie... nie mniszka a mniszka... nie święta a święta... młoda a z białymi włosami... Ej niedobre, panienko, nad kołyską gwiązdy świeciły tobie — niedobre!... I to wszystko takie niedalekie... a może wy oboje myślicie, że ja kłamię?... ej, nie kła-

mię ja, nie, bo jaby wolała dobrze wam powróżyć, bo wy oboje dzieci dobre i oboje nie krzywi temu, co nad wami... a to idzie na was niby chmura, daleka... idzie... ale teraz ta chmura czarna to tylko obłoczek mały, ale jak on urośnie i rozszaleje... ho... ho!... No, już więcej nic nie powiem, bo i żal... i nie wiele już do gadania... ta reszta, to już pusta, jak... kłos gradem wybity... nie... już nic więcej nie wiem!...

Nie można powiedzieć, żeby to co usłyszeli przeszło bez wrażenia, tylko na każdem z rodzeństwa odbiło się to inaczej. Ona teraz zamyśliła się bardziej, niż zwykle, on przeciwnie rozdrażniony i nie swój był jakiś. Czy istotnie podziałał na nerwowy temperament młodego chłopca ten enigmatyczny a ponury horoskop, czy tylko wyrzucał on sobie, że swoim uporem w siostrze niepotrzebny może niepokój obudził, dość, że niezadowolony był z siebie bardzo, i dla tego właśnie, aby się i jemu coś z tych wróżb dostało, wyciągnął w tej chwili rękę swoją ku cygance i tonem afektowanej trochę pewności siebie powiedział:

— No, kiedy już tak dobrze obmyśliliście wszystko dla tej panienki, niechże i ja dowiem się czegoś o sobie także.

— A co tobie paniczu powiedzieć — mówiła powoli cyganka nie spuszczając oczu z otwartej, a lekkie drżenie mimowolne zdradzającej, dłoni. Co tobie powiedzieć? Nie jednego dnia wy się rodzili, a pod jedną gwiazdą przyszli na świat oboje, tylko, że na nią wszystko złe od twojej strony pójdzie, a ona tobie... niby matka rodzona!... Ej, prędkiż ty prędki... ej jak ukrop gorący, jak płomień co pali...—jak w tym wichrze, co przed burzą naprzód pędzi, taka dusza w tobie... A żeby ty nie był taki, toby i tej chmury nad nią może nie było... bo i pewnie, żeby nie było... ale co tobie po tem, że ty wiedzieć będziesz, kiedy się to i tak stanie; co gwiazdy wam zapisały, to się spełnić musi... Już wy tak oboje po swój los pójdziecie.,. ni was ojciec obroni, ni matka rodzona wyprosi...

— A to mi się jakoś nie ostatnio zapowiada—z wysiłkiem dostrajając twarz do uśmiechu, mówił teraz sprawca zamieszania całego, ale kiedy już tak ma być

koniecznie, jak powiadasz, to wartoby przecie wiedzieć, jak się to odbędzie. No, jakże?

— Robaczek przyjdzie na ciebie taki marniutki i umorzy cię tak pewnie, jakby zwierz jaki ogromny...

— Robaczek, powiadasz?...

— Tak się to mówi, bo on, to niby robak swoją robotę robi, tylko... ale co tam!

— No, powiedz kobieto, kiedyś już zaczęła: co to za licho jest to, o którem takie dziwy opowiadasz: gdzie ono jest, jak go szukać i gdzie znaleźć?

— A ktoby tam jego szukał—toć to on człowieka szuka... oj szuka i znajdzie choć na skraju świata, a jak znajdzie, to i nie puści.

— Powiesz—nie powiesz?

— Ty sam, paniczu, powiesz sobie o nim, i to niedługo—dziś nawet, nim się spać położysz, gadać o nim będziesz i tyle się o niego zatroszczysz, co o tę muchę marną, a przecie to on, a nie kto inny ciebie pożre.

Zagadkowy zawsze jest i dwuznaczny sens wszelkiej wyroczni; wiedział o tem

młody chłopak i bardzo szybko stygnąć zaczęła twarz jego z chwilowego zainteresowania a niepokoju, tak że wkrótce oprócz przemijającego uczucia niezadowolenia, jakiego doświadczamy zazwyczaj ilekroć zdradzić nam przyjdzie jakąś słabą stronę charakteru naszego—oprócz tej jednej drobnej chmurki nie pozostało z wróżby starej cyganki ani śladu nawet.

W końcu rzucił jej jakiś pieniądz srebrny i pośpieszył z siostrą ku domowi, bo też i słońce szybko chylić się już zaczynało.

W domu zastali rodziców zajętych bardzo i poruszonych; szybko przygotowywano tam wszystko do jego wyjazdu, który się dzisiaj niespodzianie a stanowczo rozstrzygnął. Nadeszły z poczty potrzebne papiery i dokumenty, a wraz z nimi i wiadomości o wcześniejszem, niż przewidywano, otwarciu kursów. Wyjazd ten zdecydowany i postanowiony był dawno, ale była to, o ile się zdawało, kwestja paru jakichś tygodni jeszcze, tymczasem wedle tego o czem zawiadomiono, nawet dwudziestu czterech godzin na zwłokę nie pozostawało.

Jest coś brutalnego w takiem niespodzianem przyśpieszeniu spraw koniecznych, a wedle pragnień serca odkładanych z dnia na dzień—coś niby dotknięcie ręki losu. Wiedzą to matki wszystkie, i dla nich taki rozdział jest zawsze tragedją niewątpliwą. Oddają wtedy światu to, co w tej chwili staje się jego własnością niepodzielną, a co one biedne za swoją własność przyzwyczaiły się uważać.

Tak było i w tym domu. Matka od kilku godzin biegała z miejsca w miejsce, gromadziła, przygotowywała wszystko do tej podróży dalekiej, ale chwilami stawała w niemocy bezradnej, i ręce drżały jej wzruszeniem, a usta bezwiednie szeptały słowa modlitwy. Później te urywane rozmowy—spoczynek przymusowy przy wspólnym stole, tak wesołym jeszcze wczoraj, podczas którego wszyscy dzisiaj badają się tylko wzajemnie—zalecenia ostrożności i pamięci na zdrowie, i owa ostatnia wyszeptana macierzyńska prośba o pacierz wieczorny, i ten na szyi zawieszony medalik Matki Bożej... Niezapomniane, niezrównanego uroku ale i smutku niezrównanego są te chwile

w rodzinach; smutne temu, kto je ma daleko po za sobą, czy jednak raźniej takiemu, który ich w życiu nie miał wcale— niewiadomo.

Kiedy już wszystko, pozornie przynajmniej, ucichło w starym wiejskim dworku, do mieszkania młodego chłopca, który teraz szerokimi krokami pokój przemierzał, weszła siostra.

— Odjeżdżasz, braciszku, — mówiła zatrzymując w swoich dłoniach jego rękę pałającą, podczas gdy mu miejsce obok siebie wskazywała,—odjeżdżasz, a czy rozumiesz ty, jaką pustkę i tęsknotę zostawiasz po sobie?

— Nie rozumiem — odpowiedział po krótkim namyśle, — doprawdy nie rozumiem. Pustki być nie może i nie powinno, bośmy się z tą myślą czas mieli oswoić wszyscy. Zresztą, każde z was przekonane jest, czem pozostanie dla mnie, a najlepiej o tem powinnaś wiedzieć ty. Zrozumiej nadewszystko mnie, takim, jakim jestem. Ja o was ciągle myśleć będę, ale nie mogę się pozbawiać energji potrzebnej, rozdrażniając w sobie chorobliwie stronę uczuciową; a w końcu czyż ty nie znasz moich pragnień — czy

nie wiesz, że ja ich wszystkich pod tym dachem uwięzić nie mogę. Tyle razy mówiliśmy o tem z sobą i zgadzaliśmy się zupełnie.

— To prawda, ale widzisz, pragnienia pragnieniami, a tęsknota za swoimi tęsknotą... milczysz... nie zdaje ci się to?

— Wyznaję, że tęsknota to uczucie obce mi zupełnie; kochać mogę i umiem, ale tęsknić nie potrafiłbym. To już na to trzeba jakiejś pustki duchowej, upadku na siłach, jakiegoś zniemożenia... nie rozumiem i nie zrozumiem.

— Tak ci się zdaje—i chciała mówić dalej, ale naraz pobladła, jak gdyby jej się coś nagle przypomniało, i, ucałowawszy brata serdecznie a rzuciwszy mu krótkie „do jutra“, wyszła śpiesznie do siebie. Idąc, powtarzała tylko machinalnie:— Czyżby ona o tem mówiła, czyżby to być mogło to... a to byłoby straszne!...

Kiedy w godzinę potem raz jeszcze weszła ze światłem do jegu pokoju, zastała tę piękną, ukochaną głowę uśpioną tak spokojnie; on uśmiechał się do snów swoich młodzieńczych, a ona stała nad nim, i łzy spływały jej po twarzy.

* * *

Zamieć śnieżna na dworze, wicher śpiewa pieśń swoją żałosną, a tam w starym wiejskim dworku w głębi pokoju oświetlonego mdłym odblaskiem zielonej lampy, jakaś postać kobieca z głową w dłoniach, siedzi zagłębiona w czytaniu. Od rana samego tak ona się wpatruje w to pismo. Szczególne tam jakieś być muszą wiadomości, a może dlatego tylko po tylekroć do nich powraca, że one dzisiaj światem dla niej całym.

Blizcy będziemy prawdy, jeśli przy ostatniem przypuszczeniu pozostać zechcemy. Gdyby się tak dobrze rysom tej twarzy przypatrzeć, możeby nam one przypomniały piękną kobietę w pełni sił, wdzięku i ochoty do życia, z którą spotkaliśmy się przed dwoma laty, gdy jej cyganka w obecności brata przyszłość przepowiadała.

Albo to było dziełem przypadku tylko, albo dobrze znała rzecz swoją stara wróżbitka. Krakała dziewczęciu nieszczęścia i ziściły się jej słowa niestety, bo dzisiaj ona sama stróżem tego sierocego progu

i tych dwóch mogił rodzicielskich na blizkim cmentarzu. Nie pytajmy ją o jej losy. Ma pomyślność swoją pychę i ta jej się spowiadać nie pozwala, ale ma i nieszczęście swoją wstydliwą dumę, która ran serca oczom ludzkim okazać nie rada. Spojrzyjmy w te litery, które przed nią leżą; może one nam rzucą jakie światło na dwa ostatnie lata jej życia. To list brata; posłuchajmy tego listu.

„Stało się zadość woli twojej, kochana siostrzyczko, teraz, jak zawsze. Żeby odzyskać równowagę, pogodzić się z życiem, żeby jednem słowem, jak to ty powiadasz, być człowiekiem, jak inni zacząłem pracować i pracuję. Zadowolenia daje mi to o tyle, o ile przez to nie zadłużam się względem ciebie bardziej jeszcze, ale żebym miał przez oddanie się temu przedmiotowi spełnić domniemaną wolę naszego ojca, tego, daruj siostro moja, wewnętrzne przekonanie nie powiada mi wcale.

„Tybyś chciała, biedaczko moja, żebym ja się oddał z zapałem nauce prawa, bo pewną jesteś, żebym przez to zahaczył się o coś w życiu, czego mi nie do-

staje, i podniecasz mnie tem przypomnieniem, że tę właśnie, a nie inną karyerę przeznaczał mi ojciec.

„A jednak ty, pomimo że kobietą jesteś, powinnabyś zrozumieć, jak małego znaczenia stało się—to wszystko, co projektowaliśmy i obmyślali przedtem — ze względu, że nasze dzisiaj takie małe, biedne, bez treści. Takiem życiem, do jakiego ja się przygotowywałem niegdyś, darzy los wybranych swoich tylko, a wiesz przecie, że do ich liczby my nie należymy.

„Niech cię to wszystko, co powiedziałem, nie naprowadza jednak na myśl, że zamierzam rzucić jutro to, co zacząłem wczoraj zaledwie. Nie — broń Boże! tego się nie spodziewaj, bo ja robić będę wszystko, co tobie po myśli, tylko duszy w tonie włożę, bo mi jej tutaj połowa do szczęścia nie została. Taki ja przewidujący nie byłem, żebym się po gospodarsku moimi skarbami dzielił; owszem, wyekspensowałem się, jak rozrzutnik i marnotrawca, a ostatecznie niech mię Bóg sądzi takiego, jakim jestem, bo i na obronę swoją nic więcej nie mam do powiedzenia.

„Ale jeśli w tym okruchu, jaki ze mnie pozostał, pokutuje jeszcze iskierka jaka, to ty ją jedna podtrzymać możesz, i ja ci z całą szczerością powiem, w jaki sposób.

„Nie pisuj do mnie przedewszystkiem listów takich, jakie pisujesz—nie wypełniaj ich mną i wszystkiem co mnie dotyczy, bo ja się tem wcale nie interesuję sam; tą drogą we mnie zmarłej ochoty do życia z pewnością nie wskrzesisz. A jeśli po tem, co dla mnie zrobiłaś, wolno mi czegokolwiek żądać od ciebie—to posłuchaj.

„Ty, widać, nie wiesz, jak skłonne do podejrzeń i obaw są umysły takie, jak mój; musisz chyba nie wiedzieć, bobyś mi takich oczywiście wymijających odpowiedzi na większą część pytań moich nie dawała. W listach twoich zawsze coś jest ukrytego, pominiętego, albo przechodzisz pobieżnie nad tem, co mnie najbardziej interesuje. Wszak taka kobieta, jak ty, powinna rozumieć, czem są szczegóły dla człowieka w mojem położeniu, a ty mi ich tak skąpisz wyraźnie. Taki w liście twoim brak faktów, takie one nie obrazowe; ja z nich nie mogę sobie wytworzyć pojęcia o tem, co ciebie otacza; czasem myślę, że się

wszystko pod ziemię zapadło, a ty mnie umiejętnie mistyfikujesz tylko.

„Już w kilku listach prosiłem cię, żebyś mi opisała tę aleję kasztanową, którą ojciec sadził ostatniej wiosny. Odpowiedziałaś mi krótko, że podrosła znacznie. Zlituj się, toż on przy każdem z tych drzew myślał o nas obojgu—tam jego dusza błądzi każdej nocy gwiaździstej, a ty mię tak pozbywasz, że ja się tam w żaden sposób myślą przenieść nie mogę. Opisz—ty to umiesz, ty albo nikt. A ona może wyschła zupełnie? powiedz siostrzyczko prawdę.

„Dlaczego kochanie moje tak stanowczo obstajesz przy tem, że cyprys nie zimuje w gruncie w naszym klimacie. To nie jest przecie przeszkodą żadną. Mogą sobie te cyprysy przez zimę być w wazonach w mieszkaniu, a z wiosną przenosiłoby się je tam... Wszak wiesz, jak matka zawsze mówiła o tem; toby jednak było okropne, żebyśmy nic już więcej dla niej nie mogąc, tego jeszcze mieli jej odmówić.

„A widzisz, ja przy każdej modlitwie za jej duszę myślę o tych cyprysach.

„Mój Boże, coby to było łatwiejszego tobie, jak wyrysować to wszystko; prześlij mi taką karteczkę, ale wierną, bo ja ją zaraz przeczuję, a zobaczysz, jak mię ona podeprze i sił doda.

„Mnie potrafisz dawać rady, ale sama nie umiesz ty chyba trzeźwić się, jak należy, i sił swoich podtrzymywać. Wszak ja nie zapomniałem, ile to serca włożyłaś ty w swoim czasie w tę szkółkę twoją, a teraz milczysz o niej, uporczywie milczysz. Przychodzi mi czasem na myśl, żeś ty może porzuciła tę pracę, z braku czasu—może ochoty. Wierzaj mi, to nie byłoby dobrze; dobrowolnie robiłabyś pustynię dokoła siebie.

„Od czasu do czasu tylko i to na kilkakrotne pytania moje, wrzucisz mi tam w list słówko jakie o którym ze służących naszych. Wiesz, że coraz mniej to rozumiem, a żeby ci całą prawdę powiedzieć, coraz więcej mię to niepokoi. Przecież nie wymarli i oni także, a że nie opuścili cię w sieroctwie twojem, tego stanowczo pewny jestem. Zkądżeby znowu! Stare sługi naszego domu, to przecie niepodobne do prawdy. A może

ty przestałaś być taką dla nich po macierzyńsku przewidującą, jak była matka, a taką hojną jak ojciec. Toby źle było, siostrzyczko, źle bardzo.

„Nie gniewaj się na mnie, ale czasem przychodzi mi do głowy, że ty oszczędzasz — może skąpisz, broń Boże, sobie i im, bo mnie zbyt często nasyłasz pieniędzmi. Nie czyń tego, bo ja i tak nie wiem, co z niemi robić. Ludziom nie mogę służyć, bo mnie stan mego ducha zdala od nich trzyma, sam mam dwa razy więcej, niż potrzebuję. Jeśli wejdę znowu kiedy w życie, to mi uciechy jego drogi nie utorują i bram nie otworzą. Z pewnością, nie.

„Te zimowe wieczory takie długie na wsi; na brak czasu do pisania skarżyć się nie powinnaś. Pisz, a pisz o tem wszystkiem, o co ja pytam i proszę.

X“

Tak to wygląda życie, kiedy go się zdala domyślamy tylko. Ta, która pomijała milczeniem wiele spraw, dobrze wiedziała, dlaczego to robiła, ale obrońże się tu przed natrętnikiem takim. Na każ-

de z zapytań jego, odpowiedź zgodna z rzeczywistością, musiałaby gorszą być od wszelkich jego uwidzeń i przypuszczeń, a on z drugiej strony miał domyślność tak wyostrzoną, że go w błędzie i nieświadomości długo utrzymywać było nie można.

Charakter listów ulegał też zmianie powolnie z jednej i z drugiej strony; ona coraz mniej dawała tych szczegółów, których tak chciwym był jeszcze niedawno— on coraz rzadziej pytał.

Wyraźnie sąd własny wyrobił sobie powoli o tem co tam było i jak było.

W pół roku po tym liście, który przytoczyliśmy, odebrała jeden dziwny, szczególny — nie powiemy jednak żeby niespodziewany.

Pisał z Oranu. Ona oddawna oczekiwała jakiegoś w tym rodzaju postanowienia.

„Siostro moja kochana, nie miej żalu do mnie. Nie mogłem. Bóg nie chciał zdjąć z duszy mojej jaskółczego niepokoju i uciekłem ztąd przed ludźmi, przed tem co było dokoła mnie i za mną—

w gruncie rzeczy może przed sobą samym. Nie sądź mnie zbyt surowo, a jak nie będziesz mogła przebaczyć niewdzięcznikowi, to może wstawi się za nim Jędrzej stary".

Przyszło jeszcze kilka takich, a w końcu jeden z Paryża znowu; kilka w nim tylko było wyrazów:

„Na krótki czas dam ci uwolnienie od służby twojej. Może to już i pora będzie na przyjazd do mnie."

I na to czekała także od dosyć dawna.

W Paryżu nie zastała go w mieszkaniu. Powiedziano jej, że przeniesiono go do Val-de-Grace. Za chwilę znalazła się i tam!

Lekarz intern objaśnił ją o stanie zdrowia z niefrasobliwością rzemiosłową. Mówił, że to powinno zakończyć się pomyślnie, bo organizm jest młody i niezużyty. Trochę hipochondryczny temperament, wyobraźnia podniecona wprawdzie w dosyć wysokim stopniu, ale byle się

nim zająć, wynajdywać umiejętnie rozrywki, złe powinno ustąpić. Mówił, że interesuje go pacyent, który jest w każdym razie indywidualnością „bien remarquable“.

Potok ogólników takich przerwało wejście siostry miłosierdzia.

Ta miała widać swoje własne zdanie o chorobie, bardzo różne od dyagnozy lekarskiej, bo skoro tylko dowiedziała się, do kogo przybywa odwiedzająca, zwróciła się do niej z zapytaniem, czy nie wie nic o siostrze, na którą chory ciągle oczekuje, i o którą pyta niecierpliwie.

— Ja jestem siostrą.

Wyraz zdziwienia na twarzy szarytki dobitnie świadczył, jakie odmienne wyobrażenie wyrobiła sobie o tej siostrze, o której, jako powiernica chorego słyszała ciągle.

— Lepiej może będzie—zapytała nieśmiało a z delikatnością i przewidywaniem kobiet jej profesji,—lepiej może będzie, jeśli uprzedzę o przybyciu pani... nie bierz mi za złe dziecko moje — dodała, przechodząc w ton opiekuńczy i macierzyński,—ale on nie spodziewa się cie-

bie takiej, jaką jesteś. Mogłoby to bardzo oddziałać na niego. Panie, zlituj się nad nim i nad tobą!

Po chwili wróciła, wzruszona bardzo; prowadząc przybyłą, ciągle trzymała w swoich rękach zimną i drżącą rękę tamtej, i szeptała, jakby do siebie, jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Mogła mówić wreszcie cokolwiekbądź— wszystko to było jedno. Alboż tacy, którzy idą na ostatnie pożegnanie, słyszą i widzą.

Leżał tam również blady, jak to płótno pościeli, wodził czas jakiś oczyma po obu kobietach, a wreszcie wyszeptał, jakby do siebie:

— Złudzenie gorączkowe czy rzeczywistość? Czyż to może być ona?

A po chwili:

— Prawda! zapomniałem: Nie mniszka, a mniszka... nie święta a święta... młoda a z białymi włosami. Powinienbym się był domyśleć. Przemów do mnie jednak — inaczej nie odczuję obecności twojej.

Podniósł się na poduszkach, odwrócił uchem i łowił te dźwięki, niby echo

czasów bezpowrotnie za nim zapadłych. Łzy płynęły mu po twarzy, a w końcu zapytał jej:

— Dlaczego się tym głosem nie skarżyłaś Bogu o dolę naszą? Byłby cię wysłuchał; byłby musiał wysłuchać. Już przestajesz mówić?...

Ona, zdobywając się na wysiłek, mówiła, ale on nie zdawał sobie sprawy żadnej z tego, co słyszał; on tylko się pieścił tym głosem ukochanym, który na lata całe zamilknął dla niego. Kiedy przestała, on niby odpowiadając myśli własnej a pozbywając się tego, co przez lata taił w sobie, powtarzał gorączkowo:

— Wejdzie ci taki robak do serca i toczy cię, póki serca nie stoczy. Broniłem się, a nie obroniłem.

Ciągle powracał do tego robaka. Już mu ani tego dnia ani przez dwa następne, nie powróciła zupełna przytomność. Ostatnie wyrazy jakie do siostry powiedział były:

— Zabierz mnie ztąd, zlituj się, zabierz!

* * *

Oczywiście, że zabrała. Spoczywa teraz spokojny, cichy, obstawiony dokoła tymi cyprysami, o które prosił dla matki swojej.

Dziś jeszcze widują tam miejscowi zimą i latem o jednej godzinie idącą ku cmentarzowi staruszkę przygarbioną, białowłosą....

A jednak tak bardzo starą ona nie jest.

SMUTNE ALE PRAWDZIWE.

Było to w roku 187... tym którymś.

Wracałem z uzdrowisk Galicyjskich, a że wracałem nietylko nieuzdrowiony, ale owszem wiozłem w domowe progi wszystkie moje chorobowe symptomaty spotęgowane i zaostrzone, więc nie dziw, że byłem chmurny i rozstrojony.

Podwyższało takie żółciowe usposobienie moje sporo jeszcze względów ubocznych, o których dla wierności opowiadania mam sobie za obowiązek napomknąć cokolwiek, pomimo, że reszta miłości własnej, jaką mi czas pozostawił, stanowczo się przeciw tym wyznaniom oświadcza.

Przejmujący, górski chłód jesienny prowadził mnie i towarzystwo moje od samego Nowego Sącza aż do Tarnowa, w którem to mieście niewyspany, bo zbudzony przedwcześnie i do niezliczonych po-

sług zaprzągnięty, wzdychałem szczerze do chwili, gdy wreszcie zdołam w wagonie rozsiąść się i szarym myślom moim dać folgę.

Jakie były te myśli, odgadnie każdy, kto w mojem położeniu postawić się zechce. Miałem podówczas lat blizko czterdzieści, w tem żywota małżeńskiego pięć z okładem, a dziatek tyle, ile lat pożycia z najlepszą, choć nie pod każdym względem wyrozumiałą małżonką. A tu, jeśli już o całkowicie szczerą rewelacją chodzi, wlokłem tym razem pod dach rodzinny nietylko zdrowie pogorszone, ale i wspomnienia kąpielowe, może być, że na wiek mój i pozycyą dosyć nawet żywe; właśnie dlatego z epizodów owych nietylko nie zamierzałem robić użytku przed niecierpliwie oczekującą Penelopą moją, lecz niepokoiło mnie przypuszczenie samo, iż z nich uboczną drogą cokolwiek do niej dojść może.

Niech co chce będzie, jarzmo jest jarzmem, prohibicya prohibicyą, a powab owocu zakazanego pewnikiem żadnej wątpliwości nie podlegającym.

A tymczasem każdy, komu nie przestaje majaczeć we wspomnieniach jego epoka niepowrotnie utraconej swobody osobistej, każdy taki z pewnością okaże się pobłażliwym w sądzie o człowieku, który po pięcioletniej rekluzji dał się uwieść jakiejś małej dystrakcyi, zwłaszcza, gdy i w tem zboczeniu nawet na uwzględnienie zasługuje intencya rozerwania się, odmłodzenia, a więc cel z dobrem rodziny najściślej związany.

Najtrudniejsze wypowiedziałem; reszta to akcesorya tylko.

Jechałem w towarzystwie kobiecem, w którem o tyle było mi na tę chwilę niewesoło, że był to mój dzień ostatni, że z dniem tym zakończyć się miały moje, jak je poeta nazywa: jucunda oblivia vitae.

Ostatnie godziny w Tarnowie należały do pracowitszych. Wypróbowana uczynność moja obarczyła mię całym mozołem kupowania biletów, ekspedyowania bagaży i układów z konduktorem, których mocą miał on ósme w kompartymencie miejsce pozostawić niezajętem, co na linji Lwowsko-Krakowskiej, miano-

wicie w czasie tłumnego odlotu kąpielowego ptactwa, do łatwych zadań wcale nie należy.

Skoro już mowa o zabezpieczeniu się przed owym ósmym ewentualnym podróżnym, wypada koniecznie objaśnić, z kogo się to gronko siedmiorga osób składało. A więc najprzód z opowiadającego fakt, następnie z pani N., osoby mniej więcej pięćdziesięcioletniej, doskonałego zdrowia i takiegoż humoru, która na zasadzie, iż matkowała dwóm milutkim panienkom należącym do naszego kółka i przez nie ciocią nazywaną była, używała tego tytułu i od reszty towarzystwa, mnie nawet nie wyjmując. Dalej, z dwóch niezamężnych do kąpielowej karjery aspirantek, a nakoniec z dwudziestopięcioletniej uroczej, jasnowłosej seperatki, od której nie wiem czy się w tej enumeracyi dostatecznie odgrodziłem, aby mię podejrzliwy czytelnik nie mógł posądzić, iż ona właśnie była osobą posiadającą na mnie wpływ większy, niż reszta członków tego niewieściego zgromadzenia.

Jeżeli, jak to już wspomniałem, ostatnie godziny w Tarnowie miałem pracowite, to kwadranse przed odejściem pociągu na dworcu i na peronie spędzone były w całem znaczeniu tego słowa nieznośne.

Wyjątkowe ożywienie zawdzięczało towarzystwo okolicznościom niezwykłym. Jedna z aktualnych siostrzenic pani N. tak zgubnie wpłynęła na siłę męzkich postanowień jakiegoś galicyjskiego dyplomowanego inżeniera, iż tenże wbrew głoszonym w najbliższem otoczeniu swojem maksymom, nietylko kres dotychczasowemu celibatowi położyć zamierzył, ale nadto do tyla się zagalopował, iż nie czekając nawet na wyjaśnienia dotyczące tak zawodnego często kąpielowego splendoru, formalnie się zaangażował, innemi słowy mówiąc—oświadczył. Jak wiadomo, jest ewenement taki przyczyną podniesienia się w gronie niewieściem nastroju o jakieś kilka stopni, choćby to grono składało się nietylko z samych zwolenniczek stanu małżeńskiego, ale gdyby w niem znajdowała się część jakaś emancypantek, pewna ilość zwolenniczek wyjarzmienia

kobiety od ohydnej męzkiej przemocy, a nawet jedna choćby, z przeproszeniem... feministka. Małżeństwo jest, bądźcobądź, małżeństwem.

Jechaliśmy tedy, jak się wyżej rzekło, w temperaturze podniesionej, i oto, gdy przy ostatkich pożegnaniach w Krynicy sądzili wszyscy, że bez nowych przynajmniej wzruszeń do Tarnowa dobić się będzie można, zostaliśmy w małem, na drodze leżącem miasteczku Ciężkowicach, przez namiętnego inżeniera dopędzeni, który, jak się pokazuje nie ocenił całej grozy rozłąki, skoro swojemu bóstwu do Warszawy jechać pozwolił, a sam na miejscu w Krynicy czas jakiś jeszcze pozostać zamierzył.

Gonił w towarzystwie dwóch przyjaciół swoich, a że gonił szczerze, więc dogonił, a zatem nowa serya wzruszeń, rozumie się—dodatnich, inne rozmieszczenie towarzystwa w powozach, na której to dyzlokacyi i ja nawiasem mówiąc, stratny nie byłem, a najlepszym na to dowodem, iż po tylu latach taki nicnieznaczący wypadek w podróży pamięć moja zatrzymała jednak.

Miałem ja różne pobudki niechęci do tych wszystkich młodzików, a jedną z nich, pominąwszy już uczucie zazdrości, była ta okoliczność, iż się żaden z nich do obowiązku czynnej posługi nie poczuwał, a przeciwnie, gdy szło o trudy i zachody, na mnie, jak na konia roboczego, spoglądał. Mnogość drobiazgów, która najpiękniejszą choćby kobietę robi w podróży tak uciążliwą, zwiększyła się tutaj o całą masę bukietów nietylko zabranych z Krynicy, ale i sporządzonych w Tarnowie, którymi zakochanemu i jego towarzyszom wszystkie damy, ciotki nie wyłączając, zarzucić się podobało, o których jednak pamięć i staranie, na mocy wyjątkowego zaufania jakiego używałem, mnie tylko jednemu powierzoną była.

Nakoniec ruszyliśmy z tego Tarnowa. Znowu tedy uśmiechy, szepty, między tem wszystkiem westchnienia, a nawet nie mógłbym zaręczyć, ażali u pięknej narzeczonej, która poprzez otwarte okna wagonu zaryzykowała kilka nader wdzięcznych ruchów batystowej chusteczki, ażali u niej jednej nie było czegoś podobnego do onych oznak wzruszenia,

które poeci z perłami, kroplami rosy i innemi tego rodzaju biżuteryami porównywać zwykli. Pociąg posuwał się zwolna w kierunku Krakowa, ja czułem się coraz bardziej chmurny i nastrojem towarzystwa znudzony, one zajęte, jak widać, myślami, każda o czem innem, czy o kim innym. Było takiego milczenia już przez dwie może stacye, gdy na przystanku jakimś wiarołomca konduktor, u którego wrażenia tego rodzaju, jak przyjęcie odemnie naprzykład dwóch półguldenowych sztuk monety, szybko widać zacierały się w pamięci, z całą zamaszystością nasz przedział na rozcież otworzył i równocześnie prawie usłyszeliśmy: „proszę siadać“, zatrzaśnięcie drzwiczek, a wraz z tem ujrzeli przed sobą osobnika płci męzkiej, który w tej chwili zdawał się tem tylko być zajęty, jak utrzymać równowagę, jak nikogo nie udepnąć, i jak sobie wynaleźć lokacyą.

Uwaga powszechna zwróciła się teraz na tę osobistość tak niespodzianie narzuconą, która dlatego właśnie, że narzucona, powitaną została powściągliwym, ale niedwuznacznym objawem zbiorowej nie-

chęci. Był to mężczyzna lat trzydziestu, może cokolwiek starszy, wysoki, przystojny bardzo i, jak to odrazu nam udowodnił, wcale nieprzystępny uczuciu ambarasu, w którymby ktoś inny na jego miejscu z pewnością się był znalazł.

O ile wnioskować mogłem, a obserwowałem go bardzo starannie, pochwycił on w lot stopień przychylności ogólnej, i zamiast bąkać jakieś do okoliczności zastosowane usprawiedliwienia, na swoją rękę rekognoskował nieprzyjaciela. Przegląd ten odbył nadzwyczaj szybko, a że twarz miał wyrazistą, oczy mówiące, więc całe odebrane wrażenie wyczytać niemal można było z jego rysów i gestów. Co do siebie przynajmniej, zdawało mi się, że odgaduję myśl jego w zupełności, kiedy skończywszy oględziny wzrok swój przez chwilę na mnie zatrzymał, a jakkolwiek nie bardzo to dla mnie pochlebne, przekonany byłem wtedy najmocniej, iż zadał on sobie odnośnie do mojej osoby takie mniej więcej pytanie: „Jakie znaczenie ma taki safanduła w towarzystwie tych ładnych kobiet?“

Wszystko to nie trwało dłużej nad parę sekund, a że przez ten czas nikt się nie usuwał, nikt mu miejsca nie robił, co prawdę rzekłszy, nie było bardzo grzecznie z naszej strony, pośpieszył on przekonać nas, że jest człowiekiem prędkich i trafnych postanowień. Obrachowawszy widać, że miejsce, gdzie ja ulokowałem wszystkie bukiety, jest ósmem, a przeto bezspornie jemu przynależnem, zwrócił się do pani N., w której odrazu odgadł przewodniczkę, i z lekkim odcieniem ironji w głosie, wskazując na kwiaty odezwał się:

— Pozwoli pani, że zajmę się uporządkowaniem tych trofeów.

Niezupełnie przychylne kiwnięcie głową ze strony cioci i jednomyślne prawie zwrócenie wszystkich czarnych, szarych i niebieskich spojrzeń w stronę przeciwną, były odpowiedzią jedyną.

Że to wszystko bynajmniej na niego onieśmielająco niedziałało, mieliśmy dowód natychmiastowy w energicznem wykonaniu zmian zapowiedzianych. Z wszelką możliwą w takich razach względnością zbierał porozrzucane tu i owdzie

w siatkach po nad głowami naszemi: koszyczki, plaidy, parasolki, etc., a ułożywszy je w pewien ład i zyskawszy przez to sporo miejsca, przeniósł tamże wszystkie tak zwane przez siebie trofea, a nakrywszy je w dodatku zdjętym z własnej głowy kapeluszem, odezwał się tym razem do mnie tonem wcale nieukrywanej złośliwej intencji:

— Oto czego dokazać może dobrze zrozumiana zasada wzajemnych ustępstw.

Czując, że zachowanie nasze tak zupełnie wolne od zarzutu nie jest, a i dla tego także, że imponował mi potrochu ten człowiek, zdobyłem się i ja na jakiś potakująco uprzejmy uśmieszek, w którym starałem się umieścić i usprawiedliwienie nasze uznanie dla jego przedsiębierczości, i na tem zakończyły się preludya znajomości naszej.

Milcząc dojechaliśmy do Bochni, ale tutaj oczekiwało nietylko na nas, ale i na pasażerów całego wogóle pociągu, wrażenie nader przykre. Zaledwie bowiem zatrzymaliśmy się na stacji, doleciał naszych uszu najpierw jeden wykrzyknik: „Nie żyje!“ następnie coraz częściej przez

gromadzącą się publiczność i wysiadających podróżnych powtarzamy ten sam smutny wyraz, a wszystko razem połączone z bieganiną służby kolejowej, rozpytywaniem się o lekarza, zapewniało, że niewątpliwie zajść musiał jakiś wypadek nagłej śmierci w pociągu, którym jechaliśmy.

Zaciekawienie wzrastało i w naszym przedziale, boć przecież pojmuje czytelnik, że tam gdzie na ośm dusz chrześcijańskich, dwie tylko ziemską powłokę męzką za siedlisko sobie obrały, inaczej być nie mogło. Wraz z zainteresowaniem się takiem, kierować się poczęły w moją stronę wszystkie błagalne spojrzenia, którym, gdybym nawet zbiorowo wziętym decydującą przeszkodę pierwszego dzwonka przełożyć zamierzył, musiałbym tego środka obrony zaniechać, usłyszawszy wymówione imię moje z tą poufałą intonacją, która teraz, podobnie jak zawsze, podziałać na mnie nie omieszkała ze skutecznością miny prochowej.

— Panie Janie! Proszę bardzo dowiedzieć się co to za wypadek. Panie

Janie... proszę... bardzo proszę... Nulla redemptio!

Trzeba było biedz i szukać wyjaśnień.

Gorliwie, choć pospiesznie na prawo i lewo zadawane zapytania pozwoliły mi złożyć w pewną całość pochwytane tu i owdzie wiadomości; jakoż doszedłem, iż rzecz tak się miała mniej więcej.

Jakiś młody, bo dwudziestokilkoletni człowiek, usprawiedliwiając trafną ocenę lekarzy zdrojowych, którzy wmówiwszy w niego cudowne skutki tegorocznej kuracji w Szczawnicy, niedawniej jak dwa dni przedtem ostrzegali go, żeby na przyszły rok przybyć nie zaniedbał, — jakiś taki jeden dokonał właśnie w wagonie smutnego żywota, na który w ostatnich kilku latach składały się już same prawie tylko konsultacje, osłuchiwania, perkussye, a po nich podróże do tych, albo innych tak nazywanych uzdrowisk albo kurortów.

Zanim usłyszałem trzeci dzwonek i wraz z nim gniewny okrzyk konduktora: „Proszę siadać“!“, zdołałem z domyślnością prawdziwie reporterską dokompletować sobie moich informacyj kilkoma szczegółami, które już biegnąc, a nawet

wskakując do wagonu, porządkowałem w pewien ład, niezapominając dla relacji mojej o kolorycie dramatycznym, na którym smutnemu wydarzeniu istotnie nie zbywało.

Zmarły, bo zmarłym był rzeczywiście ten, o którego chodziło, powracał do domu w towarzystwie brata i uarzeczonej. Czuł się on wczoraj jeszcze, a nawet i w tym dniu zupełnie, jak powiadano, dobrze, jechał z najlepszą otuchą, którą otaczający, na lekarskich gruntując się zapewnieniach, zupełnie podzielali, aż oto na kilka wiorst przed Bochnią, zrobiło mu się trochę słabo, a zanim się pociąg na stacji zatrzymał, zrobiło mu się zupełnie dobrze, czyli mówiąc innemi słowy— umarł. Nieformalnie, nielegalnie, wbrew zasadom sztuki, ale umarł tak doskonale i nieodwołalnie, jak gdyby mu cały fakultet pasport był zawizował.

Po zabraniu miejsca i niezbędnem wysapaniu się, przystąpiłem do sprawozdania, łowionego chciwem uchem wszystkich słuchaczek moich, a kiedy mi przerwano zapytaniem, czem dla zmarłego była młoda kobieta, która z taką szybkoś-

cią biegła z pochwyconą z bufetu szklanką wody, mianowicie, czy to jest tego człowieka siostra, czy żona, a ja oznajmiłem, że to narzeczona, uczułem, iż zainteresowanie i współczucie tych dobrych serc kobiecych podniosły się o kilka tonów.

Posypały się ubolewania, słychać było kilka westchnień, a najmłodsza z moich towarzyszek podróży zaryzykowała nawet śmiały dosyć, odnośnie do losu owej narzeczonej, horoskop: „Biedna ona, zapewne tego nie przeżyje!“

Byłoby to przypuszczenie przeszło sobie, jako ewentualność najwięcej szans przedstawiająca, gdyby jak bomba niespadły były między zgromadzone kobiety dwa wyrazy nieznajomego naszego, który sentencyonalnie, ale bez żadnego złośliwego akcentu, ot tak niby gwoli uspokojenia serc zatroskanych, zadecydował krótko:

— Będzie zdrowa!

Nie sprobuję nawet oddać w tem opowiadaniu siły morderczych spojrzeń, jakie przeszyły śmiałka po tym jego proteście, podczas gdy on, opierając się wy-

godniej, i niedbale otrząsając popiół z cygara, powtórzył swoje sceptyczne: „Będzie zdrowa!“ z tą samą, co poprzednio pewnością.

Albo się jest ciotką, albo się nią nie jest. Pani N. była niezaprzeczenie ciotką, zarówno z racyi wieku i pokrewieństwa, jak niemniej wskutek należytego pojęcia, jakie przywiązywała do spełnienia wszelkich ze stanowiska tego wypływających obowiązków, to też poczuwając się i tym razem do inicyatywy w wyrażeniu zbiorowej indygnacyi towarzystwa, zainterpelowała zuchwalca wprost:

— I na czem, panie, jeśli wolno wiedzieć, ugruntowana ta pewność?

— Siła, co prawda, nagadali i napisali na ten temat niedowiarkowie a sceptycy, — była odpowiedź zagadnionego, — ale ja — prawił on dalej, — zrzekam się tych posiłków dla poparcia mego założenia, i na własnem tylko doświadczeniu się opierając, sądzę, iż mam prawo twierdzić i twierdzę:

Że przedewszystkiem tej, czy innej istocie ludzkiej w ogóle, a kobiecej w szczególności, katastrofy podobne utratą ży-

cia, jak to jedna z pań przewiduje, wcale niezagrażają.

Że co do mnie gotów byłbym od ogólnego prawidła zrobić pewien wyjątek na korzyść matek, mniejszy nieporównanie na rzecz sióstr, zaś co się tycze żon, kochanek, narzeczonych razem wziętych, a przeto i tej, o której mowa, w boleść szczerą ich i jej w podobnych chwilach wierzę najzupełniej, ale i w to również, że życie może takim nieszczęśliwym dać jeszcze wszelkie możliwe pociechy, żadnej nie wyłączając.

Gdyby w całej tyradzie było cokolwiek chociaż sarkazmu, goryczy, namiętności, dyskusya mogła się była przenieść na grunt, na którym kobietom wolno się zawsze zwycięztwa spodziewać, ale opozycya tego mąciciela ogólnego dramatyczno-uczuciowego nastroju tak była pozbawiona cech namiętnej napaści, iż podziałać musiała koniecznie jak wiadro zimnej wody. Nie znaczyło to jednak bynajmniej, że kwestya jest wyczerpana, a jakkolwiek sama pani N. zdawała się rozmyślać teraz nad trafnością wypowiedzianego zda-

nia, to i tak znaleźć się musiał ciąg dalszy; no, i jako żywo, znalazł się.

Ma to już do siebie wyjątkowa dosyć pozycya separatek, iż należące do niej kobiety gotowe zawsze o stosunkach dwóch płci teoretyzować choćby per absurdum, z zasady napadając na ród męzki, czemu się wreszcie dziwić nie będzie kto rozważy, iż biedaczki te cywilnego stanu swojego inaczej usprawiedliwić nie mogą. A jakkolwiek species ś. p. kobiet zapoznanych prawie zupełnie znika z oblicza ziemi, za to gatunek prześladowanych niesłusznie długie jeszcze lata, o ile przewidywać można, będzie świat prześladował. Z tych też ust sądzono było nieznajomemu naszemu odebrać zawiadomienie, jako debaty zamknięte nie są; odwrócił on się szybko, gdy go ten harmonijny, ten nieporównany głosik zagadnął:

— Z prawdziwą pociechą dowiadujemy się, że nietylko tej nieszczęśliwej, ale i żadnej w ogóle w jej położeniu nic nie zagraża, ponieważ jednak uspakaja nas to tylko co do kobiet, nie objaśniając, na co druga połowa rodzaju ludzkiego w analogicznych wypadkach narażoną być może,

przeto i co do tego radebyśmy mieć postawioną jakąś teoryę, równie niezachwianą, jak ta, której wysłuchałyśmy przed chwilą.

— Dla tej drugiej połowy śmierć z żalu, bo o nią właśnie chodzi, jest tak mało prawdopodobną, jak dla tamtej; nie o niej też bynajmniej chcę mówić; pominę również różnicę uczuć i stopień ich trwałości w warunkach normalnych, bo to w ogóle nie probierz żaden dla charakteru ludzkiego, szczęście albo pomyślność. W szczęściu lada nędza duchowa zdobędzie się na dobre, jeśli nie z wrodzonej potrzeby, to z lenistwa; są też tutaj same prawie sytuacye, od których się wiele nauczyć niemożna, tembardziej, że to już w wiązanej i niewiązanej mowie aż do przesytu roztrząsano. Dajmy temu tedy pokój na teraz; stokroć więcej natomiast interesu przedstawi nam porównanie takie naprzykład, kiedy obydwa duchy staczać się poczynają po pochyłości. Wtedy im się przypatrywać, wtedy...!

— No i cóż panie wtedy?

Nieznajomy westchnął.

— Nieszczęście to prawdziwe, kiedy

kobieta przestaje być aniołem. Dla tej, która straciła swoją drogę, trudno widać bardzo o busolę, bo mało jest już wtedy kobieta dostępną ludzkim uczuciom, dobrym natchnieniom—jest zimniejszą, egoistyczniejszą, niż sobie wyobrazić można. A jeśliby szło o to, która z takich dwojga wypaczonych istot potrafi prędzej i całkowiciej zapomnieć, która wobec rozdziału wiecznego potrafi się odporniej postawić, to bezstronność każe wyznać, że w większej części wypadków mężczyzna jest tu tylko sentymentalną słabizną.

— Znaczyłoby to według pana, że kobieta jest tak mężna?

— Nie powiedziałem tego wcale.

— A zatem?

— Że potrafi być tak kamienna.

— I zawsze w porównaniu z mężczyzną?

— Właśnie to porównanie miałem na myśli.

— Czy podobne założenie da się obronić? No, ale utrzymywać wolno, jak wiadomo, wszystko, co się podoba. Gdyby jednak zażądał kto od pana przykładu, gdzie kobieta w stosunku do mężczyzny

okazałaby się taką, jak pan nazywasz, kamienną, przekonana jestem, że znalazłbyś się pan w prawdziwym kłopocie.

— Nie byłbym w żadnym, bo dowodów na poparcie mego twierdzenia mógłbym postawić tyle, iż na ich wyliczenie czas, jakiego na odbycie drogi do Warszawy potrzeba, z pewnościąby nie starczył.

— Możeby lepiej było, zamiast wielu przykładów, poprzestać na jednym, ale za to równie przekonywającym jak autentycznym.

— Dlaczego nie? — ja jestem gotów.

— I to będzie przykład z własnego doświadczenia?

— Z mego własnego, i w dodatku nader przykrego doświadczenia, bo właśnie w tej chwili jeden z takich ponurych dramatów, na jakie w życiu patrzyłem przez długie tygodnie, jak gdyby zaklęciem wywołany, staje mi w myśli. Że nie zmienię w nim nic, poręczam słowem uczciwego człowieka.

Po owem odwołaniu się do uczciwości, za właściwe uznał nasz nieznajomy, którego tym mianem po raz ostatni na-

zywam, powstać i przedstawić się formalnie, co wszystko dopełnionem zostało z wdziękiem, właściwym jedynie człowiekowi obytemu w najlepszem towarzystwie. A że wymienione nazwisko należało do takich, które na korzyść tych, co je noszą, najprzychylniej uprzedzają, więc odebrał on od wszystkich kobiet ukłon najpoważniejszy, ja zaś nie mogąc na tem poprzestać, musiałem moje skromne miano, bynajmniej tamtemu niedorównywające znaczeniem, wygłosić.

Tymczasem czytając w twarzach i twarzyczkach zaciekawienie niepomierne, zwrócił pan W. uwagę, że oto właśnie minęliśmy Bierzanów, że za kilkanaście minut będziemy w Krakowie, że zatem nie warto rozpoczynać opowiadania, które zaraz w początku niejednokrotnie musiałoby być przerwane. Jakoż niebawem stanęliśmy pod oszklonym dachem krakowskiej stacyi, gdzie ja znowu rozpocząłem moją mozolną służbę, o tyle teraz przykrzejszą, że się przez tego przybysza nietylko na drugi, ale na dziesiąty, plan zepchniętym uczułem.

Kiedyśmy się znowu w godzinę po-

tem w jednym wagonie znaleźli, a bilety przez konduktora powycinane zostały, świadoma ogólnego zainteresowania pani N. upomniała się w imieniu powierzonych jej pieczy gołębic o rozpoczęcie zapowiedzianej narracyi, odebrała jednak w odpowiedzi uprzejmą prośbę o zwłokę z uwagi, że teraz nietylko zmiany pociągów, ale i przeszkody innej całkiem natury należytemu wywiązaniu się opowiadającego staną na zawadzie—że właśnie nadchodzi moment najmniej sprzyjający dla audytorjum do skupienia uwagi, bo zbliżają się, jak on mówił, godziny *emocyj*, wobec których fakta opowiadane straciłyby na sile, a tem samem na interesie.

Ponieważ wygłosił to wszystko w tonie półżartobliwym, a towarzystwo nie odgadywało do czego zmierza, pozostawiono go w spokoju, tylko oznaki zaciekawienia, przyznać należy, coraz mniej były widoczne. Co sobie która z młodych kobiet o owych emocyach i przeszkodach myślała, nie umiałbym powiedzieć; to pewna, że ja stary niedowiarek przekonany byłem, iż nasz improwizator ma luki w swojej fabule, na których za-

pełnienie wytargować sobie jaką godzinkę za stosowne uważał, i tak mocno przeświadczony byłem o słuszności moich domysłów, iż na te kilka słów, które poniżej przytaczam, szczególnej nie zwróciłem uwagi.

— Musiałbym ja te miejscowości — mówił pan W.,—po raz pierwszy w towarzystwie kobiet przebywać, gdybym takich nieuniknionych ewentualności przewidzieć nie zdołał.

Na ten frazes piękna narzeczona ruszyła ramionami nieznacznie, a moje najbliższe sąsiedztwo poszepnęło mi, że szarad rozwiązywać nie umie, i tak w milczeniu dojechaliśmy do Szczakowej. Tu jednak równoczesny ze świstawką lokomotywy przeraził nas wykrzyknik cioci:

— Józiu! a twoje koronki?

Józia zbladła, to samo zrobiła jej siostra; za niemi i reszta tego powabnego gronka poczęła się krzątać, zapanował zamęt prawdziwy, któremu trudno się było dziwić, zważywszy, żeśmy na most, przez Przemszę rzucony, wjeżdżać poczynali.

Spojrzałem na pana W., siedział szy-

dersko uśmiechnięty; na pomieszanie ogólne z pewnem upodobaniem poglądał, w końcu, kiedym go się szeptem zapytał, azali nam dwóm biernymi widzami tego ambarasu pozostać się godzi, wygłosił powoli, jak gdyby sobie tym sposobem krzywdę niedowierzania powetować pragnął.

— Otóż mamy i emocye przewidywane.

Tymczasem chwil wolnych pozostawało bardzo niewiele. O zabezpieczeniu zagrożonych przedmiotów po różnych kryjówkach sposobem zwykle przez winowajczynie praktykowanym, z uwagi na moją i pana W. obecność w wagonie, mowy nawet być nie mogło, więc wołania ze wszystkich stron: „Panie Janie, moje pudełko; panie Janie, moja paczka,“ powtarzały się, dopóki sama ciocia, trzymająca także w ręku coś podejrzanego, z czem sobie rady dać nie umiała, nie zrobiła uwagi, że pan Jan i tak już więcej do dwugarbowego wielbłąda, niż do człowieka podobny, a tu okazało się, że każda z powabnych grzesznic jeszcze ma coś do ukrycia, i jednocześnie pierwszy

zielony lampas na czapce celnika, zamigotał złowrogo.

Teraz już powstał i nasz szyderca i do zakłopotanych przestępczyń przemówił:

— Nie moją rzeczą jest doprowadzać bliźniego do ostateczności. Pozwólcie panie i mnie przyjąć udział w tej malwersacyi, co dla mnie jest o tyle smutniejsze, iż pora byłaby mi już być mniej czułym na niedolę niewieścią, niż byłem dotąd. Ale każdy iść musi za swojem przeznaczeniem; nagrodą niech mi będzie widok, jaki mam przed sobą, widok wzruszenia szczerego, prawdziwego, a nie taka to znowu codzienna rzecz na tym padole płaczu. Tylko my zresztą możemy osądzić, do jakiego stopnia jesteście panie zachwycające pod wpływem emocyi.

Pozwolono mu mówić wszystko, co chciał, a on zapełniając kieszenie prawił bez przerwy i był tryumfatorem prawdziwym, odbierał uśmiechy najponętniejsze, podczas gdy ja czułem dobrze, że epitet wielbłąda, jaki do mnie zastosowała ciocia, był najłagodniejszym, jaki wyszukać było można.

Kiedy przy drzwiczkach zatrzymującego się pociągu, odezwały się wołania: „pasport!“ wszystko było w porządku, nie wyłączając sumień naszych towarzyszek podróży, bo jużto chciej uwierzyć, czytelniku, że na punkcie komplanacyj, jakie z pojęciem o słuszności zawierać można, nie znajdziesz istot skłonniejszych do ugody, jak te wszystkie, które uwielbiałeś, uwielbiasz lub uwielbiać będziesz.

Znudziłbym już doszczętnie czytelnika, gdybym mu zechciał opowiedzieć coś jeszcze o tych trudach i kłopotach. które na mnie w Granicy czekały, wolę zatem nadmienić krótko, że pan W. najspokojniej spożywał swój obiad, że rozweselał towarzystwo i sam wybornie się bawił, że co chwila wywoływał rumieńce przerażenia, wyjmując wobec słaniającej się służny celnej powierzone mu artykuły kontrabandy. Dziwnie lubował się tem pomieszaniem doświadczony widać epikurejczyk, odnosząc je zapewne do jakichś nieznanych nam osobistych wspomnień swoich.

Nakoniec i to wszystko skończyć się przecież musiało; przepisana godzina mi-

nęła dla tego wesołego towarzystwa, jak jedna chwilka, a kiedy ruszyliśmy ku Warszawie, uznał i sam p. W., że mu dłużej wyrozumienia pięknych jego wierzycielek, którym dłużny był sensacyjną opowieść, nadużywać nie wypada. Zaczął więc, a ja tak wiernie zatrzymałem w pamięci i treść tego co mówił, i ton i gesta nawet tego niezwyczajnego człowieka, że nie mogąc ostatnich odwzorować jakbym pragnął, przynajmniej sposób opowiadania z możliwą dokładnością oddać się postaram.

Oto, co usłyszeliśmy w tej pamiętnej podróży:

* * *

„Wypadki, które mam opowiedzieć, odnoszą się do mojej, bardzo dawno minionej, pierwszej młodości. Będzie temu lat kilkanaście, kiedy dzięki krewkości mego ówczesnego temperamentu, ujrzałem się naraz w dosyć ostrych ze sprawiedliwością ziemską rozterkach.

Raczą jednak panie, o co bardzo się dopominam, nie brać tego w znaczeniu

najujemniejszem i najcodzienniejszem, mianowicie naturę owych nieporozumień odnieść do wszystkiego, byle nie do wykroczeń przeciwko przykazaniu siódmemu, którym to uchybieniom sprawiedliwość, jak wiadomo, większą część swoich kłopotów zawdzięcza. Wspomniałem o tem dlatego tylko, aby panie uspokoić co do losu powierzonych mi w Granicy drobnostek, w tej chwili w ich mniemaniu zapewne na seryo zagrożonych.

Przyobiecuję też najsolenniej, że skoro tylko po za Częstochową zniknie ostatnia już postać granicznego strażnika, usprawiedliwię położone we mnie w chwili strachu zaufanie, przez co powinienbym dać do zrozumienia, że albo grzeszyłem w młodości w sposób inny, albo że moralność moja wiele zyskała od czasu tych wydarzeń. Tymczasem pozwalam każdemu wedle jego woli i ochoty tłómaczyć sobie moje nieporozumienia z jedną z władz, której podówczas porządek i bezpieczeństwo w połączonych prowincyach Galicyi i Lodomeryi powierzonem było. Na ten porządek ja miałem zapatrywania

swoje, różniące się od oficyalnych w niektórych detalach—ztąd gniewy.

A trzeba i to paniom wiedzieć, że taka różnorodność w poglądach kończy się dla jednostek zawsze w jeden i ten sam sposób, mianowicie, że o ile te jednostki nie pomyślą zawczasu o wyszukaniu sobie miejsca pobytu, ile można jaknajdalej od juryzdykcyi tychże władz położonego, o tyle one władze zwykły takim lekkomyślnym same bezpieczne schronienia przeznaczać. Że przeznaczają wedle swojego widzenia rzeczy i upodobań, dziwić im się nie można.

Otóż ja należałem do lekkomyślnych i, jako taki, musiałem przyjąć wszystkie następstwa, jakie ztąd dla mnie wypadły, a mianowicie kilkomiesięczny pobyt w miejscowości spokojnej, zacisznej ale takiej, której sam z własnego natchnienia nigdybym nie szukał, choćbym odosobnienia i ciszy nie wiedzieć jak był spragniony. Ma takie położenie swoje strony ujemne, ale nie można powiedzieć, żeby dodatnich zupełnie pozbawionem było. Wyróżnia to bądźcobądź człowieka, kiedy się widzi przedmiotem

troskliwości wyjątkowej, kiedy, uprzedzając jego życzenia, radzą o drobnych materyalnych potrzebach bez niego, pilnują jak oka w głowie, a te tam trochę ścieśnień, jak na przykład utrudnienie lokomocyi, są to drobiazgi, do których większość wprędce przywyka. Że zaś ja mam wrodzone usposobienie, w tem co spraw codziennych dotyczy, w wysokim stopniu pojednawcze, więc nowego miejsca pobytu mego nietylko sobie nie przykrzyłem, ale nawet dobrze na mnie oddziaływała ta woń nowości, i w początku przynajmniej zupełnie zadowolony się czułem.

A jednak pokazało się, że o ile duch był ochoczy, o tyle ciało nie dorównywało mu zupełnie. Po dwóch może miesiącach wiosennych, przez które tego, do pewnego stopnia przymusowego, wypoczynku kosztowałem, zacząłem odbierać coraz częstsze wizyty miejscowego oberarzta, który nie wiedzieć co sobie do moich oczu upatrzywszy, po godzinie codzień wpatrywał się w nie—raz tak sobie zwyczajnie, to znowu przy pomocy jakichś aparatów, następnie zaczął mi na-

prowadzać swoich mundurowych i cywilnych kolegów, a wszyscy oni przypatrywali się, radzili, szeptali, i wogóle starali się wyglądać na takich, co to o stanie tych oczu dużo więcej niż ja, albo inny podobny do mnie, powiedziećby mogli.

Po tygodniu takiej krzątaniny, która już mnie cokolwiek niecierpliwić poczynała, bo myślałem, że i moje oczy postawione będą w stanie obwinienia, sądzono i mnie było dowiedzieć się o jej rezultacie. Zapadła odnośnie do mnie z racyi owych oczu uchwała wyjątkowa, jak mnie zapewniano, wobec panujących zwyczajów nieledwie bezprzykładna. Wiadomość ta doszła do mnie od samego pana Profosa, inaczej mówiąc, kerkermeistra, człeka w gruncie rzeczy niezłego, który czy to, że po za tą całą troskliwością domyślał się wpływów wysokich i starań szczególnych, czy też dlatego, że istotnie nie miał złośliwości ludziom swojej profesyi właściwej, dość, że ów pan Profos z prawdziwem zadowoleniem oznajmił mi, jako wysoka magistratura, dzierżąca w tej chwili moje losy w swoich rękach, na

podstawie ekspertyzy lekarskiej powzięła postanowienie tej treści:

—„Zważywszy, iż podsądny W., na skutek długotrwałej detencyi, podległ groźnej, wedle orzeczenia lekarskiego, chorobie ocznej, dozwala się, aby tenże W. przez ośm godzin dnia używał przechadzki w miejscowym ogrodzie, co się zaleca do wykonania nieodłącznie od wydania odpowiednich do tego wypadku, specyalnych rozporządzeń.“

Kto tam w dwudziestym roku wierzy w możliwość choroby albo kalectwa? I ja też po oznajmieniu mi części pierwszej a najważniejszej dekretu, o resztę nie troszczyłem się wcale; chcąc niechcąc jednak, trzeba było słuchać do końca i dowiedzieć się, że gdy to rozporządzenie jest równe ekscepcyonalne, jak dla mnie łaskawe, winienem wywzajemnić się najskrupulatniejszem zastosowaniem się do paragrafów dodatkowych. Opiewał zaś jeden z nich, że gdy oparkanienie dla mnie osobnego miejsca pociągnęłoby za sobą koszta niezmierne, a z drugiej strony komunikowanie się moje z mieszkańcami tej samotni narazićby mogło całość

i bezpieczeństwo państwa na szwank niechybny, zobowiązać się winienem do najstaranniejszego unikania przechodzących indywiduów, z którymi ani słowem, ani gestem, ani wzrokiem, porozumiewać mi się nie wolno, a to pod rygorem i t. d.

Przyjąłem i to do wiadomości, przestępując, rozumie się, z nogi na nogę, ale esencyą dla mnie było, iż przepis obowiązywał od chwili ogłoszenia, to jest, że za parę minut znaleźć się miałem na wolnem powietrzu, a że tam, jak mówił Profos, dla ułatwienia mi możności zastosowania się do tego dodatkowego zastrzeżenia, miał mi być dodany cerber specyalny, była to już dla mnie rzecz zupełnie drugorzędnego znaczenia.

Stało się wszystko wedle tego, co głosiło rozporządzenie. Otwarto przedemną drzwi i wraz z kapralem, który miał być odtąd moim nieodstępnym, znalazłem się w ogródku. Zrazu czułem się tak otumaniony, iż gdyby mi kto zupełną i bezwarunkową wolność w tej chwili był przyobiecał, nie wiem, czyby mnie więcej mógł zadowolić. To było wszystko, co myśl moją na teraz zajmowało. W nie-

spełna godzinę natomiast budzić się tam poczynały innego rodzaju pożądania, do których trudniej mi nieco przyznać się, ze względu, iż zdradzają one mój wysoki brak lojalności w owym czasie. Rozważałem już teraz tę kwestyą, do jakiego też stopnia ów kapral misyą swoją bierze na seryo, a w razie, gdyby ją brał zanadto poważnie, czy środki podobne, jak tytoń, cygara i inne tego rodzaju artykuły zastępujące w tym azylu monetę obiegową, na zmianę w jego zapatrywaniach wpłynąćby nie mogły.

Rezultaty pierwszych zamachów na niezłomność mego anioła stróża, pomimo iż tenże był Kroatą, a Kroaci pod względem cnoty używają bardzo nieszczególnej renomy w całej monarchji, nie wypadły pomyślnie, ale o skutku desperować jeszcze nie było powodu.

Cerber miał minę regulaminowo nasrożoną, ale przecież był człowiekiem, musiał mieć ogólno-ludzkie, dodatkowe żołnierskie, i specyficzne kroackie słabostki, więc tuszyłem sobie, że nie dziś to jutro, albo pojutrze ułagodzić go potrafię, a zarazem postanawiałem, że dopóki mój

nowy przywilej tak żywo zadawalać mnie będzie, zostawię rzeczy naturalnemu biegowi.

Nie byłoby jednak prawdziwem przysłowie o kurze i o grzędzie, gdybym i ja wyczerpnąwszy prawem dozwolone korzyści mego położenia, w tydzień jakiś niespełna nie powrócił do mojej myśli pierwszej, i nie rozpoczął kołatać do tej fortecy.

Forteca okazała się tem, czem w ciągu dwóch ostatnich stuleci okazały się wszystkie fortece tej potencyi, to jest, że z początku wyszczerzała zęby zajadle, a po pierwszych szturmach sromotnie kapitulowała. Mój dozorca nietylko nie okazał się nieprzejednanym, ale nawet zdradzać począł nadzwyczajną gotowość przyjmowania datków, a ja zaspakajałem te wymagania z hojnością nieograniczoną, która to hojność objawić się mogła ilościowo tylko, gdyż pod względem jakości wyrobów tytoniowych, w których mój Kroata najwięcej smakował, ta była tak nizka, że w godzinach, w których rozluźniona karność dozwalała mu z tych darów korzystać, szczupła przestrzeń ogród-

ka, ku mojemu i moich towarzyszów niezadowoleniu, bywała w całem znaczeniu tego słowa zaswędzoną.

Odkąd jednak ryba połknęła przynętę, sposoby, jakimi się na przechadzkach moich rozrywałem, stawały się z dnia na dzień więcej urozmaicone. Rzadko niezmiernie oglądałem teraz twarz śniadą i wywoskowane wąsy mego kaprala, a plecy, któremi się odtąd statecznie ku mnie odwracał, osłaniały występki zdolne zmrozić krew w żyłach nietylko wszystkich kerkermejstrów, ale nawet najwyrozumialszego z pośród nich, i skłonnego do koncesyj, Profosa mojego. Dość powiedzieć, że po dwóch tygodniach wzrastających stopniowo moich nadużyć doszedłem do tego, iż zaznajamiałem się, podawałem rękę, a nawet o zgrozo! komunikowałem i przyjmowałem do wiadomości wszelkie nowinki dzienne tego zamkniętego towarzystwa, którego też wprędce stałem się powiernikiem w troskach od położenia nieodłącznych, a niekiedy i pośrednikiem nawet użytycznym. Że zaś wkładałem w ten proceder quantum sufficit chytrości wężowej, że nie zaszedł ża-

den skandal, że nie transpirowało nic, tam gdzie nie było powinno, kosztowałem ja i ci, którym usługiwałem, zupełnie bezprzeszkodnie owoców mojego bezprawia.

Nie mam zamiaru w tem opowiadaniu przedstawiać się lepszym a nadewszystko rozsądniejszym niż byłem istotnie; dwadzieścia lat w życiu mężczyzny, to epoka takiego szaleństwa i takiej chciwości na wrażenia coraz nowe, że ja, który od tego ogólnego prawidła żadnego wyjątku nie stanowiłem, po jakimś miesiącu uczułem się tem wszystkiem znudzonym, zniechęconym, ogarniać mnie poczęła apatya i pożądanie przedewszystkiem czegoś nowego, dotąd niebywałego pomimo że sens zdrowy upominał, iż w tem miejscu o urozmaicenie egzystencyi dosyć jest trudno. Zauważyłem jednak w ciągu życia mego, że los o wiele jest skłonniejszym przychylać się do życzeń bezrozumnych, niż do pragnień godziwych a umiarkowanych.

Tak też stać się miało i ze mną w tym wypadku.

W jednej z takich chwil, w których

mi zmora nowości dotkliwiej dokuczała, zamigotał przed memi oczami popielaty kostyum, para garniturowych, popielatych bucików, których kokardki w tej chwili mógłbym narysować, popielaty parasolik dla kontenansu zapewne trzymany w jednej z rączek przedziwnie małych, pokrytych rękawiczkami zastosowanemi do całości, a na włosach kruczej czarności ubranie jakieś brązowe, bardzo harmonijnie odbijające od reszty stroju. Całość była olśniewająca, dla takiego mianowicie dwudziestoletniego człowieka, któremu zbliżająca się trzydziestka, czytelnie na czole tego zjawiska wypisana, przeszkody żadnej stanowić nie mogła do osłupienia ekstatycznego.

Jak wiadomo zresztą, zdradzamy w tym wieku najwyraźniejszą, powszechną prawie skłonność ku wszelkiej niewieściej dojrzałości, co ja przynajmniej gotów jestem uważać jako reminiscencyą nieocenionych bon i guwernantek naszych, na których eksperymentujemy zwykle pierwsze pulsacye naszych serc pacholęcych. Gdyby nawet inaczej stały te sprawy w rozumieniu ogólnem, ja mam sobie za

obowiązek ową moją inklinacyą najdobitniej podkreślić, aby mój ówczesny zachwyt usprawiedliwić.

Do jakiej sfery należeć mogła ta kobieta, nie odgadywałem; na pewno, wolno mi było wnioskować, że należy do sfery ubierających się starannie, ze smakiem wielkim, i przywiązujących do tej powłoki zewnętrznej znaczenie niepomierne. Wszystko w jej stroju było wyszukane, wychuchane, wyrurkowane, a jakim sposobem mogła ona dokazać tego w miejscu gdzie pozostawała, domyśleć się wówczas nie umiałem. Dzisiaj objaśniam to sobie o wiele łatwiej, bo dziś wiem dobrze, że kobieta do tego celu nie zaniedba nieba i piekła poruszyć, a nawet tak zwanych cudów probować.

Co się tycze jej rysów, mogę powiedzieć wogóle, że nie było w nich nic z tego wszystkiego co stanowi charakterystyczny wdzięk niewieściego typu naszego, ale za to były tam żary i błyski w tych oczach, w całym wyrazie płomienie i groza jakaś, a tego przecież do rozpalenia dwudziestoletniej wyobraźni aż nadto wystarcza. Teraz jeszcze gotów

jestem twierdzić, że jeśli to była kobieta, która nie każdego mężczyznę zdołałaby przykuć do siebie, za to z pewnością nie było takiego mężczyzny, któryby mimo niej przeszedł obojętnie.

W ślad za takiemi pierwszemi spostrzeżeniami cisnęło się uporczywie pytanie: co ona tutaj robi—jaka jej przeszłość—co jej zagraża?

Częściową, ale tylko częściową odpowiedź na te wszystkie niewiadome, miałem uzyskać w godzinę po naszem pierwszem spotkaniu. Zaledwie bowiem kilku ludzi odbyło po niej swoją spacerową kolejkę, wyprowadzono wojskowego, który że się tu nie z własnej woli znajdował, wątpliwości nie podlegało, bo i broni nie miał przy sobie, i tak samo, jak my, pod strażą przymusowe przechadzki odbywał. Spotykałem go dziś po raz trzeci. Ubrany był w biały uniform swego piechotnego pułku, a liczba gwiazdek na kołnierzu pozwalała odgadywać stopień kapitana.

Miał lat wówczas trzydzieści kilka zapewne, zarost rudawy, a zbyt długie, jak na wojskowego, włosy, świadczyły, że czas już jakiś pozostawać tu musi.

Sztywny, zimny z pozoru, miał w spojrzeniu coś ponurego i odpychającego — coś, co nie dopuszczało sympatyi i nie budziło ochoty bliższego poznania.

Nie starałem się o znajomość z nim, i on także wcale nie szukał mnie dotąd; to też łatwo wyobrazić sobie można żdziwienie moje, kiedym dostrzegł, że zmierza w tą stronę a następnie uchylając zlekka kepi, zatrzymuje się z wyraźną intencyą odezwania się do mnie.

Tak dalekim byłem od przypuszczenia, iż kiedykolwiek mówić ze sobą będziemy, iż nie zaraz zatrzymałem się, zwłaszcza że miałem już wyrobione o nim nie nazbyt przychylne mniemanie za jakąś rażącą szorstkość, którą dla służby, zachowującej się względem niego z hierarchiczną uniżonością, kilka razy w mojej obecności ujawnił.

Kiedym się nareszcie utwierdził w tem, że istotnie mówić ze mną zamierza, zatrzymałem się bez żadnych szczególnych środków ostrożności, boć przecie mój dozorca, który na tyle zbliżeń moich patrzył przez szpary, przeciwko temu w żadnym razie oponować nie mógł.

— Pan używasz tu, jak widzę, pewnych przywilejów—zaczął głębokim, ochrypłym nieco głosem,—widzę, że komunikujesz się nawet z ludźmi dość swobodnie... czy nie mógłbym się spodziewać, że zechcesz mi oddać pewną przysługę?

Mówiąc, nie patrzył mi w oczy. Odpowiedziałem, że wszystko to, co on nazywa moimi przywilejami, i całą dobrą wolę w dodatku, gotów jestem oddać do jego rozporządzenia.

— Mógłbyś pan istotnie wiele dla mnie zrobić....

Tu zatrzymał się, a spojrzawszy mi bystro w oczy, mówił dalej powoli, z namysłem, jak gdyby go ten wysiłek wiele kosztował, i jak gdyby mimo zapewnień moich o tej gotowości powątpiewał. Musiał mieć swoje powody po temu.

— Ale jeżeli zechcesz, a zdecydowawszy się raz, nie cofniesz następnie swojej gotowości...—dodał po namyśle.

Uszło naówczas zupełnie uwagi mojej to niedowierzanie, abym dla niego zechciał zrobić cokolwiek, ale że młodość wogóle źle bardzo obserwuje, a wniosku je gorzej jeszcze, więc nie zastanawiając

się nad temi przerwami i nie widząc w tem wahaniu nic godnego uwagi, ponownie o mojej chęci służenia mu wedle możności, zapewniłem.

— Czy widujesz pan tu osobę lat dwudziestu kilku, brunetkę, wysokiego wzrostu?

— Zapewniłem go, że widziałem dzisiaj po raz pierwszy.

— Czy znalazłbyś pan sposobność wręczenia jej bileciku odemnie?

Intryga miłosna, może dramat, uczestnictwo w tem choćby pośrednie, rola konfidenta w takich okolicznościach! Któżby w moim wieku otwartemi rękoma podobnej sposobności nie powitał? Oświadczyłem najszczerszą ochotę dopomagania wszystkiemi siłami. Podziękował skinieniem głowy, ale mnie bardzo ździwiło, że nietylko się nie ucieszył, nie rozchmurzył, a owszem pośpiesznie, gorączkowo mówił dalej:

— Listy nie mogą tutaj być pisane, ani doręczane prawidłowo. Oto już od dwóch tygodni, jak zdobywszy z wielką trudnością kawałek papieru i ołówek, noszę się z tą kartką, daremnie wyglądając

sposobności; a tymczasem taka sposobność to może życie człowieka, a życie choćby niewiedzieć jak nieszczęśliwe, zawsze przecież dla tego, do kogo należy, musi być warte cokolwiek. Zresztą nie moją rzeczą rozważać; w tej chwili spełniam obowiązek. Chciejże pan, proszę, przy pierwszej sposobności wręczyć tę kartkę osobie, o której mówiliśmy, a jeśli można, uzyskaj odpowiedź.

Wyciągnąłem rękę po zwitek papieru, który trzymał między palcami.

— Poczekaj pan; jeszcze jedna prośba. Nie mam prawa żądać twego słowa honoru na to, że czytać nie będziesz, ale jesteś młody, zapewne szlachetny, nie powinna cię skusić, o ile sądzę, tajemnica cudza, a cóż dopiero tajemnica tej natury....

Tu spuścił oczy w ziemię i coś w rodzaju dreszczu mimowolnego wstrząsnęło nim całym.

— Zresztą—kończył,—powiem szczerze, że znam nazwisko pańskie i to jest dla mnie gwarancyą zupełną. Skończmy rozmowę; zaczynają na nas spoglądać.

To powiedziawszy wsunął mi w rękę bilecik i oddalił się.

— Nie mogę powiedzieć, żebym niedoświadczył pokusy zajrzenia do tej korespondencyi; musiałem jej doznawać, bo sam oddawca wahaniem swojem, a w końcu zastrzeżeniami swemi zaostrzył ją w wysokim stopniu, ale z drugiej strony względy takie, jak ponury smutek tego człowieka, jego odwołanie się do mego honoru, to, że wiedział, kim jestem,— przeważyły.

Zaprzysiągłem sobie, że nie sprofanuję tej boleści ciekawością moją, i zobowiązania dotrzymałem sobie przez cały ciąg spełniania obowiązku medyatora między dwojgiem tych ludzi.

Z kartką nie rozstawałem się. W dwa dni po tej rozmowie zakołatało mi serce, jak młotem, kiedym zobaczył, że piękna brunetka wychodzi ze swojej sieni. Przybrałem minę jak mogłem najpoważniejszą, i w chwili, kiedy się do mnie zbliżyła, ukazałem brzeg karteczki, wyglądającej z mojej ręki.

Spuściła oczy, zrobiwszy jakiś pogardliwy grymas i odwróciła się.

— Co ona myśli ta kobieta? — pytałem sam siebie skonfudowany. — Toż jej się chyba zdaje, że to mnie przyszedł pomysł tak niefortunny, a widząc, że mię po raz trzeci już mija, ani myśląc odwrócić się w moją stronę, poszedłem, jak mi się zdawało po rozum do głowy, i upewniwszy się, że nas nikt nie podpatruje, położyłem bilecik na jej drodze.

Spostrzegła go, odrzuciła gniewnie nogą i poszła dalej. Rozpacz zaczynała mnie ogarniać, bo ostatecznie zanosiło się na to, że albo nie spełnię tego, do czegom się zobowiązał, albo co gorsza, mogę tego nieszczęśliwego, nie mówiąc już o sobie, grubo narazić, to też pomimo, że nietylko mówić ze mną ale nawet spojrzeć na mnie nie chciała, zdobyłem się na krok stanowczy, i kiedy mijaliśmy się, powiedziałem głośno:

— Pani się myli—list jest od kapitana.

Żywa oznaka wzruszenia, którego natury nie odgadywałem bynajmniej, odbiła się na jej twarzy; namysł trwał chwilę, poczem upuściła na ziemię chusteczkę, którą ja ze zręcznością w sprawach

tego rodzaju już podówczas nabyta, co mi ze wstydem wyznać przychodzi, wraz z bilecikiem i grzecznym ukłonem wręczyłem jej, nadmieniwszy, aby odpowiedź przygotowała jaknajrychlej. Mimo, że widziałem tę kobietę, uplątaną w jakąś intrygę miłosną, wspomnę dodatkowo, że trudno mi było zapomnieć woni tej chusteczki, i że robiłem sobie niegodziwy ślub odszukania jej choćby na krańcu świata, jak tylko swobodę ruchów odzyskam—rozumie się tej perfumy, nie tej kobiety, bo jej sposób obejścia się ze mną łudzić mi się nie pozwalał.

Na przyszły raz przyniosła ze sobą odpowiedź, którą wedle przeznaczenia doręczyłem; przez ten czas na żądanie kapitana po dwakroć dostarczałem mu papieru do dalszej korespondencyi, która się tą drogą, co poprzednia, dostała adresantce, a była o tyle obszerną, z objętości wnosząc, o ile jej cieniutkie świstki niewątpliwie bogate w treść być nie musiały.

Przezwyciężywszy raz pokusę zajrzenia do wnętrza tych listów, nie mogłem jednak nie rozmyślać nad odcyfrowaniem

wzajemnego stosunku tych dwojga ludzi. Jacyż oni w niczem nie podobni byli do siebie! On jak gdyby nie należał do żyjących—posępny, zdawało się, zrozpaczony, a przytem wysyłający do niej arkusze całe, podczas gdy ona taka zimna, powściągliwa, taka nieposzlakowana w stroju, jak gdyby się w jej przeznaczeniu własnem nic ważnego pod tę chwilę nie spełniało. A może ona nic nie wie o tem, co jemu zagraża?—może wreszcie nie wspólna niedola zamknęła ich w te mury; kto to mógł odgadnąć, tak bez żadnych danych będąc w tej sprawie, jak ja byłem do tej pory. Niemniej wszystkie tego rodzaju refleksye zniewalały mnie do baczności coraz większej, do obserwacyi drobiazgowej zachowania się każdego z nich w tym jedynym momencie psychologicznym, jaki mi podpatrywać było wolno—w chwili doręczania korespondencyi im obojgu. Raz postanowiwszy sobie dojść do czegoś tym sposobem, wysilałem moją młodzieńczą przenikliwość. Wiele się nie dowiedziałem, ale po paru tygodniach mogłem jednak, o ile mi się zdawało, twierdzić, że ten człowiek mierzy

czas jedynie na te przerwy, jakie między jedną a drugą jej odpowiedzią zachodzą; on mi zawsze wyrywa z ręki tę kartkę, odczytuje ją po razy kilka, a potem chodzi, szepcząc do siebie jakieś słowa niezrozumiałe, gestykulując, a jak mi się raz nawet dostrzedz dało, załamując ręce. A ona? Oh, ona to zupełnie, zupełnie co innego było! Ile razy mnie widzi, jak się do niej zbliżam z tą przesyłką, ma taką twarz, jakby powiedzieć chciała: „Znowu!“ A to zaciśnięcie ust, ta zmarszczka na czole, ten nie podlegający wątpliwości wyraz przymusu w całem znalezieniu się! Niepodobna, żeby inaczej być mogło—ta kobieta ma już dosyć tego stosunku, ma go za wiele, on ją pognębia, zadusza, ona do wielkiej ofiary byłaby zdolna, gdyby się uwolnić mogła od niego. Są oboje niewątpliwie nieszczęśliwi, oboje cierpią, ale każde w odmienny sposób; on tak wygląda jakby cierpiał dla niej; po niej możnaby sądzić, że cierpi przez niego—z jego winy.

Jak mnie czas i okoliczności przekonać miały, nie ze wszystkiem trafne by-

ły domysły moje, ale w części zdecyfrowałem zagadkę.

Półtora miesiąca trwał taki stan rzeczy, gdy pewnego niedzielnego poranku najniespodzianiej rozwiać się miały wszystkię mgły niepewności, otaczające dla mnie tych dwoje ludzi. Podpatrzono mnie, a wyśledził mnie nie mój kroata, nie Profos, ani ktokolwiek z jego służby, ale jakiś student krakowskiej wszechnicy, z którym kilka razy już rozmawiałem, a który, jak się tego niebawem dowiedzieć miałem z ust jego własnych, nieraz dostrzegł przedtem, jak wręczałem kapitanowi karteczkę. Że nie była od kogoś innego, tylko od tej kobiety, miał pewność niezbitą, bo mnie z tem samem poselstwem skradającego się do niej zauważył. W połączeniu z tem, czego świadkiem był tego dnia znowu, wątpliwości nie mogło dlań być żadnej, to też proszę sobie wystawić osłupienie moje, kiedym tego rodzaju apostrofę wystosowaną bez ogródek, usłyszał:

— Kolega, bo widać nie jesteś wybredny, albo ci są tutaj—dodał wskazując na głowę, — cokolwiek w tej dziurze po-

psuło, bo żeby chłop w tym wieku, co kolega, nie wstydził się mieszać między dwoje takich, jak ci oto, to już chyba nieszczęścia na to potrzeba!

Musiałem nad miarę szeroko usta z podziwu otworzyć, bo mój interlokutor uśmiechnął się złośliwie i powtórzył swoje:

— No i jakże? nie wstyd że to na uczciwego człowieka usługiwać w takiej szpetnej sprawie?

— Kiedy ja nic a nic niewiem o nich obojgu.

— No, to teraz nie rozumiem ja znowu ani trochę, i muszę chyba jedno zdwojga przypuścić: albo kolega przed dostaniem się do komody wychodziłeś na miasto tylko z guwernantką, która do ciebie wieści o miejskich skandalach z rozkazu mamy nie dopuszczała, albo też siedzisz tutaj od potrzeby Wiedeńskiej, gazet z ostatnich stuleci nie czytywałeś, i nie wiesz o tem, o czem już nietylko ludzie, ale i sroki na płotach nagadały się i gadać przestały.

W najwyższym stopniu zaciekawiony, natarłem na mego studenta, a ten nader

szczegółowo opowiedział mi wypadek, o którym w samej rzeczy wszyscy w mieście wiedzieli, o którym dzienniki pisały wiele, ale o którym ja, nieobecny blizko od roku, a zwłaszcza czem innem zupełnie zaprzątnięty, coś niecoś zaledwie zasłyszałem. Obiło się to o uszy, ale przeszło mimochodem. Po wysłuchaniu całej opowieści doświadczyłem, poprostu mówiąc, zawrotu głowy. Jakże bo i mogło być inaczej, kiedy mi się najniespodziewaniej przyszło dowiedzieć, że dzięki nieoględności własnej, oddałem się na usługi dwojga osławionych przestępców, których sprawa w opinii publicznej zupełnie była przegrana—za którymi cień nawet okoliczności łagodzących nie przemawiał. Aby samą sprawą, ze wszelkich względów antypatyczną, długo uwagi nie zajmować, opowiem ją w możliwem streszczeniu.

Ona była żoną człowieka starego a możnego, on, jak wiemy, żołnierzem z profesyi, a od lat kilku, jak się pokazało, przyjacielem obojga małżonków. Tego rodzaju egzystencyę pełną codziennych niebezpieczeństw postanowili oni

widać zamienić na stosunek uregulowany i prawny, a że była do tego celu przeszkoda żyjąca, więc tę przeszkodę należało usunąć. Kto zaprojektował, kto obmyślił, czy wogóle stało się to za wspólnem porozumieniem?—trudno było wiedzieć podówczas, a zdaje się, że i sprawiedliwości zajrzeć aż na dno tej otchłani do samego końca, nie było sądzono. Fakt niewątpliwy stanowiło to, że wykonał on, dobrawszy sobie na domiar potworności całej nieletniego studenta na pomocnika. Napadnięty w nocy na ulicy starzec kilkoma uderzeniami szabli zabity został, a winowajca po spełnieniu zbrodni poszedł do mieszkania, zkąd list do zwierzchności swojej, zawiadamiający o morderstwie, napisał.

Oto wszystko czego na razie dowiedziałem się od tego studenta. Przychodziła teraz u mnie kolej na uporządkowanie się faktu, w mojem przekonaniu, na rostrzygnięcie w moim sądzie domniemanego udziału, a tem samem stopnia winy każdego z nich, co ze względu, iż ona była kobietą, a on mężczyzną, że jej powierzchowność budziła zajęcie, a je-

go wygląd, we mnie przynajmniej, odrazę, że on był wykonawcą, a jej współudział stwierdzony ani określony dotąd nie został, bezstronnie ani nawet sensownie wypaść nie mogło. Osnułem też sobie na razie powieść, jak się wkrótce przekonać miałem, dosyć daleką od prawdy, w której ona do pewnego stopnia jako ofiara figurowała, on zaś był to człowiek, który jej się narzucił, prawdopodobnie tyranizował ją całym stosukiem swoim, a w końcu posunąwszy się do zbrodni, ją skompromitował, i w to całe nieszczęście i hańbę wprowadził.

Od tych konsyderacyj przeszedłem jednak wprędce do przedstawienia sobie, jak też w tem wszystkiem wyglądałem ja. Wcale nieszczególnie wypadł mi ten obrachunek. Romansik, w którym dzięki lekkomyślności własnej, odegrałem rolę usłużnego Leporella, do idyllicznych wcale nie należał; wmieszałem się między tych dwoje ludzi, jak prawdziwie niedoświadczony młokos, skompromitowałem się, jeśli nie w opinii ludzkiej, to przed sobą samym, a po skrupulatnem obliczeniu się z sumieniem, miałem sobie do po-

wiedzenia dużo więcej nieprzyjemnych rzeczy, niż mi na razie powiedział ten student. Sposępniałem, stetryczałem, a nie mogąc się inaczej z tej gmatwaniny wycofać, zmyśliłem chorobę, która mnie od przechadzek moich uwolnić miała.

Wszystkie jednak postanowienia rekluzyi w lat dwadzieścia, zarówno jak wszelkie tego wieku melancholie, trwają nader krótko. W kilka dni powróciła ochota do powietrza, światła i ruchu, i znowu znalazłem się w ogródku, w godzinach rannych, zupełnie zadowolony z siebie i z tego, żem się apatyi owładnąć nie pozwolił.

Pierwszą twarzą, którą tam spotkałem, była, jak gdyby na przekorę, ponura twarz kapitana.

Kartki tym razem nie miałem już dla niego. Dlaczego jej nie było, wiedzieć nie mogłem, ale musieli powiedzieć sobie wszystko, co było do powiedzenia, bo on już nie oczekiwał na nią, nie pytał o nic. Coś się między niemi skończyć czy ostatecznie zerwać musiało.

Jakkolwiek ukłoniłem się najmniej sztywno, jak umiałem, było jednak tego

wszystkiego zupełnie dla niego dosyć. Przygotowany był na to widać, czekał takiej zmiany w sosunku naszym zapewne, to też spojrzawszy mi w oczy baczniej, niż zwykle, uśmiechnął się gorzko, i zrobił jakiś gest ręką, który mniej więcej tak dawał się wytłumaczyć: „Wcześniej czy później nastąpić to musiało—dowiedziałeś się wszystkiego i oto stronić poczynasz i ty, jak od zarażonego trądem; zresztą nic ci nie wyrzucam—jesteś w porządku.“

Tego rodzaju powściągliwość z jego strony wywarła jednak na mnie wielkie wrażenie. Uczucie wstrętu zacierało się w miarę, jak interes, który budziła osoba, zwiększać się począł, bo i jakże mogło być inaczej? Miałem przed sobą człowieka, który z powierzchowności przynajmniej wyglądał na rozumnego, bo oto świeżo złożył mi dowody, że zna życie. Że był występnym nie ulegało wątpliwości, ale trzeba było przyznać, że miał też wygląd prawdziwego pokutnika. Co takiego nieszczęśliwca doprowadzić mogło do zbrodni? Kobieta, ta sama kobieta, którą widuję, która mi się

wydała tak ponętną, i być nią musiała w samej rzeczy, skoro takiego dojrzałego człowieka zawiodła na te bezdroża. Choćby nie ona zabić mu kazała, zabił przez nią i dla niej, a w żadnym chyba razie wbrew jej woli. A więc zabija się z powodu kobiety? to nie swawola wyobraźni romansopisarskiej, to praktyka życia? To znaczy, że wszystko, co dotąd wiązało do życia: rodzina, honor, przyszłość własna, poczucie moralne, szacunek i przyjaźń ludzi, wszystko to, wszystko można podeptać naraz i dojść od razu do szału—zbrodni—hańby!

Sprężyna, motor takiego upadku—kobieta a w szególności ta właśnie o którą szło, przyoblekała się zwolna w myśli mojej w jakieś barwy demoniczne; bez dreszczu zgrozy pomyśleć o niej teraz, a tembardziej spojrzeć na nią nie mogłem. Danych pozytywnych nie przybywało mi wcale, a tylko myśl, uporczywie przerabiająca te wszystkie alternatywy, pod tę chwilę w takiem oświetleniu przedstawiała mi sprawę całą.

Koleją rzeczy przychodziły pod roz-

wagę szanse, jakie mieć może ten nieszczęśliwy w obec sądu, a że nie było mi obcem, jak nieubłaganym jest kodeks wojskowy, przyznać muszę, że zimno mnie przeszło na myśl tragicznego rozwiązania, ku któremu zmierzały wypadki, pomimo, że ani nerwowym, ani zbyt bojaźliwym z natury nie byłem.

Ten człowiek, a raczej to widmo z każdą chwilą nabierało w moich oczach więcej interesu; coś nieokreślonego, a w pewnym względzie zbliżonego do współczucia, kiełkować poczęło odnośnie do niego w mojej duszy. Rewoltowały się przeciw takiej słabości zasady, oświadczał się sąd wyrozumowany, a mimo tego instynkt nie przestawał dopominać się o swoje.

Nareszcie trzeba było przyznać temu straconemu, że umiał nosić swoją hańbę; nie było tam ani wyzwania cynicznego, ani bojaźliwego upokorzenia przestępcy pod ręką sprawiedliwości—przeciwnie, spokojem swoim grobowym, milczeniem, od strychnięciem się i wykluczeniem dobrowolnem zdawał się mówić: Oto umarłem już—czego nad to żądać możecie odemnie?

Jakim był ich stosunek teraz, gdy ta

korespondencya między niemi ustała, trudno się było domyśleć. Prawdopodobnie on nie chciał, a może i nie miał jej co powiedzieć—ona przyjimowała to, nie dając niczem poznać, że radaby przerwaną komunikacyę wznowić. Owszem, ile razy ją mijałem, nie zaczepiwszy, zdawała się doświadczać jakiejś ulgi, uspokojenia i co do tego pewny byłem, że tak a nie inaczej jest chyba. Jej przecież ciężyć musiał ten przedłużony stosunek; instynkt zachowawczy, a zapewne i system przyjętej przed sądami obrony, doradzały wyosobnienie swojej sprawy, o ileby się dało, najzupełniejsze. Co ją z nim dzisiaj wiązać mogło, kiedy się tak zgubił nieodwołalnie? Tak jest! dla niej ten człowiek prawdopodobnie nie istniał już w tej chwili.

Nie mogło też to wszystko razem nie przemówić za nim do mego współczucia, a jakkolwiek dwadzieścia lat to epoka wyrokowań najbezwzględniejszych, powiedziałbym, że mnie coś nieledwie popychało ku niemu. Sympatyą, jak to już nadmieniłem, nie mógłbym tego nazwać w żadnym razie, ale była tu jakaś komizeracya, a może w części interes

jaki obudza każdy mający umrzeć. Kto to odgadnie, dlaczego z większem zaciekawieniem patrzą tłumy na takiego, który został skazany nieodwołalnie, niż na innego, który po wyroku życie wlec jeszcze będzie dalej. Tacy to już jesteśmy wszyscy, a najlepszym na to dowodem jest zbiegowisko na każdym placu egzekucyi. Umrze?—jak będzie umierał?—jak się przedstawi, kiedy spojrzy po raz pierwszy na miejsce swojej kaźni?—jak wstępować będzie na wschody rusztowania?—jakie słowo powie ostatnie? i t. d.

Umiarkowałem też stopniowo moje względem niego zachowanie się; starałem się pozdrawiać go przychylniej, ale nie mógłbym na pewno powiedzieć, czy dostrzegł nawet tę zmianę, Raz sprawdziwszy, że się od niego usunąć zamierzyłem, pozostał na tem miejscu; nie był to więc człowiek, któremu można dowolnie ofiarowywać, albo cofać życzliwość towarzyską. Czem wreszcie mogło być dla niego trochę więcej, trochę mniej uprzejmości ze strony jakiegoś wyrostka, i co jego to wszystko obchodzić mogło?

Tak upłynęły, o ile sobie przypomnieć mogę, dwa jeszcze jakieś tygodnie.

* *
*

W tym właśnie czasie rodzina moja, nie mogąc dla mnie uzyskać rychłego uwolnienia. robiła wszelkie wysiłki, aby ten, nad przewidywania wszelkie przedłużający się, pobyt mój w zamknięciu, o ile możności, uprzyjemnić. W poszukiwaniach swoich trafiono i do tego starego Profosa, a że nie szło o żadne nadużycia, a tylko o drobne koncesye łagodzące surowość regulaminu, więc dał się człowieczysko zmiękczyć, i istotnie począł się dla mnie okazywać przystępniejszym, a nawet życzliwszym, niż dotąd.

Przychodził do mnie, przesiadywał niekiedy po godzinie całej i gawędził o wszystkiem, co się wbrew przepisom nie sprzeciwiało, a że sprawa kapitana nie należała właśnie do liczby takich, o których milczeć przedemną należało, więc i do niej przyszliśmy pewnego dnia. Kiedy go o szczegóły objaśniające dopytywać zacząłem, uważałem, że nijako,

mu było wyjawić o tem zdanie całkowicie, ale i to dostrzegłem, że więcej miał dla obwinionego przychylności ukrytej, niż regulamin dozwalał, i więcej, niż się człowiekowi jego wieku do młodzika, jakim byłem, wypowiedzieć godziło. Wymijająco odpowiadał mi na natarczywe moje badania, a w końcu, kiwnąwszy ręką z gestem niechęci, zakonkludował:

— Nieszczęśliwy człowiek!

— A ona, panie?—kto ona?—co to za kobieta?

— Kobieta—była replika jeszcze krótsza i stanowczo przecinająca rozmowę.

W jakieś kilka dni potem odwiedził mnie znowu, ale zaraz zauważyłem, że jest nie swój, czy zaś był skonsternowany, czy też zły oficyalnie, jak mu się to przez dwanaście przynajmniej godzin na dobę zdarzało, rozeznać nie mogłem. Oglądał się po ścianach, stukał palcami po stole, w końcu zabierając się do wyjścia, wycedził przez zęby w zamyśleniu:

— Mamy jutro sąd wojenny. Nieprzyjemna sprawa!

— Na kogo? — zapytałem, poruszony do głębi.

— Na kogóżby? Jeden tu przecie tylko taki.

— I co będzie, panie?—co będzie? Jak pan myśli?

— Nie można wiedzieć, ale... chyba nie będzie dobrze.

Ręką zrobił ruch niechętny i wyszedł.

Jeżeli stary wojskowy, od lat blizko dwudziestu dozorca więzienny miał taką minę, łatwo sobie wystawić, jak wiadomość taka podziałała na mnie. Noc zeszła mi bezsennie, a z przed oczu moich ta twarz, z której życie dawno uciekło, ustąpić nie chciała. Jak tam spał on— nie wiem, ale zdawało mi się, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, spać musiał lepiej odemnie.

Właśnie poprzedniego dnia rozpoczęły się jakieś reparacye gmachu, i kapitana przeniesiono na mój kurytarz, prosto drzwi we drzwi. Sądzono mi zatem było iść krok w krok za biegiem tej okropnej sprawy.

Nazajutrz od samego rana, gorączkowy ruch zawiadomił mnie, że niewątpliwie w tym już dniu losy tego, który o parę kroków odemnie liczył zapewne godziny i minuty, nieodwołalnie rozstrzygnąć się muszą. Służba wojskowa w uniformach paradnych; wszystko jak w dniach uroczystości! Ha! jużciż i to miała być uroczystość w swoim rodzaju!

Od godziny 10-ej rano słychać było ciągle zajeżdżające powozy; to członkowie sądu przybywali, a obradować mieli w zwiększonym komplecie przez wzgląd, iż sprawa tyczyła się człowieka, którego dotychczasowa karyera wojskowa była bez zarzutu, a życie prywatne również bez plamy.

O wpół do jedenastej profos także w swoim mundurze dymisyowanego oficera przybył wraz ze zdwojonym konwojem, aby zabrać podsądnego na salę posiedzeń; eskorta miała dobyte pałasze. Cały ten aparat sprawiedliwości wojennej dziwnie mi się ponuro i złowrogo przedstawił. Patrzyłem przez szybę mojego okienka, którą na prośbę moją oswobodził od zasuwy blaszanej stróż więzienny.

Widziałem go, jak wychodził. Krok pewny, na twarzy ani śladu wzruszenia. Każdy, nietylko ja, musiałby był na pierwsze wejrzenie przyjść do przekonania, że ten człowiek śmierci się nie lęka, a życie jest mu ciężarem.

Sześć ciężkich godzin od wpół do jedenastej do wpół do piątej przechodziłem po izdebce mojej, jak dziki zwierz po klatce. Jedynego człowieka, który przez ten czas wszedł do mnie, mianowicie posługacza z obiadem, wyrzuciłem za drzwi; zdumiony był tym objawem złego humoru, którego przyczyn ani się domyślał zapewne.

Co tam robił on na tej torturze? Co robiła ona?

Zmierzchać się poczynało już, kiedy nagle stanąłem przerażony; to w końcu długiego korytarza dały się słyszeć miarowe kroki konwoju. Sam nie wiedząc co robię, zakołatałem gorączkowo do drzwi; otwarto je na roścież, bo dzień to był niezwyczajny i wszystko ze zwykłych karbów wychodziło. Niebawem ukazał się kapitan w swoim orszaku— z przeciwnej strony nadbiegał profos

i spotkał się z nim w tem oświetleniu, jakie z mojego pokoju na ciemną przestrzeń się rozlewało. Obwiniony miał głowę spuszczoną, a kepi trzymał w ręku.

Nie miałem siły zdobyć się na słowo; głos zamarł mi w gardle. On zdawał się domyślać, na co czekam i, pokazując mi swoje kepi, żałosnym jakimś głosem, którym nie przypuszczałem, żeby ten człowiek przemówić był w możności, odezwał się:

— Niema już kapitana!

Nie zapomnę nigdy tego akcentu i tego giestu. Teraz dopiero spostrzegłem, że kepi było bez orzełka, ale ponieważ widział, że i to jeszcze nie objaśnia mnie dostatecznie, przeto pośpieszył dodać:

— Degradacya!

Cóż to jednak za potęga te epolety! Toż ten człowiek zdruzgotany, zwiastując nam swój los, tę przedewszystkiem klęskę miał na myśli Degradacya to znaczyło: hańba!

Tymczasem konwój cofał się napowrót. Pozostał tylko on i my dwaj z profosem.

Tak byłem jednak nieprzytomny, że nie mogłem się domyśleć wyroku; nie domyślałem się, czy obawiałem uwierzyć, a w końcu zapytałem go wprost.

— Jakiż mógł być? Śmierć — odpowiedział spokojnie.

— Kapitanie — wtrącił profos — ależ chyba nie zaniedbałeś odwołać się do drogi łaski?

— Musiałem. Ciężko mi to było bardzo, ale dawni koledzy i zwierzchnicy prosili. Oni spełnili to, co im nakazywał honor i obowiązek; do mnie należało zdjąć z nich odpowiedzialność za moją krew. Sprawiedliwość to wielkie słowo!

Ostatnie wyrazy wymówił z niezmierną powagą i tonem głębokiego przeświadczenia.

Zamknięto drzwi za nim i za mną.

* * *

Nastał teraz — mówił w dalszym ciągu p. W., — okres najprzykrzejszy dla mnie w całym szeregu tych długo pamiętnych miesięcy. Pomimo wieku, nowicyuszem w życiu nie byłem; owszem

żyło się gorączkowo, a wrażeń zarówno dodatnich, jak ujemnych było aż do zbytku, te jednak ostatnie przejścia człowieka najzupełniej dla mnie obcego obrzydziły mi życie, poniżyły kobietę, zniechęciły jednem słowem. Wzrok mój tymczasem poprawił się o tyle, że mogłem czytać, zażądałem więc książek, a że mi ich dostarczano na żądanie i bez żadnych prawie ograniczeń ani kontroli, czytywałem po kilkanaście godzin na dobę. Starałem się tym sposobem zasłonić stojącą wciąż przedemną postać tego mającego umrzeć, którego kroki przemierzające pokój dniem i nocą ustawicznie słyszałem. Nadaremnie! W ciągu dnia udawało mi się to do pewnego stopnia; noc ze swojemi półmrokami tajemniczymi była zawsze jednako okropna.

Niepokój, po dwóch mniej więcej tygodniach takiego stanu, doszedł do punktu kulminacyjnego. Popadłem w takie rozdrażnienie, iż najmniejszy szelest nabawiał mnie niewysłowionej trwogi; na każdy stuk głośniejszy w korytarzu, biegłem do drzwi, aby nadsłuchiwać. Czego ja się tak lękałem?

Październik był chłodny, ku końcowi zaczynały się przymrozki, o których zresztą nie wiele wiedziałem, bo zaprzestałem prawie zupełnie wychodzić do ogródka.

Był to dzień piątkowy—pamiętam doskonale, godzina 3 z południa, siedziałem dumając o jutrzejszej sobocie—dniu tak dla mnie pożądanym; w sobotę odwiedzał mnie zawsze ktoś z rodziny, aby mi dodać sił na siedm dni nadchodzących, a istotnie tych sił zaczynało mi nie stawać. Kiedy tak rozmyślałem, kogo z moich jutro zobaczę, odryglowano z trzaskiem drzwi mego pokoju i zadyszana twarz profosa ukazała się w progu. Blady był starzec i zmieszany, jak nigdy; w ręku trzymał dużą kopertę z pieczęcią już rozerwaną. Tę kopertę rzucił na stół, a sam ciężko się opuścił na stojący przy stole drewniany taboret, wykrzyknąwszy tylko, jak to miał zwyczaj, gdy był bardzo rozgniewany:

— Verdammt...!

Zrozumiałem, o co chodzi. Obawiając się jednak zapytać, jak gdyby mnie przez tych drzwi dwoje i te ściany

usłyszeć było można, wskazałem ręką w kierunku celi kapitana.

Kiwnął głową potakująco i poruszył się niecierpliwie na krześle.

— Więc rekurs?...

— Odrzucony!

— A ten papier?

— Z komendantury.

— I cóż tam jest?—wyjąkałem.

— Jaki to dziwny człowiek! Cóż ma być? Wykonanie wyroku. A że tym próżniakom podoba się spać do 11-ej, więc doręczają mi rozporządzenie o 3-ej po południu, zawiadamiając, że jutro przed świtem egzekucya.

— Czy pan mu to oznajmisz?

— A któż? Przecie niema takiego psiego obowiązku, któryby na mnie nie ciężył. Oczywiście, że ja, i to zaraz, w tej chwili.

Podniósł się i słaniając wyszedł za drzwi.

Nadchodził więc i ostatni akt tej prawdziwej tragedyi.

Darmo się było uciekać teraz do moich książek; dzisiaj już od nich żadnego

uspokojenia, ani zapomnienia spodziewać się nie mogłem.

Mrok jesienny zapadał, wszystko zresztą było dokoła mnie tak, jak codzień, tylko w celi skazanego umilkły kroki.

Wahadło życia zatrzymywało się widać powoli.

Jakże straszne są te zachody przedśmiertne i o wiele groźniejsze bywają one, gdy dotyczą człowieka w pełni sił i zdrowia. Mający umrzeć był człowiekiem zamożnym; rozpoczęto od sprowadzenia notaryusza.

Ta konferencya trwała godzin parę; wpadłem podczas niej w jakiś pół sen.

Z odrętwienia wyprowadził mnie odzywający się w sieniach cichy odgłos dzwonka. To sługa Boży przychodził w imieniu tych potęg nieznanych, aby złagodzić cios nieubłaganego prawa, domagającego się ofiary.

Brawury umysłów silnych, frazesy, sarkazmy, w których tak lubuje się burzliwa epoka pierwszej młodości,—jakież to wszystko dalekie było odemnie w tej chwili!

Po jakimś czasie i ten cichy odgłos dzwonka niknął gdzieś w oddali; pociecha religii ustępowała. Zostawało już miejsce tylko dla prawa.

Spojrzałem w dwie górne szyby mojego okna, w te dwie jedyne, które mi światło nieprzyćmione przepuszczały, i wstrząsnąłem się cały. Blady przebłysk zorzy niewyraźnie dawał znać o sobie; mrok nocny rozwiewał się, a mnie fatalne słowa: „przed świtem“ tętniały w mózgu złowrogo.

Niebawem rozległ się odgłos kroków miarowych, ale liczniejszych, niż kiedykolwiek, a ja na tyle przecież znałem zwyczaje wojskowe, że wątpić nie mogłem, iż to pluton egzekucyjny z oficerem na czele, przychodzi po skazanego. Zatrzymano się przy drzwiach.

Światło dwóch oszklonych pochodni, trzymanych przez służbę miejscową potęgowało grozę chwili. Okienko moje było wolne od zasuwy; widziałem wszystko. W tej chwili we drzwiach ukazał się skazany i rozmawiać zaczął półgłosem z oficerem dowodzącym. Co mówili, nie słyszałem, ale niebawem otworzono moje-

drzwi i stanęliśmy oko w oko: ja i ten, który za kilka chwil miał umrzeć.

— Pytano mnie, jak to jest we zwyczaju, czy mam jakie żądanie jeszcze; prosiłem, żeby mi pozwolono pożegnać pana. Czy nie masz nic przeciwko temu?

Tamowało mi oddech; na słowo zdobyć się nie mogłem, ale wyciągnąłem do niego obie ręce.

Strumieniem potoczyły się łzy z jego oczu wygasłych.

— Patrzaj — mówił — moje okute, a i one były niegdyś tak czyste, jak twoje.

— Teraz znowu czyste...

— Wierzysz w to, co mówisz?—pytał wątpiąco.

— Tak, jak w sprawiedliwość Bożą i życie wieczne.

— Bóg zapłać za tę pociechę ostatnią. Bądź szczęśliwy!

Nie upłynął kwadrans cały, a usłyszałem salwę karabinową po za wałem fortecznym.

Dla tego człowieka—na ziemi wszystko teraz było skończone.

* * *

O 10-ej rano wezwano mnie dla widzenia się z matką. Zastałem ją rozrzewnioną bardzo, bo dokończał jej właśnie profos opowiadania swego o ostatnich chwilach nieszczęśliwego, który dziś o porannej zorzy żyć przestał.

Stary, kulawy brygadyer porządkował jakieś papiery na stole i ocierał oczy rękawem.

Szczególna rzecz, doprawdy! Człowiek ten tak był żałowany, jak gdyby wcale przestępcą nie był, a ktoby w tem zbiorowem uczuciu żalu nad miarę subtylizować pragnął, temu odpowiedzieć można, że jeśli, ściśle wziąwszy, nie opłakiwano winowajcy, to w jego osobie opłakiwano z całą słusznością jedno zmarnowane istnienie ludzkie.

Współczucie zbiorowe w takich razach nader rzadko zwykło się mylić, a zresztą bardzo wiele składało się na to przyczyn.

Przedewszystkiem, jak się o tem później przekonałem, do ostatniego zawikłania swego z tą kobietą używał on opinii nieposzlakowanego człowieka. W tej burzy dopiero miał utracić wszystko naraz, od honoru poczynając, skończywszy na życiu.

Tego życia straconego nikt już dla niego nie pragnął, a najmniej z pewnością on sam dla siebie. Ochłonąwszy z szału, sam się przecież oddał w ręce sprawiedliwości, bo rozumiał, że miejsca między żywymi dla niego niema.

Bywają, jak widać, wypadki, w których kara śmierci może być jednocześnie aktem najwyższej surowości i najwyższego miłosierdzia. Nie karą ale mściwym odwetem byłby dla tego człowieka wyrok, skazujący go na długie jeszcze lata żywota wśród potępieńców i wyrzutków wszelkiego rodzaju.

To też odczytując wieczorem uczony traktat Mittermeyera, apostołujący przeciwko karze śmierci, w żaden sposób z autorem sharmonizować się nie mogłem tym razem.

W większej części wypadków krzywdą jest dla społeczności zostawienie przy życiu jednostek występnych; w niektórych, jak w tym oto właśnie, darowanie życia okrucieństwem być może dla samego winowajcy.

Co zrobić przytem z tak głębokiem przeświadczeniem o zadosyćuczynieniu, jakiem było moje w chwili, kiedym zapewniał tego człowieka, iż ręce jego równie czyste, jak moje, i czybym doświadczać mógł tego samego uczucia względem takiego, któryby dźwigał wyrok dożywotniego więzienia naprzykład? Ekspiacya, ale ekspiacya zupełna nie jest bynajmniej czczem słowem.

* * *

— A ona? — zapytała jedna ze słuchaczek,—o niej nic jeszcze nie wiemy.

Niewiele też i ja mam do powiedzenia — była odpowiedź pana W. — Tę kobietę spotkałem właśnie wracając z parlatoryum. Płakano tam nad śmiercią człowieka, który nikomu blizkim a nawet znajomym nie był na świecie, a płakała nietylko

kobieta tak uczuciowa, jak matka moja, ale i starzy, wystudzeni więzienni dozorcy. Jedna tylko była taka, która się na łzę żalu w tym dniu nie zdobyła, a wolno mi to powiedzieć, bom ją przy szczególnego rodzaju zajęciu w ogródku napotkał.

— Cóż ona robiła?—zapytano chórem.

— Nic występnego. Zapinała z całą starannością jedyny guzik rękawiczki, jaki jeszcze niezapięty pozostał.

W parę godzin po tej salwie karabinowej było to zajęcie nader szczególne.

Z wyżyn, na których Opatrzność umieściła kobietę, nie może ona widać zstąpić, żeby się nie zdegradować doszczętnie.

Tak zakończył pan W. opowiadanie swoje o kobiecie, którą nazwał kamienną.

Kamienną była niezaprzeczenie.

OJCIEC.

Mają to do siebie wszystkie najbardziej ogadane, a nawet zużyte zagadnienia psychologiczne, że ich ludzie nigdy roztrząsać i, jak to mówią, na wszystkie boki oglądać nie przestają.

Kwestya, zdaje się, stara, jak świat; setki już o niej pisało ludzi naukowo ukwalifikowanych i nieukwalifikowanych; dziesiątki tysięcy niewątpliwie przy każdej sposobności gawędziło, dyskutowało, a nawet spierało się o nią zawzięcie—niechajże jednak los rzuci na drogę twoją jedną z okoliczności, z których się taka kwestya wysnuć pozwala, wnet znajdziesz między uczestnikami objawu czy wydarzenia gotowych do sporu, i nieledwie poręczyćby można, że wielu obecnych, tylu zapatrywań odrębnych wysłuchać będziesz musiał.

Jednem z takich zagadnień, prześladujących mnie w ciągu całego życia, była kwestya uczuć i stopnia możliwego ich natężenia, przy nizkim rozwoju umysłowym i nędzy materyalnej. Mogę powiedzieć, że miałem owego tematu na mojej drodze za dużo, i po latach doszedłem do tego, iż w książce pomijałem poświęcone mu strony, rozdziały, a choćby i tomy całe, a w życiu widząc zdala nadciągającą chmurę, starałem się, ile tylko mogłem, zmniejszyć towarzystwo o moją jednostkę—raz, że sam nie czułem się już na siłach do przyjęcia udziału w dyskusyi, i wreszcie przekonany byłem, że te spory do niczego nie doprowadzą, to jest, że każdy przy swojem pozostać musi.

Bez względu na to, że w tej sprawie wszelkich uogólniań jak najstaranniej unikaćby należało, prawie wszyscy biorą ją krańcowo. Jedni twierdzą, że wśród takiego, jak nasz lud na przykład, materyału, znaleźć można wszelkie uczucia w należytym stopniu rozwoju—inni przeciwnie gotowi są zawsze obstawać przy tem, że tam, gdzie człowiek skazany

jest na ciemnotę i walkę z pierwszemi potrzebami, tam na żadne uczucie—na trwałość jego mianowicie, miejsca niema i być nie może. Ciemnota, powiadają ostatni, nie dopuszcza rozwoju strony uczuciowej; nędza przytępia wrażliwość na to, co podniosłą stronę życia stanowi; tam więc, gdzie wszystko potrzebom zwierzęcym *podporządkowanem* być musi, tam niczego innego, prócz jakiegoś półbytu—w części zaledwie ludzkiego—przeważnie zwierzęcego lub roślinnego, spodziewać się nie można.

Jedni i drudzy zasypują się wzajemnie przykładami; jedni i drudzy mają racyą, albo wszyscy się mylą, co na jedno wychodzi zupełnie. W gruncie rzeczy żadnych tu być nie może stałych pewników, żadnej reguły, ani normy, bo to wszystko jest najściślej indywidualne, i dobry spostrzegacz wie, z jakiemi tu niespodziankami spotkać się można. To, co wczoraj jeszcze wydawać się komuś mogło niepodobieństwem bezwzględnem, jutro na własne oczy oglądać mu może wypadnie.

Niekiedy okoliczności tak się złożą same, że tam, gdzie wymiana poglądów

przeciwnych do żadnych ustępstw stron dyskutujących skłonić nie może, prosty fakt wzięty z życia — fakt autentyczny i niewątpliwy najwymowniej kwestyą oświetli i rozwiąże; a zawsze w myśl nieśmiertelnej sentencyi: „Spiritus flat, ubi vult.“

Ostatnia to była moja, o ile pamiętam, utarczka na słowa w tej sprawie— ostatnia, w której zniewolony byłem przyjąć udział pośredni. Do sporu dały asumpt zatargi familijne wśród rodziny włościańskiej w Galicyi—zatargi, które na tym klasycznym gruncie nędzy i ciemnoty ludowej jaskrawości oczywiście pozbawionemi nie były. Znalazła się tam i chciwość i filuterya i wszystko niemal, co złe instynkta, ku odsłonieniu ujemnych stron natury ludzkiej, na wierzch wydobyć potrafią. Położenie zaostrzała bardzo ta okoliczność, że pieniały się z matką wdową dwie jej córki, a przedmiotem sporu był spadek po trzeciej z rodzeństwa, nieletniej, zmarłej przed tygodniem. Z po za nawały wymówek, skarg, posądzeń, zarzutów, nie widać było oczywiście ani śladu pamięci o tej, której spuściznę

rozdrapywano w tej chwili, i nie wiadomo było, kto tam już dalej posunął profanacyą—czy córki, wydzierające tej matce wdowie jakieś smutne szczątki po jej dziecięciu—czy ona sama niepomna w tej chwili węzłów, łączących ją z tą, której mogiła o sto zaledwie kroków odległa, żółciła się świeżym piaskiem wśród reszty, porastającej już chwastami na blizkim cmentarzyku wiejskim.

Zgiełk tych głosów namiętnych, dochodzący aż na drogę z domu gminnego, przywabił garstkę myśliwych, powracających z polowania, a w tej garstce oprócz sługi waszego, czytelnicy, znajdował się i literat-belletrysta, drapieżnie chciwy wszelkiego żywiołu brzemiennego powikłaniami, i inżynier przyjmujący udział w budowie kolei, i lekarz, praktykujący od lat kilku w Galicyi, i kilku nakoniec ludzi, których częste zetknięcia z ludem miejscowym kwalifikowały dostatecznie do zrozumienia faktu i wyprowadzenia zeń wniosków odpowiednich.

Dodajmy jako objaśnienie konieczne, że każdy bez wyjątku inżynier, posługujący się przy robocie elementem miejsco-

wym, bywa dla niego najnieprzyjaźniej usposobionym—że lekarz zwalczający codziennie zabobon, ciemnotę i chytrość tego biedactwa, również do stanięcia w jego obronie gotowości okazywać nie zwykł—że reszta tego grona nie mogła w żaden sposób zapomnieć scen, których w roku 1846 widownią była wioska owa—dodajmy to wszystko, a dziwić się nie będziemy cierpkiemu nastrojowi umysłów tych przypadkowych świadków, smutnego w rzeczy samej, zajścia, ani dalszemn ciągowi rozmowy, jaka się po wyjściu naszem z gminnego domu zawiązała.

Nie oszczędzano tam wcale tego ludu. Wydobywał każdy, co mógł, dla odmalowania go w barwach najczarniejszych, a jedyny z obecnych, który radby był wynaleźć cokolwiak ku uniewinnieniu i obronie, czuł się pod wrażeniem chwili, pod wrażeniem wypadku, który przyznać trzeba mieścił w sobie wszystko, co najwyrozumialszego nawet człowieka z życiem i ludźmi poróżnić może.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gromadka myśliwych, których przedstawiliśmy czytelnikowi, przeszedłszy most rzucony

przez bystry górski potok, obsiadła samotnie stojący nad parowem jawor, i tu przypominała sobie pojedyńcze epizody tego zawziętego sporu, komentowała je i objaśniała, podniecana wrzaskliwemi echami głosów niesfornych, a gniewnych, które aż tutaj dolatywały, odbijając w przykry sposób od tej ciszy przedwieczornej, i tego majestatycznego spokoju sioła. Czuł każdy, że tę ziemię nieszczęśliwą zamieszkuje lud jakiś niezbożny, obcy uczuciom ludzkim, wynaturzony—lud o sercach skamieniałych pod wpływem scen niezbyt dawnych, a niezapomnianych dotąd.

— Urządza każdy z was, słyszę, tę biedną Ziembinę starą, jak może—odezwał się niespodzianie głos nowoprzybywającego, który, od kilku chwil już stojąc za nami niepostrzeżony, mógł wątek rozmowy pochwycić. Był to gospodarz domu, u którego gościliśmy od jakiegoś czasu; powracał i on z owej, jeśli ją się tak nazwać godzi, rady familijnej, na której końcu udało mu się wreszcie poważnione kobiety, po naszem już odejściu, do porozumienia doprowadzić. — Urządzacie ją,

mówił dalej, a nieznacie, ani początku sprawy, ani przyczyn, ani okoliczności towarzyszących. To trzeba wiedzieć wszystko—inaczej ocenia się fakt odosobniony tylko, który, przyznaję, smutnie się przedstawia, ale który do wydania wyroku i w dodatku, takiego, jaki słyszałem, bynajmniej nie wystarcza.

— Jakich tu objaśnień potrzeba być może?—pytał inżynier.

— Niema dwóch sądów w sprawie, której wysłuchaliśmy—zadecydował doktór treściwie. Dosyć mam tego i przyznaję, że dalszych studyów wyrzekam się zupełoie. Na długi czas starczy mi tej sielanki dzisiejszej. Miałem i ja swoje niegdyś zachcianki przyjrzenia się człowiekowi pierwotnemu na łonie dzikiej natury, ale zdaje mi się, że kilkumiesięczny pobyt w tej naszej Beocyi wyleczy mię z nich raz na zawsze. Nie potrzebuję się fatygować za ocean, bo mi tntejsi Siouxowie wystarczają najzupełniej, a z tym małym brakiem, którego mi *nie dostaje*, wyobraźnia moja poradzić sobie przecie nie potrafi. Ostatecznie samego aktu ludożer-

stwa na własne oczy nie oglądałem coprawda, ale to już bardzo, bardzo niedaleko i do tego także. Mniej więcej mam przedsmak czegoś podobnego.

— Przesada, panowie moi, przesada! Kilka miesięcy zamało do poznania i ocenienia takich spraw skomplikowanych. Aby wam odpowiedzieć krótko, rozpocznę od zarzutu głównego: oto ludu tego wszyscy nie poznaliście dotąd, jak należy...

Przerwał mówiącemu jeden okrzyk, złożony z rożnorodnych protestacyj pojedyńczych.

— Ja nie znam? Półtora roku dobiega, jak się udręczam z nimi od wschodu do zachodu słońca... A to sobie dobre!

— Ja nie znam? A toż trzy lata skończy się niedługo mojej lekarskiej praktyki w tym kącie przeklętym. Żebym sto lat żył jeszcze, nie zapomnę o niej.

— My nie znamy? — pytali na raz dwaj czterdziestokilkoletni posiadacze ziemscy. — Przecież my tu dawniejsi, my

tu urodzeni... Poszukaj pan innego zarzutu.

— Pozwólcie! Każdemu z osobna odpowiem. Ty wyobrażasz sobie, że człowiek prosty i ciemny zupełnie, który w widokach osobistej korzyści poprzestawia ci nocą chorągiewki, a w dodatku poprzestawia głupio, jest istotą najbardziej zdegradowaną, jaką na tym świecie spotkać można. Tobie wydaje się, że gdy zostawisz mężowi chorej kobiety reńskiego na kupienie lekarstwa, a on po wspólnej z chorą naradzie, zaniesie ten pieniądz proboszczowi i zamówi sobie mszę świętą na intencyę powrotu do zdrowia—tobie wydaje się to szczytem barbarzyństwa, ciemnoty, nieuctwa i, Bóg wie czego wreszcie. Mówisz zawsze o takich wypadkach z żółcią i uniesieniem, jak gdybyś nie znał cięższej winy, i jak gdybyś o wiele większą od takiego biedaka wiarę przywiązywał sam do zalecanych przez siebie środków. Obaj stawiacie zawsze jeden i ten sam zarzut ciemnoty, która jest rzeczą stwierdzoną, której udowadniać nie potrzeba, ale która do takich kondemnat, o jakich

przed chwilą słyszałem, bynajmniej nie wystarcza. Co do panów, dodał, zwracając się do dwóch sąsiadów swoich, przyznaję, że jesteście tutejsi, że się na lud patrzycie od dzieciństwa, ale właśnie to wpływa u was najbardziej na zaciemnienie sądu. Interesy wasze stawiają was w nieustającej z ludem kolizyi, a jakkolwiek przyznać trzeba, że słuszność jest zawsze prawie po waszej stronie, niemniej niechęć jest niechęcią, zadawnienie jej obciąża położenie niesłychanie, a w dodatku macie swoje stare porachunki z tą ludnością, stare gniewy i nienawiści, a to wszystko do bezstronnego sądu nie usposabia. W sumie biorąc, o wyroku beznamiętnym mowy tu być nie może.

— Odchodzimy od materyi. Tu idzie o objaw, i to wymowny bardzo objaw, dowodzący dzikości zupełnej; tego przedysputować nie sposób. Ten lud tutejszy do reszty, wspólnej mu pochodzeniem, w niczem podobny nie jest; niema w nim uczuć ogólnie ludzkich—rodzinnych przedewszystkiem — o innych mówić nie chcę.

— Tak się powiedzieć nie da...

— Prosimy o dowody!

— Tak jest, dowody, któreby można przeciwstawić tamtym — temu przedewszystkiem, o którym mowa!

— Co do mnie, poprzestaję na jednym, byle prawdziwym.

— Tak jest: choćby na jednym!...

— Obejrzyjcie się, proszę, na drogę — odezwał się spokojnie nasz gospodarz.

— No?

— Widzicie tego starca?

— Widzimy, czy on ma nam dostarczać dowodów?

— On sam jest dowodem żywym. Gdybyście wiedzieli, dokąd on idzie i po co, a także, od jak dawna chodzi w ten sposób, może zmienilibyście zdanie.

— Ja widzę przedewszystkiem, że on jest głupi zupełnie. Człowiek tutejszy, jeśli nie jest pozbawiony zdrowych zmysłów, przy rozpoczynającej się słocie, jak to właśnie teraz ma miejsce, pod tę górę by się nie wybierał.

— Powiadasz, że nie dojdzie?

— A rozumie się. Ani on, ani nikt inny; natura tego iłu już taka, że on się tam nie dostanie w żaden sposób.

— Bądź spokojny o to. Nie takie bywają w roku słoty, zamiecie śnieżne i roztopy, a on od lat kilkunastu, jak tu mieszkam, dnia jeszcze jednego nie opuścił. Codzień o zachodzie słońca jest tam na szczycie, gdzie krzyż kończy ścieżynę. Widzicie tedy sami, że są i dla nich jakieś siły przyciągające. Ale, że jak to słusznie zauważono, deszcz się opuszcza naprawdę, więc chodźcież pod dach, a tam wam opowiem dlaczego ten siedmdziesięcioletni starzec z takim wysiłkiem niezmiernym pnie się codziennie do tego krzyża na górze.

Kiedyśmy osuszeni z przykrego, górskiego, wrześniowego deszczyku znaleźli się w obszernym pokoju przy herbacie i cygarach, gospodarz wywiązując się z obietnicy, taką nam opowiedział historyę losów spotkanego przed wieczorem starego gospodarza tej wioski:

„Nazywa się Mateusz Zimny ten człowiek; jest, a przynajmniej był niedawno

jeszcze jednym z najzamożniejszych mieszkańców tutejszych. Rόbię rozmyślnie to rozróżnienie między dawnym a domniemanym dzisiejszym stanem jego zamożności, bo dzisiaj nie wiedzą ludzie, co o nim trzymać pod tym względem. Dawniej zbierał, skąpił, ziemi dokupywał, handlem się potrosze trudnił, i to z powodzeniem nawet—od lat kilkunastu dał pokój wszystkiemu; gospodarką synów podzielił, sam dla braku sił nie pracuje wcale, od ludzi się odsunął; dzień cały, jak powiadają, szepce pacierze, do kościoła chodzi w dnie pogodne, a zawsze niezmiennie w porze przedwieczornej na tę górę swoją—do tego krzyża przezeń wzniesionego tam na wierzchołku samym, skąd szeroki widok roztwiera się na całą dolinę Dunajca. Na kilka mil widać tam dokoła; znam dobrze miejscowość, bo to na gruncie moim ten krzyż stoi, i w swoim czasie przychodził do mnie stary prosić o pozwolenie na tę fundacyę swoją.

Ja jego samego tutaj zastałem we wsi; wiedziałem, że ma dwóch synów dorosłych ożenionych i wyposażonych, że

jest wdowcem i że się gospodaruje, mając przy sobie trzeciego z synów, najmłodszego — chłopca lat mniej więcej dwudziestu, który nawet w pierwszym roku codziennie do mnie na robotę przychodził. Stary próżnować mu nie dawał, a po zarobione przez niego pieniądze najregularniej przychodził sam, bo jak mi zawsze powtarzał: takie niedołęztwo, wielmożny panie, to ani porachować, ani schować. Ot zwyczajnie pokarał Pan Bóg człowieka gamajdą takim. Tamci dwaj chłopy jak się patrzy: i do roboty i do zwady, a ten uciecha ludzka—więcej nic! Najcięźej, że jak śmierć przyjdzie na człowieka, to tę nędzę zadepcą ludzie.“ Tak mówił stary, ale sąsiedzi objaśniali, że osobliwie był w tym chłopaczynie rozmiłowany, że gderał na niego ciągle, ale zabiegał i skąpił tylko z myślą o nim, zasłaniając się zawsze jednem i tem samem: „Coby to począł na świecie taki ciamraga, żeby temu grosza nie naciułać? Skaranie Boże i tyle!“

Tymczasem oglądał się za bogatą dziewczyną dla niego; upatrzył sobie już

nawet jedną taką, jak mówili, i gdyby się było wszystko stało po jego myśli, to ten Józefek byłby z pewnością najzamożniejszym na mil kilka gospodarzem.

Co do chłopca, to nie różnił się on tak dalece od innych, chyba tem, że brzydki był bardzo i niezgrabny, ale co prawda, to i tego jednego między ludem naszym wystarcza zupełnie, aby się człowiekowi takiemu osobnego rodzaju dola usłała na życie całe. Gderał ojciec—gderali inni, on tam tego do serca nie brał tak dalece, ale nie miał śmiałości właściwej wiekowi—pewności siebie; dlatego i na zabawie nie widywano go, a jeśli się znalazł, to zawsze gdzieś w kącie—na uboczu.

Jak widzicie był ten Józefek pewnym rodzajem poniewierki w swojej wiosce, a to stanowisko upośledzone zawdzięczał on głównie przyszłej domyślnej swojej zamożności, o której nikt nie wątpił. Drwili chłopcy młode głośno, szydziły po cichu dziewki, ale te ostatnie pomimo szydersw wszystkich gotowe były każdej chwili pójść z nim razem, jak się to mówi na wsi, do pacierza, a w tydzień potem

i do przypieczętowania tej zgody aktem ostatecznym i nieodwołalnym. A że wszystkie względy kobiece okazywane mężczyźnie dla jego pozycyi pieniężnej, a wbrew jego ułomnościom fizycznym, jak najgorzej dla takiego nieszczęśliwego wybrańca resztę męzkiego rodzaju usposabiają, więc i Józefek niezdara, któremuby w innych warunkach pozostawiono święty spokój, dzięki ojcowskiemu majątkowi doświadczał w swojej zapadłej wiosce wszelkiego rodzaju dolegliwości, jakich w analogicznem położeniu doświadczają ludzie na szerszym świecie i wśród społeczności ucywilizowanych zupełnie.

W zwykłych okolicznościach byłoby się to objawiało raz na tydzień, na zabawie albo przed nabożeństwem naprzykład, kiedy przybyła ludność męzka roznieci ognisko, piecze w nim swoje gliniane fajki i, poruszając wszystkie lokalne sprawy bieżące, rada baraszkuje, strzelając dowcipem nietyle wykwintnym, ile miejscowym w najściślejszem rozumieniu tego słowa.

Tak byłoby, powiadamy, w okolicznościach zwykłych, ale dla tego zakątka

zarówno jak i dla prowincyi całej nadchodziły czasy wyjątkowe.

Nadszedł rok 1866—pamiętna kampania austryacko-pruska.

Już z wiosną głuche zrazu pogłoski, które mają własności przenikania do miejscowości najbardziej oddalonych, trzymały całą ludność w naprężonem oczekiwaniu. Lud każdy wogóle, a galicyjski bardziej niż wszelki inny, przestaje wtedy pracować, gromadzi się, sejmuje, powtarza wiadomości najmniej prawdopodobne i najbezsensowniejsze, ale do roboty go już nie napędzi. Czeka.

Wślad za tem gorączkowy ruch władz cyrkularnych, a wreszcie krótki, jak pobudka, i, jak ona elektryzujący rozkaz mobilizacyi.

Zawrzało wszędzie, jak między pszczelną rzeszą na wyroju. Gromady snuły się po drogach, zdążając na punkta zborne, gromady stały przed gmachami i domostwami rządowemi, gromady przed kościołami a przedewszystkiem przed karczmą każdą zbiegowisko prawdziwe. Jedni pili dlatego, że im wypadało iść na to jutro takie nieznane a tajemnicze, inni

dlatego, że zostawali w domu, boć to życie pełne przygód i hazardów ma dla wielu swój właściwy urok, który odurza i pociąga, inni jeszcze pili na desperatkę poprostu, ale pili wszyscy bez wyjątku.

Kto zna lud nasz, ten wie dobrze, jaki napastliwy bywa wtedy i nie przebaczający.

Doświadczyć tego przyszło i staremu Mateuszowi. Wracał on z pola zaraz jakoś w pierwszym dniu tej zawieruchy, i mijał właśnie karczmę a wracał spokojny i niefrasobliwy zupełnie, bo był jednym z małej liczby mieszkańców wioski, których katastrofa zostawić miała zupełnie na uboczu. Dwaj starsi synowie wyszli jak to mówią z lat, i chyba jakaś w ostateczności zwoływana rezerwa ogarnąć ich jeszcze mogła, a Józefek? No, o tego się przecież troskać nie było potrzeba.

Stawał ci on raz przed komisyą poborową, ale to tam więcej było w tych oględzinach uciechy—chociaż na listach figurował — jak czynności urzędowej. Musiał się wtedy stary za niego i za siebie wstydu nałykać, ale za to teraz

widząc to całe rojowisko niespokojne. zakłopotane, zrozpaczone, rozżalone, pijane, przypomniał sobie tę chwilę wstydu i upokorzenia i błogosławił jej z głębi serca.

„Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, powtarzał sobie stary z samolubnem zadowoleniem myszy bezpiecznej pod tę chwilę w swojej norze. Czy miał i na twarzy ten sam wyraz obojętności na to co teraz wszystkich wyłącznie zajmowało, czy też tylko zazdroszczono mu jego wyjątkowego położenia, dość, że spokojnie przejść nie miał obok tego tłumu.

— Mateusie—zawołał ktoś z głębi,— a co to wy nie z nami? Ady my tu od południa czekamy na Józefka, a jego jak niema, tak niema. Przecie i po niego pisali ze starostwa.

Mateusz skłonny do zwady nie był, więc chciał uniknąć kłótni, pomimo, że zrozumiał zaczepkę, to też, wysilając się na spokój, odpowiedział przez zęby, powoli a dobitnie:

— Widać, że go nie wołali, kiedy nie idzie.

— Co to wołali — nie wołali, a tak z dobrej woli by nie mógł? Co to jego nie stać?

— A ty z dobrej woli?

— Ma się wiedzieć, że mię za łeb nie wloką.—Zawołali—idę, a jakby nie zawołali, tobym i tak poszedł.

— To się wie—poparł któryś z boku w mundurowej czapeczce, z fantazyą przekrzywionej na jedną stronę. — Jak jedni idą, to i reszta, choćby bez wstyd za nimi. Co tam! Jak kupą to kupą!

— To dobrze — odparł stary z flegmą—idźcie z Bogiem—i poruszył lejcami, zwracając konie ku domowi.

Ale to innego dnia było potrzeba na to, żeby się tak tanio wykupić od napaści.

— Słuchajcie no, Mateusie,—odezwał się jakiś chłop sążnisty z zarumienioną od trunku twarzą, przedzierając się przez tłum, — ja wiem, dlaczego wy się z waszym synem tak drożycie. Wyście sobie powiedzieli pewnikiem: niech oni tam nabiorą tego charłactwa różnego, ile chcą tymczasem, a jak ich prawdziwa bieda

przypiecze, to oni się za takimi, jak mój, obejrzą. Co nie tak?

— Niech będzie i tak — odmruknął, hamując się, zaczepiony.

Twarze ożywiały się; okazya do wesołości zdarzała się doskonała, a było przytem odbić na kim to, co tam piekło wewnątrz, a co mimo fantazyi nastrojonej trunkiem dopominało się o swoje prawa.

— Dobrze robicie, Mateusie, i oni tam także widać znają się na rzeczy. Oni sobie zostawiają takich smoków na złą godzinę. Jak zbiorą takich kilka tysięcy a wyprowadzą, to Niemczyska tamte od samego strachu pozdychają.

Tym razem głośny okrzyk śmiechu wynagrodził żartownisia. W starym wrzało, ale on wiedział, że to taka chwila, w której drażnić nie można, choćby i przycierpieć przyszło. Więc tylko wodził po tłumie rozgniewanym wzrokiem, jak gdyby mu chciał błogosławić nienawiścią swoją za tę gorycz niezasłużoną, którą go karmiono.

— Puszczajcie Mateusza do domu, bo oni muszą Józefka dopaść na wojacz-

kę, jak się patrzy. Piękny jest, a będzie jeszcze piękniejszy.

— Co ty się jego czepiasz, co on ci krzyw?—wybuchnął tym razem biedak.— Tyle on wart, co każdy z was, a może i więcej. Dzisiaj tobie—jutro jemu. Ty sobie nim zębów nie wycieraj, bo jak co do czego przyjdzie, to on to samo zrobić potrafi co i ty.

— On to potrafi co ja...

— On ten pokurcz...

— On taki, i t. d., i t, d.

I co było przez lata nagromadzonych nienawiści, to wszystko teraz pod wpływem trunku i dzięki wyjątkowym okolicznościom zlało się w formie obelg i urągowisk brutalnych na niewinną ofiarę całego zajścia.

Starzec bladł i czerwieniał naprzemian. Niezmierny gniew wrzał w nim teraz, to też nie panując już nad sobą zupełnie, uderzył biczem po koniach, które zerwawszy się rozepchnęły przed nim podniecone tłumy i stanąwszy na wozie z zaciśniętą pięścią rzucił im te słowa fatalnej wróżby:

— On pójdzie i tak. Ja wam powiadam, że pójdzie, i niech opieka Boża będzie nad nim sierotą, a was żeby pierwsze kule zmiotły, kiedyście tacy niemiłosierni... Niech was...!

Stałem opodal, mówił opowiadający, i wyznaję, że wrażenie niezwyczajne zrobiła na mnie ta scena. Takie wybuchy ojcowskiego gniewu żalu, cierpienia, nie mogą ginąć bez echa. Słyszą je z pewnością potęgi rządzące losami człowieka; słyszą niewątpliwie, i w takich właśnie chwilach spełniają się chyba przeznaczenia ludzkie, inaczej filozofia ludu nie miałaby swojego pełnego treści: „W złą godzinę powiedział".

Ale wszakci ten ojciec, zelżony w dziecku swojem, wzywał zagłady na głowy innych, których śmierć takich, jak on ojców osierocić miała. On już teraz pragnął sam, żeby to dziecko jego biedne poszło z tym tłumem i pokazało, że ono tyle warte co każdy. On pragnął tego...

„Numinibus vota exaudita malignis."

* * *

Znacie równie, jak ja, błyskawiczne rozstrzygnięcie losów tej kilkotygodniowej kampanii, znacie i wyobrazić sobie możecie, jak się to wszystko odbijało na tej zdumionej ludności, jak ona nie chciała w żaden sposób uwierzyć, ani w porażki pojedyńcze, ani w klęskę ostateczną.

Nie o niej jednak chciałem wam mówić; w tej chwili idzie mi o to, jak się wypadki odbiły na losach tych dwóch ludzi: ojca i syna.

Wystawcież sobie, że nie minął miesiąc czasu od tego zajścia przed karczmą, a powołano nowy kontyngens. Było to na dwa tygodnie może przed bitwą pod Sadową. Jak to się stało, że na listach był i ten Józef Zimny; jak on tam był zanotowany przez komisyą; co im rzeczywiście było po nim, kiedy tyle dorodnego ludu było jeszcze gotowego—tego wam nie powiem; to pewna jednak, że wezwany rano, przed upływem dwunastu godzin opuścił już wioskę, i że go od dnia tego oczy ludzkie nie widziały.

Widziałem starego Mateusza w tym dniu pamiętnym dla niego, widziałem

i nie mogę powiedzieć, żeby mię jego zachowanie całe szczególnie uderzyć miało. Krzątał się, jak mówili ludzie, żeby tego niedołęgę wyprawić jak należy, zaszywał mu w bieliznę pieniądze w kilku miejscach, upominał i zrzędził na niego więcej, niż kiedykolwiek.

Dla skrócenia drogi prowadzono tę gromadkę do miasta cyrkułowego przez góry, bo pośpiech był nakazany nadzwyczajny. Stary zdecydował się odprowadzić syna do Bezirku, jak się to dawniej mówiło, i wybrał się w drogę, ale doszedł tylko do tego krzyża, którego pod one czasy jeszcze nie było, i tam mu się, wedle ich wyrażenia, „cościk zrobiło“. Nie mógł iść dalej. Przez drogę, co chwila wydobywał frasobliwie papierki i wsuwał chłopcu ukradkiem w rękę, nie szczędząc napomnień gderliwych—powtarzając co chwila swoje zwyczajne: „Skaranie Boże z takim ciamragą!“

Obecnych bawiło to niesłychanie, bo wiedzieli, że stary Mateusz był skąpy bardzo, i że się z nim chyba coś cudownego stać musiało. „Odmienił ktoś

starego,“ powtarzał z humorem jeden i drugi.

Ten odmieniony stał tymczasem na wierzchołku góry, nogi odmówiły mu posłuszeństwa po raz pierwszy w życiu, ale wzrokiem obejmował cały niezmierny obraz, i widział tę gromadkę, jak ukazywała się i nikła na przemian wśród wąwozów i zarośli—jak ją przesłaniały chwilami opary Dunajca. Stał i patrzył póki mu nie znikli za ostatnim załamkiem górskiego podnóża, i na tym obrazie zatrzymały się władze jego duszy. Ten jeden miał mu pozostać nieodstępnym przez resztę życia.

W parę dni potem przyszedł do mnie i prosił o zaadresowanie koperty; adres nabazgrany jakąś ręką niewprawną przyniósł gotowy. Stało tam: Kriegsschauplatz, Joseph Zimny. Erzherzog, Karl Fanterie Regiment. Dołączał przesyłkę 10 reńskich. Na moją uwagę. dlaczego dopiero teraz przesyła pieniądze—dlaczego ich nie dał chłopcu odrazu na drogę, odpowiedział swoje:

— Dało się tam trochę, wielmożny panie, ale co to z takim niezdarą.

Zgubił pewnie dotychczas, albo mu odebrali mędrsi.

Wyglądał jakoś niezupełnie przytomnie, przynajmniej do siebie podobny nie był z pewnością.

Takich przesyłek w ciągu miesiąca zrobiłem mu jeszcze kilka.

Za drugim czy trzecim razem zapytałem, czy nie ma o synu jakiej wiadomości. Odpowiedział, że ma; zdawał się zadowolony. Zdziwiło mnie, że tak prędko przychodzą mu te wiadomości, i zacząłem wypytywać o szczegóły.

Tych ostatnich miał on moc wielką, powtarzał je, jak bajkę wyuczoną, a mnie dziwiła nietylko obfitość tych nowin, ale i wielka ich pomiędzy sobą niezgodność, a nawet sprzeczność. Raz mówił, że jego chłopcu lepiej, jak w domu, bo jest przy furwezach, drugi raz, że się dostał na krankfatra do feldśpitalu, że mu tam jest jak w niebie, a jak przekonywałem się, zawsze szło o to, że lękał się przedewszystkiem, ażeby ten jego biedak nie dostał się na linię bojową, żeby był ile można po za granicami niebezpieczeństwa, na wojnie wszelkiej najpospolitszego.

Zacząłem się domyślać, że dostał się w ręce jakiegoś oszusta, że go ktoś wyzyskuje i niebawem sprawdziłem, iż moje domysły były słuszne. Jakiś wyga, stary, dymisyowany wachmistrz, pisywał mu niby listy i odczytywał odpowiedzi na nie, odbierane regularnie co dni kilka. Nie ufał mu na tyle, żeby jego rękom powierzać przesyłki pieniężne, i z temi przychodził do mnie, ale, zawsze, jak na człowieka tak niedowierzającego, jakim jest chłop galicyjski lubiący pieniądz, było tej łatwowierności po nad wszelką miarę.

Ludność miejscowa drwiła sobie ze starca i mówiła, że mu ten dawny wojak bakę świeci i że z niego papierki *galancie* wyciągać potrafi. Ha! hruby z niego kmieć, to niech płaci.

Pewnego dnia przyszła do mnie wiadomość niespodziewana, a równie przykra jak nieoczekiwana. Ktoś mówił, że Mateusz Zimny odebrał pismo z „Krygskomanda“ o śmierci syna, i że pojechał do Bezirku sprawdzić to.

Widziałem go w parę dni potem, ale

zdawało mi się, że szczególnego wrażenia to na nim nie zrobiło.

Myliłem się. On dlatego nie był w tym stopniu pognębiony, jak się spodziewałem, bo niedowierzał. Tamten jego kmotr tumanił mu jeszcze głowę, aby wyciągnąć, co się da. Dopiero, jak zaczęły koleją wracać te wszystkie ekspedyowane przezemnie przesyłki pieniężne,— dopiero wtedy zrozumiał.

Ale i teraz pozornie był takim jak wpierw, tylko, że w tym prawie stopniu przeistoczył się w sobie, jak drętwym wydawał się oczom ludzkim.

Włóczył się czas jakiś do kościoła, dawał na msze, po nocach, jak mówili, gadał ze sobą, aż w końcu jednego dnia przyszedł mię prosić o pozwolenie postawienia tego krzyża tam na górze, bo jak mi opowiadał, miał taki sen, w którym mu Matka Boska powiedziała, że jak krzyż postawi to Józefka zobaczy.

Po nabożeństwie solennem i postawieniu krzyża poszedł on, jak opowiadał później, pierwszego zaraz wieczora na oną górę, i stamtąd zobaczył Józefka, jak

szedł z innymi z tego parowu na dolinę Dunajca i tam dalej het, aż do onego załamka. I tak mi już dał Pan Bóg,—zwykł był powtarzać,—że ile razy chcę, to swego chłopca widzę. Nie gadam do niego, nie dotykam go, ale zawdy lepiej widzieć, jak niewidzieć. Czasem, wielmożny panie, jak mgła duża i doliny nie widać, to on het na tej mgle idzie w tamtą stronę i tak jakoś dopuścił Bóg miłosierny, że ja się tam nigdy po próżnicy nie wdrapię.

Skończył nasz gospodarz opowieść swoją, a po przerwie chwilowej dodał powoli kilka słów jeszcze:

— Widzicie, to on tak przez trzynaście z górą lat wlecze się pod tę stromą górę, i żyje tem jednem, i nie zapomniał dotąd, i nie zapomni z pewnością do końca dni swoich, a ten koniec niedalekim być musi. Teraz mu już i ludzie dają pokój, chociaż wszyscy wiedzą, po co on tam chodzi, a niema takich złych pomiędzy nimi, którzyby mu mówili, że jest ofiarą złudzenia tylko. Oni także wierzą,

że widzi ten człowiek dziecko swoje, a jeśli wam co zależy na tem, to powiem że i ja... nie śmiałbym tego podać w wątpliwość.

W LESIE.

Była godzina trzecia z południa. Drobny, przejmujący, prawdziwie listopadowy deszczyk mżył od jakiegoś czasu, mrożąc i krew w żyłach i resztę myśliwskiej fantazyi, jaka jeszcze pozostała w gronku sześciu młodych ludzi po dniu całym niepowodzeń i zawodów. Polowanie chybiło im, jak nie można gorzej; zdobyczy w ścisłem znaczeniu tego słowa—żadnej; po południu zaraz psy pognały gdzieś zwierzynę grubszą i ani słychać o nich nie było, blask dzienny mroczył się coraz bardziej, a na domiar złego gospodarz, który łowom przewodniczył, i który uspakajających zapewnień co do znajomości lasów tej okolicy rano nie szczędził, około południa tracić poczynał pewność, a w chwili, kiedy się z tą gromadką bez fantazyi spotykamy,

otwarcie już przyznawał, że się nie oryentuje zupełnie, czyli innemi słowy, że wcale nie wie, dokąd towarzyszów zaprowadził.

A tymczasem ów deszczyk ostry krzepnąć poczynał i na końcach igieł sosnowych i na zwieszonych gałęziach brzóz, myśliwi wyszli na jakąś bagnistą leśną polankę, zupełnie im nieznaną, i tu dopiero przy zapadającym zmierzchu rozpoczęły się obrady, jak kierować, aby się wydobyć z położenia, które może nie było wcale trudnem, ale zarówno mogło też być i dosyć groźnem w swoim rodzaju. Wszystko zależało, rozumie się, od stopnia pomyłki, jakiej się dopuszczono, i czasu, w którym stracono kierunek właściwy. Lasy ciągnęły się na długość mil kilkunastu szerokością bardzo znaczną, jeżeli tedy wcześnie się zbłąkano, to pozostawało przypuszczenie, że o dobiciu dzisiaj do miejsca, w którem pozostawiono ludzi i konie, nie było co myśleć.

Obrady, jak to zwykle w takich razach bywa, nie doprowadziły do niczego,

bo ilu ludzi tyle było zdań odmiennych, a tymczasem po nad tem wszystkiem dominował fakt niezbity, iż nikt nawet przypuszczalnie nie wiedział, gdzie się znajdują; wieczór zapadał, chłód dotkliwy wzmagał się z każdą chwilą, nogi po służbie całodziennej odmawiały potrochu posłuszeństwa, a że i o głodzie coś także dało się powiedzieć, więc było tam w całem znaczeniu głodno i chłodno, a szło tylko o to, jak daleko do domu.

Taki był w tej chwili niewątpliwie węzeł sytuacyi, ale czy ci spragnieni dachu i spoczynku mieli go rozplątać niebawem, czy za kilka godzin, czy nazajutrz może dopiero, o tem, jak mówimy, nikt nie wiedział. Gdybyż choć mieli byli pomiędzy sobą jakiego starego kniejowca, możeby ich taki na mocy pewnych skazówek, wtajemniczonym tylko dostępnych, jakoś z kłopotu wydobył, była to jednak młodzież sama, ochocza, ale wobec tego rodzaju trudności bezradna zupełnie. Zdali się też na ślepy traf i szli przed siebie, tej nawet pociechy nie mając, że się od miejsca pożądanego coraz bardziej nie oddalają, albo nie kołują po labiryncie

ścieżek, jedynych w takim wypadku obłędnych drogowskazów.

Tak zeszło im może dwie godziny energicznego pochodu, po których upływie, idący przodem zatrzymał się nagle, gromkim, tryumfalnym głosem, zwiastując: światło!

Nadzieje jednak na tem odkryciu oparte zmalały niebawem. Spodziewano się wioski, albo osady leśnej, znaleziono schronienie jakiegoś włóczęgi, gąciarza, którego proceder w tem miejscu domysłom szerokie pole otwierał, po pierwszych mianowicie informacyach, jakich ten człowiek leśny myśliwym udzielił. Od niego dowiedzieli się, że z granic własności prywatnej wyszli prawdopodobnie już dawno, a napotkany gąciarz z jakichś bardzo odległych stron zabłąkać się tu musiał, bo o miejscowościach, o które go pytali, ani słyszał. Chmurny przytem, spoglądał jak to mówią z podełba, odpowiadał niechętnie, mrukliwie, a i to zdawało się jedynie dla tego, że wobec sześciu uzbrojonych ludzi nie mógł nie odpowiadać, kiedy go pytano. Znać było, że mu niedogadza, iż miejsce jego pobytu

i jego fabrykę odkryto. Trzeba więc było zacząć pytać inaczej, a mianowicie o wskazanie tych miejsc, które on znał, a nazwy te wymienione wystarczyły do odebrania reszty fantazyi niefortunnym łowcom. Po udzieleniu przybliżonych wiadomości co do przestrzeni, jaka ich dzieli od kilku przez gąciarza wspomnianych punktów, przekonano się, że ludzie i konie znajdują się prawdopodobnie o jakieś cztery do pięciu mil, i że co do połączenia się z nimi dzisiaj nadzieja stracona, że raczej należy przy pomocy tego człowieka starać się dotrzeć do pierwszego lepszego ludzkiego mieszkania, bo to, które zastali tutaj, nikomu przydać się nie mogło. Ktoś z obecnych zajrzał do szałasu naprędce z grubych gałęzi skleconego i ziemią obsypanego, znalazł tam kobietę o wyglądzie cygańskim, z dwojgiem dzieci, a miejsca jakieś kilkanaście stóp kwadratowych zaledwie; zresztą: zaduch, nieczystość, nędza! Gdy tedy o odpoczynku i osuszeniu się tutaj mowy nie było, nie pozostawało, jak paktować z tym opryszkiem jakimś i ostatecznie ująć go, aby ludzką siedzibę

najbliższą wskazał i do niej doprowadzić zdecydował się. I z tem jednak nie poszło tak łatwo. Czy bojaźń ujawnienia jego kryjówki, czy niechęć narażania się na chłód nocny tak go opornym zrobiły, dość, że dopiero po długich szeptach z tą kobietą, i po wypłaceniu mu do ręki niepraktykowanie wysokiego wynagrodzenia, namyślił się, i począł do drogi sposobić. W tym celu usunął przyciesi wewnątrz budy, a wydobywszy ztamtąd niezmiernie długą i sznurkami w kilku miejscach zmocnioną dubeltówkę, naciągnął kapotę, i skinąwszy zaledwie, poszedł prosto w gąszcz jakiegoś zwartego, dębowego zagajnika, zachęciwszy obecnych temu kilku słowy:

— Niech panowie idą za mną, a ostrożnie z oczami.

Jakoż nie było to ostrzeżenie wcale zbyteczne, bo przedzierano się literalnie przez haszcze, potykano na pniach, i dopiero po półgodzinie takiego nużącego pochodu trafiono na ślad jakiejś starej drogi leśnej, głęboko porzniętej wozami; tutaj rozpoczynał się pochód znośniejszy

i tu też zdołano z przewodnika pierwsze objaśnienia wydobyć.

— Jak to jeszcze daleko tam, dokąd idziemy?

— Niedaleko. Za godzinę, może za półtorej będziemy na miejscu.

— I co tam jest? Wieś, osada leśna, chata strażnicza?

— Żeby tam była chata strażnicza, to by mnie tu nie było.

— No, więc dwór?

— Ani dwór, tak sobie.

— I któż tam mieszka?

— Pan jakiś. Z pańska patrzy, a zresztą Bóg go wie. Z nikim się nie zadaje, ale ubogi nie jest—o nie! Wiedzą ludzie o nim, że on nikogo nie potrzebuje, nieszczęśliwemu da, czasem doradzi i z biedy wyciągnie. Już on kilku poratował, to mu też spokój dają na tem pustkowiu.

— Niby kto mu daje spokój?

— Kiedy bo panowie, zamiast czego dobrego, to jeszcze za język ciągną, a to dużo gadać, zawsze licha warte. Kto mu daje spokój? mruczał, kto? Ludzie!

Kilku bliżej idących myśliwych, słuchających uważniej, trąciło się łokciami. Oczywiście, ten przewodnik przypadkowy ze sprawiedliwością w jakichś starych musiał być zatargach, a jeśli w tej szatrze z kobietą tylko przemieszkiwał, to jednak do jakiegoś bractwa zorganizowanego z pewnością należał, bo przemawiał ze śmiałością członka stowarzyszenia. Wolno więc było obok przemysłu gącianego domyślać się końskiego i innych gałęzi pomocniczych, stąd też i miejsce do którego wiódł, traciło na powabie. Ale teraz już na żadną rozmowę wyciągnąć się nie dał, szedł raźno, nieoglądając się, a zanim oznaczona godzina upłynęła, wskazał przedzierające się wśród starego sosnowego lasu światełko i, powiedziawszy krótko: to tam, zniknął w gąszczu opodal.

Prowadzeni zatrzymali się.

— No, a na co czekamy? — zapytał ktoś, któremu pilno było widać najbardziej.

— Ba! z takim przewodnikiem rzecz warta namysłu! Dyabeł go wie, komu on nas oddaje w opiekę.

Takie słowa po nocy, po dniu pełnym niepowodzeń, koniecznie demoralizująco oddziałać musiały. Nastąpił namysł, wahanie się, nikt nie śpieszył z radą i byłoby to przedłużało się niewiedzieć dokąd, gdyby ten, co pierwszy już głos po odejściu przewodnika zabierał, nie był i teraz do animuszu zbiorowego umiejętnie przemówił:

— Do licha ciężkiego! Żeby też sześciu chłopa rosłego i zdrowego, mającego w lufach dwanaście strzałów gotowych, a w ładownicach dziesięć razy tyle, oglądało się czy iść, czy nie iść! A choćby i dyabłu samemu w ślepie zaświecić. Fe! doktorze! zdemoralizowałeś korpus, a potem jutro po dniu uczciwy człowiek nie będzie śmiał jeden drugiemu w oczy spojrzeć.

— Niema co, gładko się wyraził — zauważył ktoś z boku, zawtórowano wesoło, a ten, którego nazywano doktorem, powlókł się leniwie, wiedząc, że mu ten jego głos, doradzający ostrożność, policzony i nieraz jeszcze wypomniany będzie. Rozchmurzeni, a nawet całkiem już ochoczy łowcy nasi znaleźli się rychło na

obszernej, leśnej polanie, na której wśród świerków i modrzewi stał żerdziowym płotem opasany schludny domek, a obok niego parę niewielkich jakichś budyneczków, zapewne gospodarskich. O ile ciemność nocy widzieć dozwalała, całość przedstawiała się zacisznie, a nawet wdzięcznie, choć miejscowość niewątpliwie zapadła była i odludna.

Od kwadransa już może oznajmiało wędrowców naszych grube szczekanie brytana podwórzowego, a kiedy się ci, ku płotowi zbliżywszy, zatrzymali, aby wrót jakichś czy furtki w ciemności poszukać, powitał ich niespodzianie głos postaci zarysowującej się niewyraźnie na tle domu.

— Kto tam i czego?

Nastąpiły wyjaśnienia, tłumaczenia, po których postać znikła, rzuciwszy przedtem krótkie.

— Proszę poczekać—zapytam.

Był to zatem ktoś podwładny, co się do właściciela zwrócić musiał—nie właściciel w żadnym razie. Oczekujących cierpliwość nie na długą próbę narażoną być miała, bo parę minut zaledwie

upłynęło, usłyszano zgrzyt zamku, drzwi się otwarły, ukazawszy sień oświetloną, a głos ten sam co poprzednio oznajmił tak pożądanych kilka słów:

— Pan prosi.

Rozpoczęto od przedstawienia się, poczem nastąpiły krótkie wyjaśnienia i usprawiedliwienie gromadnego nocnego najścia, a kiedy i gospodarz koleją rzeczy swoje nazwisko gościom oznajmił, każdy z przybyłych winszował sobie w duchu, że takiem choćby utrudzeniem i przykrościami okupił zetknięcie się z osobistością, z którą zetknąć się w życiu wcale nie było łatwo.

Gospodarzem był człowiek niegdyś znany i głośny, o którym dużo w swoim czasie krążyło pogłosek i opinij, któremu jednak przeciętny wyraz opinii tej nigdy szacunku i niepośledniej wartości nie odmawiał. Dzisiaj mizantrop, czy odludek, jak mówili jedni, po prostu człowiek zmęczony życiem, jak utrzymywali bezstronniejsi, zaszył się w ten kąt zapadły, i tu doczekiwał końca, nie widując nikogo, bo sam krokiem się niewydalał, a kilku natrętów, którzy aż w tę puszczę za

nim trafili, stanowczem ukrywaniem się do dalszych zamachów na swoją spokojność zniechęcił.

Czy się jednak jest odludkiem, czy mizantropem, czy tylko rodzimym safandułą, niepodobna w dżdżystą noc listopadową sześciu ludzi przyzwoitych pozostawić za drzwiami z tej jedynie racyi, że nam twarz ludzka w ogóle pożądaną i potrzebną być przestała, a jeżeli się w dodatku żyło w świecie dużo i nie byle jako, to znalazłszy się pod tego rodzaju naciskiem konieczności, zawiera się chwilowy, milczący kompromis z fatalnością, w przybliżeniu tej treści: „Drugi raz złapać się nie dam tak łatwo, ale skoro już raz jesteście tutaj moi najniepożądańsi goście, starajmyż się podobać sobie ile możności—w każdym jednak razie nie do tego stopnia, iżby się to rozniosło, i jako zachęcenie innym posłużyć miało.“ Tak też zrobił mniej więcej ten Tymon słowiański. Był grzeczny, uprzejmy a jego grzeczność tak była miłą i pochlebną przy opinii, jakiej używał, że przybyli czuli się uprzywilejowanymi wyjątkowo, a ukośne i złośliwe wejrzenia, z któremi spotykał

się biedny doktór, dawały mu przedsmak tego, co go oczekuje w nagrodę za trwożne skradanie się do tego miłego schronienia, i to przeczucie, że nie jeden niemiły kwadrans zgotował sobie swoim brakiem rycerskiego animuszu.

Tymczasem, rozkrochmalano się coraz bardziej. Po niefortunnem polowaniu, po trudach i zwątpieniach, znaleźć kąt ciepły, miłe towarzystwo—bo ci przed chwilą nudni i gderliwi towarzysze byli teraz każdy pojedyńczo i wszyscy zbiorowo wzięci bardzo przyjemnymi ludźmi—w dodatku trafić na niespodziankę prawdziwą w osobie gospodarza, czyż to wszystko razem z dodatkiem nieoczekiwanego posiłku dla ciała, nienależało do wypadków z Tysiąca i jednej nocy?

Co do tego gospodarza domu, to śmiałem jest może posądzenie nasze, ale wydawało się, jakoby ta uprzejmość i to ożywienie nie tylko przymusu były dziełem. Kto wie, może tych kilka wdzięcznych postaci młodzieńczych o poczciwych, szczerych oczach i niekłamanym uśmiechu, wniosło jakieś galwanizujące

prądy do jego samotni—może przypomniało nie jedno takie zebranie, i takie, i inne jeszcze; kto wie? Ten człowiek miał bardzo wiele i nader różnorodnych wspomnień w swojem życiu.

Mówiono dużo, mówiono wszystkiem, przeskakiwano z przedmiotu na przedmiot, a że ten swojego rodzaju pustelnik nie zapomniał do leśnej groty przenieść ze świata jakichś resztek środków, którymi wesołość męskiej połowy rodzaju ludzkiego najskuteczniej się podsyca, że temi podnietami hojnie szafował i umiejętnie zachęcał, więc gwarno było, co się zowie, a kto był jakim takim narratorem, wydobywał niezbyt zużyte, a przynajmniejmniej świeżo odgrzewane epizody. anegdotki i wypadki. Umysł ludzki jednak, choćby to był umysł młodych roztrzepańców, potrzebuje deseru—tym deserem bywa zwykle kronika wydarzeń nadzwyczajnych, niecodziennych, osobliwych—choćby nawet nieprawdopodobnych! Zabrano się do takich, tem bardziej, że asumpt dał wypadek zaszły w okolicy, który dużo wrzawy narobił, a nawet do pism peryodycznych transpirował.

Opowiadano go w najrozmaitszy sposób, komentowano, zaprzeczano możliwości faktu, a nareszcie młody doktór, wspomniany przez nas, który swoją tężyznę duchową czemkolwiek podeprzeć potrzebował, nacierać począł na zasadę, urągliwie znęcał się nad ludźmi, którzy wydarzenie samo w sobie najprostsze koniecznie do rozmiarów nadzwyczajności dociągnąć usiłowali.

Ztąd sprzeczka. Oponentem był jakiś młody, żywego temperamentu chłopczyna, któremu znowu dogadzało, żeby to wydarzenie koniecznie z ram pospolitości wydobyć, że zaś usposobienia były bardziej po stronie przeciwnika, że się nie miał na kim oprzeć, więc zwracając się do gospodarza domu, który nad tym zapewne faktem właśnie w dłuższą jakąś popadł zadumę, odezwał się.

— Panie! Zdaje mi się, że kto tyle żył na świecie co pan, i ma zapas doświadczenia z pewnością większy, niż my obecni tutaj zbiorowo wzięci, że ktoś taki właśnie mógłby nam wyjawić co do tego opinię swoją, na czemś przecie ugruntowaną, bo my, jak w kole zaczarowanem,

błąkamy się między apriorystycznem: „możebne“ i takiemże samem—„niemożebne“. To nie jest dyskusya, to jest sobie przelewanie z pustego w próżne, powiedziawszy po prostu. Idzie o to: czy w życiu ludzkiem niema w ogóle wydarzeń, których w sposób najprostszy, czy najkunsztowniejszy objaśnić się nie da—takich, nad których objaśnieniem daremnie byłoby łamać sobie głowę—takich jednem słowem, które ludzie mianują określeniem: nadzwyczajne, nadprzyrodzone, cudowne!

Jakże panie, są, czy niema?

Gospodarz domu w ciągu całego tego zwrotu trzymał głowę nieruchomie na dłoniach opartą, i z pod tych właśnie dłoni odezwał się spokojny, monotonny bynajmniej do ważności pytania niedostrojony, głos:

— Dla czego by nie miało być? Owszem, są.

Piorun, spadający z czystego nieba w spokojny dzień grudniowy, nie mógłby większego zdziwienia wywołać. Z tego, co o tym człowieku głoszono, wszystkiego raczej, niż podobnego absurdu

spodziewać się było można. Oczekiwano wykwintnego jakiegoś, sarkastycznego aforyzmu — usłyszano sentencyę, organisty, albo prowincyonalnego aptekarza godną; nie należy się przeto dziwić przedłużonemu milczeniu, bo do przewidzenia było, że się interpelowany w końcu jakimś szmermelem dowcipu odstrzeli, i tem się w oczach obecnych zrehabilituje. Zbyt łatwowiernem przyjęciem do wiadomości takiej deklaracyi nikt się kompromitować nie chciał, gdy jednak tego dalszego ciągu jakoś nie było widać, a milczenie znowu na połowiczną aprobacyę wyglądało, znajomy nam już doktór, dźwigający na swoich barkach pięć lat mozolnych studyów uniwersyteckich i półtora roku praktyki, uznał za stosowne podjąć rzuconą rękawicę i zapytał:

— Czyż można na seryo utrzymywać coś podobnego?

— Ha! widać że można, bo ja utrzymuję.

— I to seryo?

— Nigdy mniej ochoty do żartu nie miałem, jak w tej chwili.

— Przepraszam za jedno jeszcze, może natrętne, pytanie, ale ważność kwestyi tłumaczy mnie.

Czy podjąłbyś się pan udowodnić to, co z taką pewnością zdajesz się twierdzić?

— Udowodnić? Po cóż ja mam udawadniać? Ja twierdzę, bo moje życie powiedziało mi o takich tajnikach, nad którymi ja i wielu innych długo sobie głowę łamało bezowocnie, i co do mnie, oddawna już sobie nawet odmawiam tych wysiłków daremnych, odraczając rozwiązanie niejednej zagadki do odmiennych warunków bytu, bo te, wśród których sądzono nam się kołatać, zaspakajających odpowiedzi dostarczyć mi nie mogły. Twierdzę tedy, przekonany jestem, utrzymuję, że byłem świadkiem naocznym rzeczy nadzwyczajnych. O cóż panu chodzi?

— Chodzi mi o możliwość takiej niemożliwości, chodzi mi bardzo, bo ja istotnie chciałbym być przekonanym, że jest nie tak jak ja myślę, ale czyż to moja wina, że na tysiące wydarzeń, nad któremi się przedtem niekrytyczne umysły trwożnie zatrzymywały, nauka dawała później objaśnienia

wystarczające, zupełne, decydujące, a przytem prostoty najpierwotniejszej niekiedy.

— Tak, że wątpliwości nie pozostawało żadnych?

— Tak, że o wątpliwościach mowy być nie mogło nawet.

— To bardzo szczęśliwie. Ja, naprzykład, wyznać muszę, że dużo mi się w ogóle nagromadziło zagadek bez odpowiedzi, które pozostawiłem po za sobą, i przyszedłem w tę puszczę, i jeszcze ztąd do nich myślą powracam, a zawsze bez rezultatu, chociaż mi na czasie do kontemplacyi potrzebnym nie zbywa, a i kluczów do tych zamków próbowałem nader rozmaitych.

— I zawsze bezowocnie?

— Dotąd ciągle bezowocnie.

— Szczególne!

— Pozwólże mi pan nawzajem zapytać: czy do tej pewności, z jaką pan przy zdaniu swojem obstajesz, upoważnia go jakiś szereg zaregestrowanych tryumfalnych rozwikłań własnych, tam gdzie inni z otwartemi usty patrzyli, nic nie rozumiejąc—czy też twierdzisz pan, a raczej

przeczysz twierdzeniom innych, tak — niech to będzie bez obrazy—in verba magistri, dla honoru metody, czy jak tam wreszcie zechce kto nazwać? O wyrazy iść nam nie powinno, boć zresztą rozumiemy się bardzo dobrze. Wszak tak?

— Tak, do pewnego stopnia przynajmniej. Co do spostrzeżeń moich własnych, to ja ich również nie potrzebuję zupełnie, bo, znając niecofniony i konsekwentny porządek natury we wszystkich sprawach tego świata, wiem dobrze, co odnieść należy do złudzenia zmysłów, napięcia nerwowego, fanatyzmu i egzaltacyi chorobliwej, która zdolna sama z siebie wytworzyć stan trwały złudzeń, powracających niemal na zawołanie osobnika dotkniętego, tak, że ten w następstwie z całą dobrą wiarą zapewnia, iż widział, słyszał, doświadczał. Za nim powtarzają tłumy, komentuje każdy wedle stopnia fantazyi i zdolności własnej, i rośnie sobie tym sposobem baśń, niekiedy zdumiewająca niemowlęctwem pomysłu, to znowu niepozbawiona pewnego wdzięku, a nawet zadziwiająca urokiem poetycz-

nym, bo taka jest ostatecznie geneza wszystkich legend, wydarzeń cudownych, dziwów nadprzyrodzonych—tego wszystkiego jednem słowem, czego w naszym wieku realnym, przy świetle nauki nie widzimy, chwała Bogu, wcale. O tyle też jesteśmy ubożsi, czy bogatsi, jak kto chce!

— A po za tem nic?

— Po za tem? Cóż może być po za tem? Jak mówiłem: złudzenia mimowiedne, albo fałsz rozmyślny, ze złą wiarą upowszechniany. Wśród tysiąca powtarzanych dziwów i cudów nie znajdzie się z największą pewnością żadnego, któregoby pod jedną z tych dwóch kategoryj podciągnąć niemożna. Zresztą, panie, jeśli mam całą prawdę powiedzieć, to za dni naszych równy niemal wstyd zbijać podobne uprzedzenia, jak twierdzić, że możliwemi są rzeczy dla rozumu niedostępne. Ta cała szermierka już nie dla nas—to są rzeczy przebrzmiałe i to bez echa przebrzmiałe. Może być, że to i cieplej było ludzkości, kiedy się czuła pod działaniem potęg opiekuńczych albo wrogich na każdym kroku; ja temu nie

przeczę, ale nie idzie za tem wcale, żeby możliwem i godziwem było dążenie do cofnięcia się po za zdobycze nauki gwoli dogadzania łaskotliwości wyobraźni pewnych jednostek.

Tak podług mnie przedstawia się cała kwestya, jeżeli wogóle nie bierzesz nas pan wszystkich tu zgromadzonych na fundusz nielitościwie, co byłoby, przyznaję, z niemałym dla przenikliwości naszej wstydem, żeśmy się jak studenci prawdziwi, ku uciesze pańskiej, w dyskusyę zapędzić dali.

Gospodarz domu przybrał wyraz bardzo poważny, a kiedy wszyscy z prawdziwem zaciekawieniem oczekiwali, co on też na tę odprawę, jaką mu dał doktór, za odpowiedź wynaleźć może, powoli ale dobitnie mówić zaczął:

— Wyjdźmy z ogólników. Ja, panie, zupełnie seryo i z głębi przekonania wypowiedziałem wszystko, coście odemnie słyszeli; powtarzam raz jeszcze: widziałem w życiu mojem rzeczy nadzwyczajne, takie właśnie, na które pan, gdybyś je znał, także z największą pewnością odpowiedzi byś nieznalazł, ani pan, ani ktokolwiek-

bądź inny, bo tu niema nic do powiedzenia. Tu trzeba fakt uznać i nie probować go objaśniać, choćby także przez obawę narażenia się na śmieszność. A gdybym ja pana zaprosił do objaśnień w tym chociażby przypadku, który w tej chwili mam na myśli, zaręczam ci, że w wielkim znalazłbyś się kłopocie, i możeby ci nawet wszystkiego, coś w tej materyi dotąd wygłosił, szczerze żałować przyszło.

— Nie przypuszczam.

— To źle panie, trzeba wszystko przypuścić—nawet rzeczy niemożebne... Ostatnie wyrazy wymówione były sucho, gorączkowo, niemal szorstko. Każdy czuł tymczasem, że się coś bardzo poważnego rozpoczyna; na krotochwile nie było tu miejsca. Twarz gospodarza przebiegały od czasu do czasu nerwowe drgania, milczał i szarpał wąsy, nareszcie jakby się zdecydował, przeszedł parę razy pokój wzdłuż i wszerz, i stanowczym głosem przemówił do obecnych.

— Bardzo to przykra rzecz być zmuszonym do mówienia o sobie, a jeszcze przykrzejsza do przemawiania za sobą;

nie mogę jednak tego pominąć, bo do wyrobienia sobie sądu o wydarzeniach, które usłyszeć macie, jako pierwszy warunek potrzebne wam jest przeświadczenie o autentyczności faktu—innemi słowy, o wiarogodności sprawozdawcy. Jest przedewszystkiem przy życiu kilku jeszcze ludzi, którzy narówni prawie ze mną obeznani są z historyą tą szczególną, a między nimi jest ten, co wam dzisiaj drzwi otworzył. To sługa rodziny, do której należał człowiek, o jakim mam mówić; dzisiaj starzec dożywający wraz ze mną w tej samotni leśnej. Są i dowody rzeczowe, które będziecie mogli obejrzeć, a nakoniec, że w opowiadaniu mojem nic nie będzie zmienionem, naciągniętem, podniesionem do znaczenia, którego nie miało, niech wam za rękojmię posłuży dewiza moja osobista, której używałem, między ludźmi żyjąc, a której nikt nie odważył się dotąd podać w wątpliwość.

— Ne joco quidam... — odezwał się głos jakiś, któremu przerwał gospodarz uprzejmym ruchem głowy.

— Dziękuję za pamięć. Czy poprzestajecie na tem?

Milczące powstanie z miejsc było jedyną odpowiedzią.

— Posłuchajcież.

Edward L. był synem znanej i powszechnego szacunku używającej rodziny.

Poznałem go, kiedy miał lat dwanaście; byliśmy w jednej klasie i staliśmy na stancyi u tego samego profesora, starego autoramentu filologa, poczciwca zresztą, ale rutynisty wielkiego w pojęciach o wychowaniu, a nadewszystko upartego i nie dającego się przekonać w niczem, co mu raz do głowy jako pewnik przylgnęło.

Nie było na tej stancyi nikogo więcej, oprócz nas dwóch, ztąd ten ścisły od samego początku między nami stosunek, o tyle z mojej strony łatwiejszy do zrozumienia, że chłopczyna ów posiadał wszelkie możliwe warunki do jednania sobie sympatyi ludzkiej. Miał jej też na samym wstępie do życia od rówienników swoich dostatkiem, bo wdziękowi rysów odpowiadało zupełnie obejście ujmujące

i jego natura entuzyastyczna, szczera, zapowiadająca charakter prawy i gotowość do ofiar. Obowiązkowej szkolnej nauki nie zaniedbywał, ale ktoś starszy, rozumiejący się na tem, już wtedy mógł był przewidzieć, że nauka nie będzie miała swego fanatyka w tym chłopcu... Zresztą żywy, swobodny, tak jak to bywają powszechnie dzieci szczęśliwe, nie budził niechęci i zawiści, bo się gorącem sercem i gotowością do usług za przywileje fortuny sowicie otoczeniu swemu wypłacał. Nawet zawistne, mętne duchy, a bywa takich i między dziećmi dostatek, przebaczały mu jego szczęście, bo dziwnie ciągnęło go serce do słabości, szpetności wszelkiej, niedoli wogóle, której krzywdy takie, przez los zrządzone, miał sobie za obowiązek nagradzać i słodzić.

W ciągu kilkoletniego obcowania naszego, które poprzedziło wypadki, o jakich mam mówić, dowiedziałem się o nim z ust jego własnych prawie wszystkiego, co on sam wiedział o sobie. Wiedziałem, że miał rodziców, do których bardzo był przywiązany, za którymi, nawet wśród tego ogłuszającego gwaru młodzieńczego

tęsknił serdecznie, i dwoje rodzeństwa, brata i siostrę, młodszych od siebie.

Opowiadał o wsi rodzinnej, do której wzdychał głośno i po cichu, jak mało który z nas w tym wieku. Swoich też wspomnień i swoich miłości wielkich miało to chłopię serdeczne, gotów bym powiedzieć, nad wiek i nad potrzebę. Robiło go to i lepszym i dojrzalszym i piękniejszym, ale nie w oczach wszystkich równie dobrze mu usługiwało: uchodził on między zwierzchnością szkolną za tak zwanego chłopca bardzo porządnego chociaż mu nasz domowy pedagog psuł trochę reputacyę, bo łacinę niedosyć miłował, a innych tam dziwolągów swoich, jak mówił starzec, potworzył sobie dosyć, które mu czas drogi bezpotrzebnie zabierały, i odrywały myśl od rzeczy poważnych. No trudno! jeszcze się taki nieurodził... i t. d. Lubił wycieczki zamiejskie i zawsze niecierpliwie ich oczekiwał, gorączkowo się na nie wybierał, ale powracał z nich chmurniejszy, jak gdyby zdegustowany. Wszystko tu było nie takie, jak tam w onej jego ziemi obiecanej— i niebo nie takie przejrzyste i woda

rzeki mętna, i zieloność szara, martwa jak mówił, a umiało już wcześnie to ucho młode chwytać szmery dla innych niedosłyszane, umiały te piękne, niebieskie, zadumane oczy patrzeć i chłonąć w siebie to, co do duszy przemawiało.

Tak doszliśmy do klasy szóstej.

Była to wiosna, zbliżały się egzamina; przed nimi ułatwiano się ze wszelkiemi ekskursyami, aby czasu potrzebnego na przygotowanie nie zajmować potem. Na taką właśnie wycieczkę botaniczną poszliśmy i my z naszym nauczycielem tego przedmiotu, człowiekiem dbałym bardzo o nasz postęp, lecz nie umiejącym ani wykładów ożywić, ani nas zachęcić. Traktowało się rzecz obowiązkowo, ale to była wycieczka zamiejska, a że używało się na niej powietrza świeżego i wolności względnej w wyższym nieco stopniu, niż w murach szkolnych, więc szło się chętnie, a jak my z Edwardem dnia tego—to nawet ochoczo.

Dzień był majowy, ale upalny; wstaliśmy o godzinie czwartej, odbyli do zagłębia, na zbieranie roślin odpowiedniego, jakieś pięć wiorst blizko, tam na miejscu

poczciwy nasz profesor z całą skrupulatnością onego kollekcyonowania dopilnowywał, a że mu się z tego w następstwie legitymować było potrzeba, że to miało związek z tak zwanym stopniem, więc choć my wolelibyśmy byli niewątpliwie zamienić to na czystą przechadzkę, ale się to nie udawało, i każdy do jakiejś godziny dziesiątej musiał się natrudzić o wiele więcej, niż miał ochoty. Wszystko jednak, a nawet złe, skończyć się musi. Z tą godziną, wedle przyjętego zwyczaju ustawała praca, przychodził czas na wytchnienie, pogawędkę, na to wszystko jednem słowem, co dla nas stanowiło great attraction przedsięwzięcia.

Ale my z Edwardem L. nie szukaliśmy całego grona kolegów naszych, natomiast wybrawszy jakieś suchsze miejsce nad strumieniem, w cieniu olch olbrzymich, pozostaliśmy tam, gdzie nas chwila wypoczynku zastała. Pamiętam, boć ten dzień okropny i dla niego i dla mnie pośrednio, jak gdyby to było wczoraj, stoi przedemną; pamiętam, że i śniadanie nie szło nam jak zazwyczaj,

bośmy gwałtownie, a on przedewszystkiem, potrzebowali odosobnienia. Dziwnie był dnia tego strudzony, nieswój, wyczerpnięty, ale nie uważałem, żeby był niezdrów; była to tylko, jak on mi później powiadał jakaś poczynająca się niemoc, jakaś senna bezwładność. Jak rychło on usnął— niewiem, to pewna, że mnie się na sen musiało zebrać prędko, bo mi do tego i znużenie i milczenie jego i szum rozkoszny tych olch dziwnie dopomagały. Usnąłem.

Przebudził mię głos Edwarda, ale taki dziwny, przerażający, bolesny, jakiego nigdy przedtem ani potem... chyba raz jeden jeszcze w życiu, niezdarzyło mi się słyszeć. Zerwałem się i oprzytomniałem w jednej chwili, a obraz jaki miałem przed sobą zaledwie się da opowiedzieć, tyle w nim było niepojętej grozy i tajemniczości—taki on był dla mnie nowy a straszny.

Przedemną z twarzą trupio bladą, z oczyma szeroko rozwartemi przerażeniem leżał biedny chłopiec, jak ja wówczas sądziłem—umierający. Obiema rękami zdawał się bronić przed czemś dla

mnie niewidzialnem, co go przeraziło aż do utraty przytomnosci, rysy kurczyły się jakby od jakiegoś bólu dotkliwego, w końcu dłoń szukała prawej skroni, a usta wyjąkały szeptem: Boli! ah jak boli! Dobrze wiem, że to były jedyne słowa, jakie przez ciąg całego paroksyzmu wymówił.

Zresztą przytomność nie powracała, wyraz przestrachu nie ustępował, tak samo i owe ruchy rąk, którymi się zasłaniał i bronił. Przeciwko komu, przeciwko czemu? alboż ja wiedziałem, kiedy ja na razie niewiele przytomniejszy byłem od niego samego.

Mnie nie poznawał stanowczo, tak jak nie dostrzegał nic z tego, co było dokoła nas; chwilami przymykał oczy i uspakajał się, ale te przestanki były krótkie, a po nich stan poprzedni powracał.

Jak to trwało długo—nieumiałbym powiedzieć.

Rozumie się, że pomoc, jakiej mu narazie udzielić mogłem, była najniedołężniejsza, a nawet może szkodliwa, bo wiem, że go siłą rozbudzić chciałem, żem

szarpał i wołał na niego, a głosem tak donośnym, na jaki mi tylko własny przestrach dozwalał, przyzywałem jednocześnie pomocy kolegów. Niestety, nikt nie przybywał!—wszyscy byli jak my znużeni prawdopodobnie, jak i my zabrali się do spoczynku i snu. Co tu było robić? Pozostawić wszystko naturalnemu biegowi—nie sposób—opuścić go tutaj nieszczęśliwego na pastwę tej męki wydawało mi się także nieludzkiem, ale sobie w tej chwili przypomniałem o naszym profesorze botaniki; powiadano iż jest on w połowie doktorem, więc zastanowiwszy się naprędce, że ja tej całej katastrofy na własną odpowiedzialność wziąść przecie nie mogę, wybrałem raczej pozostawienie chwilowe, i szukanie ratunku u profesora.

Zanim go jednak odszukałem i zdołałem opowiedzieć, o co idzie, i zanimeśmy wraz z gromadą kolegów do niego przybyli, sporo czasu upłynąć musiało. Zastaliśmy Edwarda nieprzytomnego, jak przedtem, ale oczy miał przymknięte teraz. Spał, czy martwy był—nie wiedziałem na razie. Profesor lege artis zabrał

się do zbadania tego stanu, szukał tętna, osłuchiwał serce, podnosił powieki, potem raz po raz kilkakrotnie na mnie wzrok obracał—jakiś wzrok badawczy, zimny, jak mi się odrazu wydawało—nieprzychylny, potem podniósł się z ziemi, na której dla zbadania chorego był przyklęknął, zadumał się frasobliwie, i zcicha wycedził między zębami, jakby do siebie:

— Niech zginę, jeśli ja wiem, co to jest.

Potem znowu, jak gdyby mu myśl przyszła nowa, próbował mięśni rąk, wypytywał, czy nie zauważyłem sztywności wielkiego palca, a nakoniec dowiedziawszy się, że jestem towarzyszem Edwarda na stancyi u starego filologa, badał mnie, azalim nigdy nie widział u kolegi ataków epileptycznych, których symptomata mi objaśniał. Na moje przeczące odpowiedzi gniewał się i dąsał, a jeszcze raz schyliwszy się nad chorym, pomruknął z cicha „rozszerzona“ i wytłumaczywszy, że to będzie prawdopodobnie początek mózgowego procesu zapalnego, kazał co rychlej wyszukać furmanki, aby z zachowaniem

przepisanych ostrożności odwieźć chorego do domu.

Tak jest, to cerebralne! mruczał zakłopotany, jeśli tylko nie... tu znowu przeszył mnie tym swoim wzrokiem, który mi się niebardzo mądrym wydawał, i pomruknął:

— W takim razie, jabym się pięknie ustroił przez was. Niech was... — niedokończył.

— Z kolei ja pomyślałem sobie:

— Niech zginę, jeżeli ja się domyślam, czego chce odemnie ten safanduła.

Odjechaliśmy z bezprzytomnym i sennym ciągle Edwardem, otrzymawszy na odjezdnem obietnicę odwiedzin profesora botaniki przed wieczorem.

Od początku jednak, jak widać, aż do końca wszystko w tym wypadku szczególnym miało być o tyle tajemnicze, o ile niespodziewane. Chory spał całą drogę nieprzerwanie, a ja, przypatrując mu się z wielką uwagą, dostrzegłem, że twarz stygnie powoli, objawy które profesor pod koniec brał za gorączkowe — ustępują, natomiast ten wyraz przerażenia,

którym mię tak zatrwożył, od czasu do czasu ukazywał mu się jeszcze na twarzy. Były to jednak oznaki coraz słabsze, jak gdyby echa tego samego gromu, ale coraz cichsze, coraz mniej wyraźne.

Śpiącego już zupełnie normalnie dowiozłem do domu. Tu dał się rozbudzić, z moją pomocą wysiadł z bryczki, ale słowa z niego dobyć nie było sposobu— patrzył w ziemię i zamknąwszy się w pokoju, nie chciał widzieć nikogo.

Pod wieczór zjawił się u nas profesor botaniki, obejrzał Edwarda, mnie rzucił jakieś zabójcze spojrzenie i poszedł na naradę do naszego filologa. Co oni tam uradzili we dwóch, niebawem miało mi być objawionem. Zawołany do gabinetu, po zamknięciu drzwi starannem, usłyszałem, co następuje:

— Nie choruje się bez przyczyny i nie powraca do zdrowia, przespawszy się. Jedna jest tylko choroba, którą się w ten sposób leczy—czy wiesz jaka?

Gromada waryatów! pomyślałem sobie: Czego chce ten znowu?

— Czy wiesz jaka?

— Nie wiem.

— To ja ci powiem, dzieciuchu zepsuty! Nazywa się to odurzenie alkoholiczne.

Piękniešcie się popisali obydwa. Do tamtego nie mówię, bo on może jeszcze teraz nieprzytomny, ale tobie... i t. d. i t. d.

Było tego nad wszelką cierpliwość. Tłómaczyłem się, zaklinałem po dziecinnemu, w końcu niezapomniałem przytoczyć na naszą obroną, że przecież mnie profesor botaniki na miejscu wypadku widział przytomnym zupełnie; daremnie! Na te dowody niewinności naszej taką znowu wyrafinowaną odebrałem replikę:

— To nie mnie mówić takie rzeczy! Piliście. Ty masz może głowę mocniejszą, albo cię strach o tamtego najskuteczniej oprzytomnił. Kłamstwa, kłamstwa, same kłamstwa! Zwierzchność szkolna musi się o tem dowiedzieć.

Upór starców bywa niekiedy w tym samym stopniu zawzięty, co upór dzieci.

Rozgniewany, oburzony, jak każdy wreszcie kogo dotyka podejrzenie czy potwarz, poszedłem podzielić się z Edwar-

dem przykrością, jaką mi sprawiły posądzenia tych niedołężnych starców.

Wysłuchał mnie, czy nie wysłuchał—niewiem. Siedział na tem samem miejscu, na którem zasiadł po przybyciu, podparty na rękach. Na moje uniesienia nie zdawał się zwracać uwagi, więc podwajałem usiłowań, żeby mu dać do zrozumienia o co chodzi, a gdy mi się to nie udawało, zacząłem robić wyrzuty, że milczeniem swojem te ich głupie przywidzenia potwierdza i aprobuje—że przecież powinien raz wyraźnie powiedzieć, co mu było, zamiast zamykać się w tej swojej prostracyi, o której nareszcie i ja nie wiem już sam, co mam myśleć.

Milczał, ciągle milczał, rozpaczliwie milczał ten człowiek, a kiedym do żywego zirytowany i podrażniony jakiejś przecie odpowiedzi się domagał coraz natarczywiej, spojrzał na mnie oczyma załzawionemi, ale spojrzał tak boleśnie, tyle tam było niemej prośby, żeby mu nie mącić spokoju, że i ja nareszcie z obawy, aby się scena ranna nie powtórzyła, pozostawiłem go samemu sobie.

Wyszedłem na świeże powietrze, bijąc się z myślami i pragnąc przeniknąć, co w tem jest; chodziłem, zastanawiałem się nad przebiegiem całego zajścia, przypominałem najdrobniejsze okoliczności. Napróżno! Nieodgadywałem.

Znalazłem go po powrocie do domu jeszcze tam, gdzie spoczął po przyjściu. Godzina była późna, wszyscy w domu spali, zaproponowałem mu zgaszenie światła i spoczynek. Widziałem niezmierną walkę na twarzy, wysiłek woli, który go dużo kosztował, ale się przemógł. Były to jego pierwsze wyrazy po wypadku.

— Pozwól mi nie gasić światła. Ciemność jest taka straszna, zlituj się. Nie mów do mnie, bo mnie głos twój boli, a nadewszystko nie każ mi mówić, bo mój własny głos dla mnie jest okropny. Później powiem ci wszystko.

Nie było co robić, zastosowałem się do jego woli.

Nazajutrz machinalnie wybierał się do szkoły; szliśmy razem, ale ani jednego słowa nie zamieniliśmy ze sobą. Zjawieniem się swojem po tak zatrważających

symptomatach usprawiedliwił biedak wszystkie podejrzenia, które od profesorów między młodzież przeniknęły. Zasypano nas gradem żartów złośliwych, a co mnie najbardziej dziwiło to, że te głupie podejrzenia, które mnie prawie do szału doprowadzały, jego wcale nie zdawały się dotykać. Milczał.

Na korytarzach szkolnych pokazywano nas sobie oczyma, a ja dosłyszałem wyraźnie, jak stary nasz inspektor mówił do księdza:

— Odkąd jestem zwierzchnikiem, nie trafiło mi się nic podobnego.

— Zapewne. Szesnaście lat, szósta klasa—to trochę zawcześnie, była odpowiedź.

Nie dochodzono, aby nie robić skandalu, nie prześladowano, ale widocznem było, że przylgnęło to do nas, a najlepszym dowodem było sprawowanie nasze, które w cenzurze obniżono nam odrazu o całe dwa stopnie. Koledzy, stępiwszy pociski swego dowcipu, dali nam pokój, i tak pozostały rzeczy aż do dalszych rozporządzeń Opatrzności.

Nie zaprzątała dotąd mojej młodej głowy ważna bardzo kwestya pomyłek sądowych, ale mimo tego czułem się ofiarą takiej pomyłki, i cierpiałem nad tem dotkliwie, a co mnie do rozpaczy doprowadzało, to, że Edward, który ze swego milczenia i swojej automatycznej krzątaniny wcale nie wychodził, żadnej na to wszystko uwagi nie zdawał się zwracać. Czas mię jednak przekonał, że obojętnem nie było to dla niego.

Tak upłynął nam jeszcze tydzień jeden. Nic się nie wyjaśniało, przyobiecane wytłumaczenie się odwłóczył on wyraźnie, nie mogąc czy nie chcąc do niego przystąpić, wszystko dokoła nas i my sami zmieniliśmy się, jak gdyby nam niewiedzieć wiele lat przybyło, ale zkąd— dlaczego? Widziałem tylko, że cierpiał, ale gdzie było źródło całej troski?

Ostatecznie nie pojmowałem dlaczego cierpiał, dlaczego się nie bronił, dlaczego przy każdem odezwaniu mieszał się i rumienił, jak gdyby był winowajcą, dlaczego popadał w kilkogodzinne zadumy, dlaczego nie sypiał po nocach, a w łóżku, jak to dobrze słyszałem, płakał jak

dziecko,—dlaczego jednem słowem stał się zupełnie innym. Tęsknota jego za rodziną i domem była już teraz czysto chorobliwej natury, a jednocześnie blizki wyjazd do domu nie cieszył go wcale—owszem niepokoju i dreszczu jakiegoś nabawiał. Raz wśród takiego zamyślenia, w jakie ciągle popadał, niewiadomo zkąd mu przyszło zapytanie i prośba zarazem, abym ja mu obmyślił sposób jaki, iżby on ten dzisiejszy stan swojej duszy mógł ukryć przed najbliższymi, ile się tylko da—że on nad tem myśli ciągle, a nie widząc sposobu, do rozpaczy dochodzi. Skorzystałem ze sposobności, aby się raz przecie czegoś dowiedzieć.

— Pytasz mię o sposoby ukrycia czegoś, mówiłem mu, a nie powiadasz, co ma być ukrytem. Ja nie chcę dokuczać ci pytaniami, bo widzę, jak cię to udręcza, ale w jakiś sposób skończyć się to przecież musi i powinno. Popadliśmy w podejrzenia u tych głupców—mniejsza z tem, ale dokąd ty chcesz zajść z tem zamknięciem w sobie tajemnicy twojej, — wyznaję, że nie rozumiem. Powinieneś czuć, że mię to dręczy i gniewa,

bo nie pojmuję, dla czego straciłem twoje zaufanie. A teraz oto stawiasz sobie słuszne pytanie: jak ty im w domu pokażesz się takim, jakim jesteś dzisiaj. Powiedz-że, krótko mówiąc, co tobie jest?

— Niepodobna! — mówił rozżalony... niepodobna! To jednak okropnie, że ja tego powiedzieć nie mogę. Może kiedyś— później, bo dzisiaj anibym się ośmielił. Widzisz! już cię to gniewa—widać tobie się zdaje, że ja nie chcę, a ja nie mogę. Może przyjdzie taka chwila, że ja się będę mógł zdobyć na to, ale zawsze z wielkim strachem, bo widzisz, dodał z wahaniem, tu zachodzi wzgląd nader ważny...

— Jakiż?

— A to widzisz taki, mówił z wysiłkiem, gorączkowo, jak gdyby się chciał pozbyć części ciężaru: Albo ja tobie opowiem niedołężnie, źle, a w takim razie ty rozpoczniesz żartować ze mnie wraz z innymi, co przyznaję, że mnie do rozpaczy przywodzi, albo znowu ja ci opowiem jak należy, a wtedy...

— Cóż wtedy?

— Wtedy ty możesz zwaryować tak jak ja wtenczas... wiesz.

Umierałem z ciekawości — przyznaję. Pociąg do rzeczy nadzwyczajnych młodości właściwy, a w części zapewne i troskliwość o przyjaciela, do którego szczerze byłem przywiązany, przy oczywistej niemożliwości dalszego nalegania natrętnego, złożyły się u mnie powoli na stan nerwowego niepokoju. Starałem się zapomnieć, a nie mogłem.

Koniec tej tymczasowości położyła interwencya naszego gimnazyalnego prefekta. Chłopiec wiądł nam w oczach, a doświadczony wzrok starego opiekuna młodzieży obojętnym na to pozostawać nie mógł, tembardziej, że Edward do ulubieńców jego należał. Księżysko poczciwe umiał zazierać do głębi tych sumień dziecinnych, a w oczach czystych młodzieńca odźwierciedlała się cała jego dusza. Trudno widać było zacnemu człowiekowi uwierzyć w mętne źródła tych zniszczeń, jakie w biedaku niepokój sprowadzał, to też któregoś dnia, pod koniec lekcyi zbliżył się on do zamyślonego

kolegi mego i jakby mimochodem powiedział:

— L... mam z tobą do pomówienia. Wszak wiesz, gdzie mieszkam? Czekam cię jutro po południu.

Twarz chłopca zapłonęła rumieńcem, bo zaledwie ksiądz się oddalił, posypały się uszczypliwe żarty na temat rozpuszczenia się panicza, dosyć zapewne głośnego, skoro aż znany z dyskrecyi prefekt uczuł się w obowiązku wzięcia winowajcy na konfesatę. Dolegała mi bardzo tajemniczość Edwarda, złorzeczyłem jego uporowi, który mu się usprawiedliwiać i oczyścić nie pozwalał, ale nie przeszkodziło mi to pod nieobecność jego rozprawić się z prześladowcami. Wystawiłem im, wiele cierpi on nad tem, zakołatałem do uczciwego poszanowania cudzej tajemnicy, przypomniałem jego koleżeńskie serce, którego tyle mieli dowodów, i musiałem dobrze bronić tej sprawy, bo nieprzyzwoite aluzye i przymówki zaczęły powoli milknąć.

Nieporównanie więcej dobrego zrobiło dla Edwarda zrazu owo porozumienie się z księdzem. Pamiętam, że po owej

konferencyi, jaką tam mieli ze sobą, odprowadził go starzec do domu, a tu zażądawszy widzenia się z naszym filologiem, dobrą godzinę z nim sam na sam przepędził. Co mówili ze sobą, nie wiedziałem, ale przypadkiem udało mi się kilka słów, przy rozstaniu w przedpokoju wymówionych, pochwycić. Temi żegnał prefekt naszego profesora.

— Tylko, kolego szanowny, żadnego odtąd nacisku, a nadewszystko żadnych na przyszłość podejrzeń—zaklinam! Już i tak wyrządzono mu dotąd wielką a niezasłużoną krzywdę, niechże więc na tem będzie dosyć. Co się tyczy zwierzenia, jakie mi zrobił, to proszę pamiętać, że to konfidencya z zastrzeżeniem sobie z jego strony dyskrecyi; niechże się to nie upowszechnia, bo on nie chce, i to słusznie nie chce. Starzy czy młodzi, zbyt pochopni jesteśmy w sądach naszych o wielu sprawach, nad któremi ostatnie słowo wypowiedzieć niezmiernie trudno, a tu godziłoby się pamiętać, że: „Multa memorabilia invenies et non verosimilia...“

— Nihilominus tamen vera. Tak, tak—dokończył tonem głębokiego przekonania stary filolog.

Co to miało znaczyć?—czem mogło być to wszystko?

Zauważyłem, że obejście się zwierzchności szkolnej z Edwardem było znowu teraz przychylne, jak przedtem, a co do niego, to z rozmowy z księdzem taki tylko widziałem pożytek, że niepokój, rozpacz i nerwowy rozstrój ustąpiły, a miejsce ich zajął jednostajny, spokojny smutek—melancholia, która Bóg wie, jak skończyć się miała.

Nadchodziły egzamina, a po nich wakacye. Uspokojonemu już teraz trochę Edwardowi poszły one pomyślnie; co się tycze tych upragnionych wakacyj, to wybierał się on chętnie do domu, rozumie się, ale nie kładł w to ani części nawet tej młodzieńczej werwy co dawniej. Jechał, bo trzeba było jechać, ale zbladło widać życie temu chłopięciu. Pod tem właśnie wrażeniem, żegnając się z nim, raz jeszcze zrobiłem aluzyę do tej zagadki, ale i tym razem nie sądzono mi było dowiedzieć się prawdy.

— Jedziesz—mówiłem mu, zabierasz ze sobą swój smutek, którym nie chciałeś się ze mną podzielić. Powiem ci szczerze, że nie wiem czy dobrze robisz, trapiąc się tem, co ci dolega tak bez podziału.

— Bądź przekonany, że jeśli kto dowie się o tem z czasem, to ty.

— Zobaczysz rodziców, brata, siostrę; przed niemi przecie zwierzyć się powinieneś.

— Co też ty mówisz?—protestował oburzony. Przed niemi? A to chyba bym chciał, żeby oni tak wyglądali, jak ja teraz. Oni jedni nigdy o tem nie dowiedzą się—chyba, kiedy już żadne ostrożności potrzebne nie będą. Wtedy dowiedzą się, ale od ciebie.

Z tem rozstaliśmy się na kilka tygodni.

* * *

Po powrocie z wakacyj każdy, kto się na Edwarda L. uważniej patrzył, przyznać musiał, że te półtora miesiąca wystarczyły zupełnie, aby on w nowej

fazie swojej egzystencyi utrwalił się, zastygł niejako.

Był to człowiek dzisiaj, jeżeli nie dojrzały całkowicie, to w każdym razie z pewnością dojrzały nad wiek. Przybyło tylko charakterowi jego kilka właściwości nowych zupełnie; były to niewątpliwie następstwa tych przemian, jakie się w nim dokonały, ale o tem ja na razie nic mówić nie mogłem. Widziałem fakty—gdzie była przyczyna, to rozumie się pozostawało dla mnie zagadką.

Edward, dziecko zamożnego domu, został wychowany na wsi, ztąd jego dzielność fizyczna wyższą była od przeciętnej, odwaga także w tym zakresie, jaką spotykamy u chłopców kilkunastoletnich, nie pozostawiała nic do życzenia, przypadek jednak pozwolił nam, kolegom jego, niespodzianie zobaczyć w nim bohatera nieledwie. Stało się to wśród tego rodzaju okoliczności.

W domu przylegającym do tego, w którym mieszkaliśmy obydwaj u naszego profesora, wybuchł pożar. Było to w godzinach popołudniowych. Straż ogniowa zajęta przy dwóch innych jednocze-

snych wypadkach nie nadjeżdżała—ogień szerzył się. Kiedy my wbiegliśmy na podwórze, uderzyły nas dwa wybitne szczegóły katostrofy: Z okien drugiego piętra buchały płomienie, a tuż obok trzymano pod strażą miłosiernych ludzi kobietę, matkę, jak się dowiedzieliśmy, której dziecko pozostało w pokojach, zkąd się dym wydobywał. Pozwolić jej tam iść było niepodobieństwem, bo z dołu już widzieli wszyscy, że klatka wschodowa na wysokości drugiego piętra gorzała, a reszta mieszkańców, tylko co zdołała uciec z życiem, całe mienie na przepadłe zostawiając. Stało nas tam kilku z przerażeniem patrzących w okna i słuchających bezradnie tego jęku kobiety, ale o ratunku nie myślał nikt, bo ratunku nie było istotnie żadnego.

Naraz w oknie wchodowem na pierwszem piętrze ukazał nam się Edward. Stał on chwilę na parapecie, nogą wytrzymałości gzemsu a rękami rynny przyległej próbując. Wszystkich dreszcz zgrozy przejął, a głosy z różnych stron wołały: wróć się—na śmierć pewną idzie—szalony chyba! Nie słyszał, czy nie

zważał—nie wiem, ale w parę sekund piął się po rynnie tak wprawnie i przytomnie, jak gdyby przez całe życie swoje nic innego dotąd nie robił. W minutę był już na drugiem piętrze, szybko przebiegł, szeroki w tem miejscu gzems i zniknął w oknie, pożegnany głośnym okrzykiem któregoś ze spektatorów.

— Jednym dzielnym człowiekiem na świecie mniej!—a niepotrzebnie!

Przedwczesny był jednak ten okrzyk. Z okna rozległo się wołanie: Niema tu żadnego dziecka—i wraz z tem powracał nasz chłopiec kochany tą samą drogą, a skorzystawszy z zamieszania wywołanego przez nadbiegającą straż, zniknął gdzieś bez śladu.

Dziecko istotnie przed godziną, pod nieobecność matki wyprowadzone było przez ojca; Edward nie miał szczęścia komukolwiek życia ocalić, nie mniej dał on dowody determinacyi, której nie byłby się powstydził nawet stary grenadyer z pod Marengo. Odpowiednio też do zasługi wynagrodziła go życzliwość ludzka. Zwierzchność szkolna winszowała mu, koledzy zgotowali serdeczną owacyą,

dumni byli z niego, zaklinali się odtąd jego i mieniem. On przyjmował to życzliwie, zdawało się nawet, że był im z początku wdzięczny, ale tego jeszcze dnia wziąwszy mię na bok, powiedział mi wielce znaczących kilka słów, których zapomnieć nie mogłem.

— Nie sposób dla mnie wyprowadzić ich z błędu, bo bym się musiał podzielić z nimi tem, czego tobie nawet dotąd nie powiedziałem, ale wyznaję przed tobą, że przykrość pewną mi sprawiają ich oznaki życzliwości, bo ja na nią nie zasłużyłem wcale a wcale. Wyobraź sobie, dodał, podnosząc źdźbło trawy—na tyle niema tam mojej zasługi. Weź to zupełnie na seryo i perswaduj im od siebie, bo, doprawdy, że nieledwie tyle mi robią przykrości tymi dowodami uznania, co niegdyś swemi posądzeniami niedorzecznemi.

— Dziwactwa! — zaprzeczyłem z niechęcią.

— Otóż—to bieda, że my się zrozumieć nie możemy. Uważaj-że dobrze, a może zrozumiesz. Niezasłużona niesława boli, ale i nagroda, na któréjś nie

zapracował, boli także każdego człowieka uczciwego, bo niepodobna przed sobą nie przyznać, że kradnie się do pewnego stopnia uznanie ludzkie za cenę bardzo wątpliwego poświęcenia się. Rozumiesz, czy nie?

— Nie rozumiem.

— Jakże ci tedy wytłómaczyć, nieuku, mówił z niechęcią. Czekajże. Gdybyś miał czarno na białem w kieszeni, że cię tam dym nie zadusi, belka nie przygniecie, płomień nie oparzy i nie oślepi, że jednem słowem, wyleziesz cały tak, jak wlazłeś, poszedłbyś w takie miejsce, czy nie?

— Ojej! i jak bym poszedł!

— No to i dobrze. Widzisz i ja też miałem w kieszeni takie zapewnienie i poszedłem sobie jak na spacer, bo ryzykowałem tylko jedno jedyne ubranie moje, które nawiasem mówiąc było w tym dniu w stanie prawdziwie opłakanym. Teraz już wiesz.

— I teraz jeszcze nie wiem, a nawet wiem mniej, niż przedtem, bo widzę, że jesteś pałka szalona i że do licznych uwidzeń twoich przybyło ci jedno jeszcze,

a mianowicie zaczyna ci się zdawać, iż zostajesz pod opieką sił tajemniczych, protegujących dzieci, szalonych i nietrzeźwych.

— Przestań-że żartować, mówił z rodzajem rozdrażnienia, którego już dawno u niego nie widziałem, a które koniecznie za reminiscencyą owego nieszczęśliwego wydarzenia uważać musiałem, przestań żartować, a lepiej staraj się z tego, co ja ci powiedzieć mogę, zrozumieć to, co trzeba żebyś rozumiał. Ja, widzisz, wiem, że godzina moja nie nadeszła, więc zanim ona nadejdzie, wszystko cokolwiekbym zrobił, choćby też najszaleńszego, z pewnością ujdzie mi bezkarnie, tak jak znowu gdy ona wybije, niczem się od śmierci wykupić niepotrafię. I czego się na mnie patrzysz takim niemądrym wzrokiem? Cała rzecz, że przypadkiem dowiedziałem się tego trochę wcześniej, czego inni dowiadują się w ostatniej chwili, a raczej trochę potem jeszcze.

— Wiesz godzinę swojej śmierci?

— Nie, ale mam świadomość niektórych okoliczności, jakie temu faktowi towarzyszyć będą, a że ich dokoła siebie

nie widzę, stąd wniosek prosty, że to nie jest moja godzina, i dla tego mogę sobie pozwolić tego, co się ludziom szafunkiem życia nieopatrznym nazywać podoba. Oto masz całe źródło mego wielkiego męztwa, które ludziom tak głowę zawróciło. No jakże zmalał ci trochę bohater? Prawda?

A więc to z tej strony wiatr wieje— pomyślałem sobie. Eh mój drogi! wizye, hallucynacye to są chyba rzeczy wcale nieszkodliwe; od nich tobie nic nie zagraża, a ja te misterya brałem za coś daleko poważniejszego! Więc uspokojony, a potrochu zawiedziony w moich oczekiwaniach, postanowiłem niebyć mu dalej natrętnym—niezaprzeczać, bo widziałem, że go to drażni, ale obawy, ale frasunek mój o niego rozproszyły się prawie zupełnie. Byliśmy w klasie siódmej, ja dostałem w tych czasach mentora, studenta medycyny, który mi właśnie zaczął w głowie porządkować, albo, jeśli kto woli, przewracać, więc choć to tam ładu ani ciągu w rozumowaniach moich jeszcze nie było, ale zawsze sądziłem, że na pewną dozę

wolnomyślno-pozytywnego zapatrywania pozwolić sobie mogę.

Rekonwalescencyę zupełną pozostawiwszy czasowi, nieturbowałem memu poczciwemu koledze głowy więcej tą sprawą, ale za to nie szczędziłem mu swoich rad dobrych, ile razy dostrzegłem, że się zapomina, opuszcza w robocie albo dziwaczy. A było tego wszystkiego potrochu, bo zaczynał on marnować czas w sposób dla mnie niezrozumiały. Nie mówiąc o oddawaniu się literaturze najdziwaczniejszej, bo spirytystycznej, którą z całą zaciekłością bibliomana umiał sobie wyszukiwać w obcych językach, opanowała go jeszcze druga manja, która w pomoc nadchodzącym egzaminom dojrzałości w żaden sposób przyjść nie mogła. Były to zachcianki jakieś artystyczne. Jeszcze w roku zeszłym, zaraz jakoś po tem całem jego nieszczęściu, gdyż inaczej tego w żaden sposób nazwać nie mogłem, nawiedziło go to cudactwo. Bardzo często zdarzyło mi się zejść go w pokoju rysującego w jakimś albumie, którego luźne kartki, widziałem, że gryzmołami swemi zapełniał. Talentu nie miał nigdy wybitnego, więc nie

dziwiło mnie wcale, że ilekroć go przy tej robocie zastałem, zawsze ją najoględniej przedemną ukrywał, a nawet na klucz zamykał. Ten klucz na domiar dziwactwa nosił zawsze zawieszony na piersiach. Gniewało mnie, że się z tem kryje, ale, ponieważ niebyło to tak bardzo szkodliwe, zostawiłem go przy tej fantazyi, rachując, że się ona skończy niedługo.

Teraz było zupełnie co innego, bo do owego albumu zaglądał rzadziej, ale natomiast obłożył się lekcyami prywatnemi rysunku, po za tem masę jeszcze czasu siedział nad rajzbretem, a tu egzamina nadchodziły, o których on nie myślał ani trochę. Powiedziałem mu szczerze, co o tem sądzę, ale on zamiast odpowiedzi takiej lub innej, popatrzył na mnie swoim wzrokiem zamglonym, tym wzrokiem, datującym podług mnie od owych godzin przeklętej pamięci, a którego ja instynktem lękałem się po nad wszystko i w żaden sposób wywoływać go nie chciałem. Rysuj że sobie, zagłębiaj się w swoją magię czarną czy białą,

kiedy taka wola twoja, pomyślałem sobie, już ja na to wszystko nic nie poradzę.

Mała, niedosyć nawet głośna w swoim czasie powiastka, miała tymczasem stanowcze między nami wyjaśnienia sprowadzić, a w konsekwencyi mojemi zapatrywaniami na ważność tego, co się działo z Edwardem, zachwiać potężnie, i wszystkie o niego obawy na nowo poruszyć.

Był to obrazek zatytułowany: Letarg. Autor bardzo przemawiająco podług mnie mówił o tem, czego doświadczył—co widział taki pozostający w stanie śmierci pozornej. Na mnie przynajmniej zrobił ten szkic wielkie wrażenie, rozmarzył mnie, rozstroił, a żem się chciał myślami przeczytanemi z kimś koniecznie podzielić, dałem Edwardowi ów „Letarg,“ przewidując po jego wrażliwości, że mu daleko w wyższym stopniu będzie po myśli to wszystko, jak mnie samemu.

Przeczytał, położył na moim stole, ani jednem słowem nie oznajmiając mi, co o tem sądził. Bardzo zdziwiła mnie ta obojętność. Albo myśli jego zmieniły kierunek, mówiłem sobie, albo ma on

swoje własne jakieś o tem wyobrażenia odmienne. Nazajutrz na przechadzce zamiejskiej zapytałem go:

— Czytałeś?

— Czytałem.

— Piękne, prawda?

— Tak sobie — odpowiedział obojętnie.

— Oh, jaki ty trudny jesteś! Przecież nie powiesz, że napisałbyś lepiej.

— Gdybym miał talent tego człowieka, oddałbym to lepiej z pewnością.

— Małej rzeczy brak ci w takim razie.

— Daleko mniejszej, niż jemu niedostawało do stworzenia czegoś doskonałego w tym rodzaju.

— Tylko talentu?

— Tak jest, talentu.

— Niemożebną rozmowę prowadzimy. Powiedz-że mi, czego tam brak podług ciebie?

— Prawdy. On mówi bardzo dobrze, ale mówi o tem, czego nie widział, a wyobraźnią w tych sprawach posługiwać się trudno.

— Jednem słowem, wrażenia nie zrobiło to żadnego na tobie?

— Owszem, zrobiło pewne, ale może nie miałbyś ochoty dowiedzieć się jakie.

— Powiedz w każdym razie.

— Wiesz ty, że mnie przypomniała ta powiastka jedną rozmowę mojej siostrzyczki z jej przyjaciółką pensyonarką, rozmowę mimowolnie przezemnie podsłuchaną Dziewczątka nabiły sobie głowę opisami kampanij Napoleońskich i rozmały o wojnie z wielkim zapałem, ale tak zabawnie, że się wstrzymywać musiałem, żeby im moim śmiechem radości nieumniejszyć. Widzisz i one miały wyobraźnią, i wierzaj mi bardzo lotną nawet, ale to niesłychany brak jest... nie widzieć.

— A któż widział?

— Ciekawyś, a jakbyś się dowiedział, to niewiem, czybyś mi podziękował.

— Jak ty to szczególnie mówisz; wiesz, że mnie dreszcz jakiś przejmuje. Zalatuje od ciebie coś, czego ja nie umiałbym nazwać.

— Ja ci nazwę? To powiew grobu. Posłuchaj mnie. Człowiek, a przedewszystkiem człowiek oświecony, chciwy wiedzy, umysłu niespokojnego, to nic więcej tylko dziecko, napierające się tego, czego mu odmawiają. Zapędzamy się nad docieczeniem zagadki bytu zagrobowego, zamiast podziwiać przezorną opiekę opatrzności, która nam na chwile przeobrażenia naszego rzuciła zasłonę nieprzeniknioną. Ten, kto rąbek owej zasłony uchylił, czyje oczy ślepły choć przez chwilę od tych blasków, na które niema słów ani barw, żeby je choć w słabem odbiciu innym opowiedzieć—kto poczuł obok siebie tę istność pełną grozy i majestatu, która przed nim podwoje nieśmiertelności otwierała, dla tego życie straciło wszelki powab. Ziemskie pożądania zanikają dla niego – wszystko co kochał, drobnieje mu w niewidzialność prawie—nic go nie nęci—niczego nie wygląda—nie pragnie—nie czeka.

— A tego momentu czy wygląda—pożąda go?

— Żyje w nim ciągle, ale przygniata go zbytecznie i ten bezmiar i owe

poczucie nicości własnej wobec potęg niezmiernych, żeby mógł pożądać. Nie, nie można pożądać tego, od czego rozum się mięsza, duch truchleje, ciało zamiera. I nie myśl, żebym ja się tem z tobą podzielić zamierzał, bo najpierw, najmocniej przekonany jestem, iż ludzkie słowa niedotego, a najlepszym niech ci potemu dowodem, że sprawy te, opowiedziane przez tego oto człowieka—mnie, co nie mam od ciebie umysłu lotniejszego, wyobraźni bogatszej, wiedzy wyższej, ani tak zwanego smaku literackiego wybredniejszego—mnie te opisy wydąły się i dziecinne i trywialne i nieudolne, podczas gdy na ciebie podziałały. Drugą przyczyną, dla której nie dowiesz się odemnie wiele więcej, niż dotąd—jest, że gdybym cię mógł nawet zadowolić... nie chciałbym. Bo, widzisz, ja tego, co się mnie zdarzyło, prawie że nie mogę inaczej ocenić, jak z następstw; następstwa mierzę rzeczywistym stanem mojej duszy, i doznaję wrażenia, że spotkało mię, jednem słowem mówiąc, nieszczęście.

Nie jestem potem ani lepszym, ani mędrszym, a straciłem wszystko, co

kochałem, co mi życie umilało, nadto czuję się sam na świecie, jakiś odrębny, inny, a nikt z tych, co mię kochają, nieznajdzie dla mnie jednego słowa, mogącego dać mi spokój. I jakże to można inaczej nazwać, jak nieszczęściem?

Myślałem o tem bardzo wiele, myślę ciągle, i wiem że myśleć nie przestanę, bo obok tego nic się zmieścić nie może, a zawsze jedno tylko widzę dla siebie zbawienie w życiu. Tem zbawieniem byłoby zapomnienie zupełne, doszczętne, zanik pamięci, to znowu jednoznaczne jest z obłąkaniem, a mnie taka egzystencya przeraża bardzo. Widziałem waryatów, przypatrywałem im się. To okropne, obrzydliwe, wstrętne; jak się na to patrzysz, przychodzą ci myśli niedobre, dotyczące sprawiedliwości potęg rozporządzających losami ludzkimi. Nie... już wolę tę dolę jaka jest.

— Rozumie się, miało to miejsce wtenczas...

— Tak.

— Nie męczą cię moje pytania?

— W tej chwili... wcale. Owszem, czuję nieprzepartą potrzebę mówienia

o tem, tak jak przed godziną jeszcze może wcale nie mógłbym był mówić. To już takie dziwne będzie całe życie moje.

Westchnął boleśnie i zamilkł.

— Słuchaj mnie—odezwałem się, opanowawszy wrażenie własne i chwytając się pierwszej lepszej myśli, którą dla niego za przypuszczalnie użyteczną uważałem,—słuchaj, czy nie przychodziło ci też do głowy, żeby to wszystko może zaliczyć się dało do rzędu wrażeń sennych—potężniejszych, dobitniejszych, bardziej imponujących, ale zawszej tej samej natury? Jakże myślisz?

— Ani sposobu! Ja wcale nie spałem.

— Pewny jesteś?

— Niczego bardziej pewny, jak tego.

— Nie wnikam w szczegóły i nie nastaję o nie na ciebie, powiedz mi jednak, czem objaśniasz sobie możliwość takiego stanu wyjątkowego?

— Nadzwyczajnem osłabieniem ciała. Takby to objaśniała nauka, *nb.* nie ta mundurowa, którą świat cały za jedyną uznaje. Równowaga—widzisz—zerwaną została nagle i, nie zniszczywszy ciała, pozwoliła na chwilę duchowi wyzwolić się

z pęt, w których go więzi energia organizmu. Pojęcia dać ci nie mogę o tej bezwładności osobliwej, jaka u mnie poprzedziła to wszystko. Ani powieką poruszyć, ani głosu wydać; prócz tego samowiedza zupełna, ale odmiennego zupełnie rodzaju niż w normalnym stanie tak zwanego ludzkiego zdrowia. Tu się już rozpoczynają trudności ekspozycyi, na które najlepsza wola moja i największe wysiłki mało poradzą.

— Jak długo przypuszczasz, że to trwać mogło?

— Nie wiem... Nie zdziwiłoby mnie było, gdyby mi kto z obecnych był oznajmił, że przeżyłem wiek cały; wasze twarze, które ujrzałem obok siebie, także mię nie zdziwiły wcale. To było mi wreszcie najzupełniej obojętne. Wy byliście dla mnie z tą obecnością waszą dowodem życia dotychczasowego... poprzedniego, a między mną dawniejszym a mną obecnym stoi cała niezmierzona otchłań tego widzenia.

— Pół roku z górą upłynęło od tego czasu. Pozwól się zapytać, czy mi mówisz o wrażeniach chwili bezpośredniej

po przyjściu do siebie, czy o tem, czego doświadczasz dzisiaj.

— Nie zaciera się i nie zmniejsza to wcale. Czegoby to trzeba, żeby zasłonić tamto?

— A cóż sądzisz o czasie, jako wielkim niszczycielu wszystkich sił, wspomnień, wrażeń, pamiątek—wszystkiego, co człowiek doświadczyć może?

— Poczciwy mój kolego! Szukasz uporczywie pociechy dla mnie, a ja tobie jeszcze nie powiedziałem wszystkiego. Jak się dowiesz reszty, nie będziesz dla mnie szukał ratunku w czasie, bo tego czasu, wedle mojego domysłu, jest niewiele. W przybliżeniu nawet oznaczyć bym go nie mógł, ale mam pewność, że odsłonięty przedemną obraz niedotyczył ani starości mojej, ani nawet tak zwanego wieku dojrzałego, Ja umierałem młodo.

— Umierałeś? Nie rozumiem ciebie.

— Ach tak! Tobie się zdaje, że pochwyciłeś niekonsekwencyą. Umierałem... w tem wyrażeniu mieści się dla ciebie jakieś poczucie tego co było, minęło, co jest jednem słowem po za nami. Wszak tak? Otóż, mój drogi, mówimy o warun-

kach bytu, w obec którego ani czas, ani przestrzeń nie mają znaczenia. Istność moja pochwyciła w nieskończoności obraz, z którym zetknie się ona w chwili, kiedy ziemię opuszczać będę. Ja zdążam ku niemu, tak jak zdążałem przedtem, i jak zdążać będę póty, póki mi przeznaczono, a oto w jednej z takich chwil tej pielgrzymki, sądzono mi było przewidzieć i przewidziałem... A teraz znowu byt normalny, czyli ten mrok ludzki—innemi słowy rzeczywistość. Powiedz mi, czy rozumiesz mię choć trochę?

— Nie wiem, ale...

— Powiedz w każdym razie, wszak ja mówię?...

— Obawiam się, obawiam...

— Że ja cierpię obłąkanie?

— Nie, że, owszem, jesteś zupełnie trzeźwy. Ty chyba się nie mylisz—wybełkotałem w zupełnem pomieszaniu, zapominając o mojej roli, i o tem wszystkiem, com przed chwilą jeszcze za zbawcze dla niego, biedaka, uważał.

— Tak... ja się nie mylę, ale to jeszcze nie wszystko. O tem, co spotkał duch mój po za granicami bytu ziemskiego

trudniej mi nieporównanie mówić, a nawet myśleć. niż o tem, co pozostawiałem za sobą. Te wrażenia i obrazy nie oślepiają w tym stopniu, nie niszczą mnie tak, jak tamte, a nawet wierzaj mi, że myśl z pewnem upodobaniem zatrzymuje się przy nich, radaby je utrwalić, uplastycznić. Jest w tem dla mnie odpoczynek jakiś; widać, że to przypada lepiej do tej egzystencyi, która nam przeznaczona.

Wzmiankowałem ci już, że wiadome mi są niektóre okoliczności, jakie odejściu mojemu ztąd towarzyszyć będą, a których brak dokoła mnie daje mi przeświadczenie, że czas nie nadszedł jeszcze. Nie słuchałeś mnie wówczas, nie przywiązywałeś do tego wagi, a jednak nicby we mnie nie mogło zachwiać przekonania, że widziałem i wiem. Dziś i to będzie ci może łatwiej zrozumieć. Że odchodziłem młody, to dla mnie jest artykułem wiary; może najtrudniej przyszłoby mi o tem przekonać ciebie, ale to dla mnie pewnik niezbity. Wszak ja chciałbym, żeby było inaczej, wszak w takim razie wszystko nabrałoby innego znaczenia, wszystko

byłoby naturalnem, a ja nie czułbym tego niezmiernego żalu, nie uważałbym życia za złamane, zerwane przedwcześnie.

A teraz zapytasz mię, kiedy to będzie?... To się, uważasz, stanie, kiedy oczy moje zobaczą miejscowość, na którą, idąc w nieskończoność, spojrzałem po raz ostatni. Zanim się w niej ujrzę, nic mię dosięgnąć nie może.

To nie będzie nigdzie blizko moich Zadniestrzan; tam niema takich krajobrazów, ani takiego nieba; to podobniejsze daleko do waszych stron: zimne jakieś, szare, smutne, ach jakie smutne! Stoi to przed memi oczyma jak całun czarny, a takie wyraźne, dokładne, pełne szczegółów! Dziwny to musi być ten rzut ostatni na ową ziemię niedoli, kiedy taki niezatarty ślad po nim zostaje.

Nie dajesz mi rysować, a przecie ja to jedno tylko ciągle rysuję i udoskonałam, a wykończam co chwila szczegół jakiś, drobiazg, przypominając sobie i przenosząc go na papier. Jakże ty możesz przypuścić, żeby ci się senne marzenie w duszę i w pamięć tak wpoić potrafiło. Niedawniej, jak wczoraj, rysując ten ko-

ściołek wiejski, pomyliłem się—na dachu o jeden szar gontów za mało zrobiłem, i potrzebowałem tylko oczy przymrużyć, żeby sobie uprzytomnić, ile ich tam faktycznie jest, i poprawiłem pomyłkę. Sprawdziłem następnie z tym szkicem, który zrobiłem pierwszy, zaraz potem—miałem słuszność. Bo trzeba ci wiedzieć, że ja już stosy tego mam całe, a teraz ucząc się, nabieram techniki, uzupełniam i prostuję pierwotne niedokładności perspektywiczne i inne wady, niepowiem kompozycji, bo ja robię z natury, ale błędy wykonania. W domu pokażę ci.

— Powiedzże mi, nie doświadczałeś żadnego cierpienia... wtedy?

— Nie pamiętam, prawdopodobnie... nie.

— Nie przypominasz sobie, żebyś coś mówił?...

— Nie wiem nic o tem. Czy mówiłem?

Potrzeby dopomagania jego pamięci nie widziałem żadnej, dla tego pozostawiłem go w nieświadomości zupełnej tego wskazania na prawą skroń, i tych skarg, jakie słyszeliśmy wszyscy. Miał on

bez tego dość wielkie brzemię do dźwigania—na co mogło się przydać mnożenie komplikacyj?

— A coś mówił księdzu, a nadewszystko co on mówił tobie?

— Ja jemu, zdaje się, powiedziałem wszystko, a on? Alboż ja wiem. Ale myślę, że i on powiedział także wszystko, co wiedział. Nie mogę zapomnieć mu tego, że mi na razie oddał wielkie usługi. Uwolnił mię od tych napaści niedorzecznych, zapewnił spokój względny, przynajmniej zewnętrzny! Co się tyczy uśmierzenia tego wielkiego buntu, jaki się we mnie odbywał, rozproszenia tych tumanów, które mi się kłębiły pod czaszką, to i tu bardzo dużo mu winienem.

Największe dobrodziejstwo wyświadczył mi tem, że nie zaprzeczał. Ktoś, coby się był uwziął przekonywać mnie, że jestem ofiarą przywidzenia, byłby mię niechybnie do szału doprowadził. On to wziął rozumnie i całem usiłowaniem jego było pogodzić mnie z faktem. Zresztą jest łagodny, wyrozumiały, dobry, Chrześcijański prawdziwie kapłan bez żadnej wątpliwości. Te kilka tygodni, które

przebyłem pod jego opieką, bardzo dużo znaczyły.

— Mówisz tak, jak gdyby wasz stosunek rozluźnił się.

— Bo też tak jest do pewnego stopnia. Ale, wierzaj mi, nie jego w tem wina. On chciał dobrze, komu innemu może byłby większą ulgę przyniósł; mnie męczyło jednostajne powtarzanie kilku ogólników, i usilne narzucanie środków ratunku wedle jego widzenia rzeczy. Naprzód, co tu jest do uratowania, jeśli nie przeczymy istnieniu faktu samego? A wreszcie, jakże znowu przypuścić, żeby duch młody, któremu się taka wielka stała krzywda, jak to ze mną ma miejsce, ukołysał się formułką, uśpił poddaniem bezwględnem. Krótkowidzem jest niewątpliwie przy całej niezaprzeczonej cnocie swojej, a przytem teolog z niego mniej, niż mierny. Wszystko co jemu do przekonania nie trafia, co potrąca o herezyę, traci jego sympatyę. Mój Boże! alboż w tych sferach, o których ja ci opowiadam, ma jakie znaczenie herezya?

Antistes!

Z tem wszystkiem przykro mi, że tak ochłódł nasz stosunek, ale cóż ja winien? On mnie ma za niewdzięcznika, a nie wie, jak mnie umęczał szablonem swojej pociechy.

— Wreszcie może jego lekarstwa i dobre, ale na cierpienia mniejsze od moich.

Tak szybko pod ciosem swoim dojrzał ten umysł młodzieńca.

Przywlekliśmy się do domu: on tak spokojny a smutny, jak był już teraz ciągle, ja przeciwnie rozgorączkowany, zupełnie owładnięty przez tę niesłychaną rewelacyą. Tu czekało na mnie wrażenie równej siły, a może w swoim rodzaju potężniejsze jeszcze.

Edward położył przedemną tekę pełną prób, przeróbek, poprawek, razem wziąwszy trzydzieści przeszło egzemplarzy jednego i tego samego krajobrazu. Spojrzawszy na to, zrozumiałem najlepiej, jaki mógł być stan duszy człowieka siedemnastoletniego, co żył w ustawicznem obcowaniu z grobem, który się lada chwila miał przed nim otworzyć.

Okropne było to wszystko.

On mi chciał pokazywać, tłumaczyć poprawki, objaśniać powolne doskonalenie się jego techniki, a moje oczy wpiły się odrazu w ten pierwszy, który on za najnieudolniejszy uważał. Z punktu zapatrywania się artysty może być, że rysował coraz lepiej, ale cóż to za jakaś szczególna moc biła od tej pierwszej próby! Nie wiem, zapewne był to taki sobie samorodny szkic, ale że na mnie działał niesłychanie, to był fakt.

— Kiedy to zrobiłeś?

— Pierwszej zaraz nocy, kiedy cię o pozostawienie światła prosiłem.

— Możesz zniszczyć resztę—to jedno zostaw.

— Tak sądzisz? A co bym ja robił dalej? To jedno mi los zostawił, trzeba z tem żyć, bo i naprawdę, co mnie reszta obchodzi. A może ja tam jutro się znajdę? Najlepiej podobno byłoby wyszukać, gdzie to leży, i kupić sobie na własność, a jeśli ci mam prawdę powiedzieć, to ta myśl spokoju mi nie daje. Dla tego tak doskonalę ten krajobraz w szczegółach wykończam, żeby ogłosić wraz z odbitką litograficzną potrzebę nabycia takiej

nieruchomości, nie mówiąc oczywiście, dla czego. Ojciec mój tylu fantazyom moim folguje, to i na tę jedną zgodziłby się jeszcze. Biedny staruszek myślałby, że do mego szczęścia tylko tego brak. Trzeba rysować; ciągle rysować, wiem także, że mi się jeszcze barw zażąda z czasem, a zanim do perfekcyi moje dzieło doprowadzę, może właśnie i godzina wybije na tym wielkim zegarze—moja godzina.

Tak mówił Edward, a ja oczu od tego krajobrazu oderwać nie mogłem.

Słuszność miał wszelką twierdzić, że to było smutne, posępne, grobowe, ale to jemu, a pośrednio mnie mogło się takiem wydawać. A kto wie, wiele tam przeżyć mogło pokoleń ludzi szczęśliwych. Wszak po grobach stąpamy wszyscy, a szczęśliwi jesteśmy o tyle, o ile nie wiemy, albo o ile zapominamy o tem. Dla nas było to smutne, bo to miał być grób jego. Żadnej tam żywej postaci ludzkiej nie było na tym obrazku. Na pierwszym planie ciągnął się przerzedzony las sosnowy z prawej strony, przy nim budka jakaś pierwotnej konstrukcyi, niesłychanie

wykończona w szczegółach, niewiem dla czego. Po lewej stronie bardzo szerokiej, piaskowej, kamienistej, drogi kościołek wiejski, trochę pochylony, z dachem, od północnej zapewne strony, omszałym, ale na którym te szeregi gontów, o jakich on wzmiankował, wyraźnie się rysowały. Wieżyczka wysoko strzelała w niebo, a górą szybowały ku niej cztery ptaki czarne, jeden przodem, za nim trzy rzędem. Dzwonnica pochylona... oto i wszystko co było najbliżej. Dalej ciągnęły się opłotki, kilkanaście chat włościańskich. Po za dwoma rzędami tych chat widać było parkany, a nad drzewami ogrodów wystawały słomiane duże dachy budowli dworskich. Więcej nic, tylko w dali nieprzejrzana zieleń ciemnych lasów. Nie było w tem wszystkiem nic szczególnego, ale zdawało mi się, że gdybym to kiedy, czego Boże nie daj, zobaczył, poznałbym w jednej chwili, na pierwszy rzut oka.

— Oto macie — dodał gospodarz domu — smutną kolekcyę, o której przed chwilą mówiłem. To są rysunki ołówkowe, to jest olejny obraz powiększony, bo i do

swoich marzonych kolorów doszedł on zczasem, a tutaj ta pierwsza próbka, która na mnie największe zrobiła wrażenie, a może i z was któremu wyda się bardziej przemawiającą, niż tamte. Wszak nie ręce, ale duch artysty tworzy.

Oglądano, podawano sobie, robiono uwagi, ale czuł każdy, że jeszcze jest coś do usłyszenia. Gospodarz domu z pomiędzy papierów wydobył jakieś pismo i obracał je w rękach.

Kiedy już ciekawość zaspokojoną została, usłyszeli zebrani na leśniczówce coś w rodzaju dalszego ciągu.

* * *

Zniknęliśmy sobie z Edwardem z oczu na długi czas po skończeniu szkół.

Wychowywaliśmy się razem przez lat pięć bez przerwy, łączyła nas sympatya, którą zacieśniła jeszcze owa tajemnica, ale stosunki i przyjaźń szkolna zacierają się prędko w życiu na szerszym świecie! Zapomina się o nich, maleją te pierwiosnki uczuć młodzieńczych we

wspomnieniach naszych, w końcu przepadają.

Tak było i z nami.

Ja utonąłem na Zachodzie i mało w ogóle wiedziałem o wszystkiem co pozostawiłem za sobą—co się z nim działo, zupełnie było mi obcem.

Co do moich zajęć, to nie waham się dziś oskarżyć przed wami, których widzę po raz pierwszy a może i ostatni w życiu, że pracowałem *po naszemu* prawdziwie. Dużo ciekawości miałem w naturze, chwytałem łakomie, przesycałem się prędko, przechodziłem od przedmiotu do przedmiotu—jednem słowem dziwaczyłem. Nie był to czas stracony w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale że można go było użyć lepiej, wątpliwości nie ulega.

Wśród tego rzucania się mojego musiałem koniecznie natrafić i na ten dział, który na Zachodzie zwą naukami okultystycznemi. W tem jak we wszystkiem, a nawet bardziej, niż w czemkolwiek dotąd, pogrążyłem się z uszami, a że miałem umysł dość już uprawny na innych drogach, więc i to, co się za

kopułę wiedzy ludzkiej samo uważa, koniecznie mnie na dłużej przykuć musiało.

Nie była ta literatura tak bogatą jak dzisiaj, bo pod owe czasy kiełkować dopiero na gruncie europejskim poczynała, ale ja rozgorzałem do tego stopnia, żem się ani przed językami wschodnimi, ani przed teologią nie cofnął.

Jak długo tego było, nie umiałbym dziś powiedzieć dokładnie, ale myślę, że było i za długo i zakrótko, jak kto chce; wspominam jednak o tem głównie ze względu na Edwarda, którego wydarzenie przy tych zaciekaniach się moich koniecznie na pamięć przyjść musiało. Przypomniałem sobie wtedy, wiele to już razy w mojem krótkiem życiu zmieniłem ja sam swój pogląd na tę jego sprawę całą.

Pierwsze konfidencye przyjąłem z niewiarą całkowitą, następne zwierzenia zupełniejsze podbiły i opanowały mnie; kiedy jeszcze potem przychodził mi na myśl mój dobry, poczciwy kolega szkolny, na całe to dzieciństwo, jak je wówczas nazywałem, kiwałem lekceważąco ręką,

a dziś?—dziś, to jest w fazie, o której wam mówię, nabierało to znowu odmiennego znaczenia, przedstawiało się poważnie; widziałem sens, ciąg, a nadewszystko dobra wiara kolegi, którą w chwilach ujemnego mego poglądu kwestyonowałem sobie po cichu, wydawała mi się zupełną.

Przyznać muszę, że ta metamorfoza nie była wcale ostatnią. Nastała epoka mojego życia, nowa, odmienna, która mi teozoficzne i ezoteryczne zachcianki zbagatelizowała, a nawet niechętnie bardzo przyjmowałem wszelkie przypomnienia i aluzye ludzkie do tej mojej pasyi chwilowej, jak ją nazywałem.

I znowu kłopotałem się o biednego Edwarda, znowu szło mi o to, czy potrafił on też wyswobodzić się od tych przywidzeń swoich, którym złorzeczyłem z głębi serca, i lekceważyłem je a przeklinałem, bo dręczyła mię teraz obawa, że się taki dzielny charakter zupełnie zatracić może, jeżeli się otrząsnąć i zapanować nad tem nie potrafił. A szkodaby go też była, szkoda, z tą jego werwą—szkoda!

Tacy to my jesteśmy wszyscy.

Powróciłem do kraju, zamieszkałem u siebie—wiecie zapewne gdzie—dowiadywałem się o mego kolegę; taki teraz potrzebny był mi, jak nigdy przedtem. Wiadomości, jakie do mnie nadchodziły, były niejasne, sprzeczne, mógłbym powiedzieć żadne. Nie cieszyło mię w ogóle, że tak mało o nim wiedzą; jeśli on w tym wieku nie jest dzisiaj w swoim kącie dosyć głośnym, to musiał zmarnieć. Szkoda!

I znowu minęło lat parę.

Pewnego jednak poranku czekała mnie niespodzianka prawdziwa.

Ten oto stary Onufry, którego panowie wiedzieliście, a który starym jeszcze wówczas nie był, przedstawił mi się jako służący Edwarda L., przywożący mi list i przesyłkę.

Takie mię złe przeczucia uchwyciły za gardło, że ani listu odpieczętować nie mogłem, ani o wiadomości pytać nie śmiałem. Zaleciał mię powiew fatalnej tej sprawy.

Wyjąkałem wreszcie:

— Cóż pan? żyje? zdrów?

— A coby nie miał być zdrów w-ny panie? I jak jeszcze zdrów!

— No. no! I cóż to takiego?—pytałem zaciekawiony.

— Wszystko dobrze, w-ny panie, żenimy się...

— Kto się żeni?

— Mój pan — objaśnił przybyły gładząc z fantazyą czuprynę.

— Twój pan się żeni? Mówże! Jak się to stało?

— A to, w-ny panie, takie już Pan Bóg wszechmocny niespodziewane szczęście zesłał naszym starym państwu, za co niech Mu będzie chwała po wszystkie czasy, bo co prawda nikt już tego nie myślał. Panisko takie było chmurne, że go i rodzice i młodsze państwo już dawno opłakali, jakby umarłego. Za to teraz u nas szczęście za wszystkie czasy.— i we dworze i między służbą i po wsiach, bo żeby się taki pan miał zmarnować, toby już sprawiedliwości Bożej chyba nie było. Ludziom toby on krwi z pod serca utoczył, a tu ludzie nic dla niego uprosić nie mogli. Ale dał się Pan Bóg przebłagać i będziemy mieli panią taką, że ją jak raz dla naszego pana chyba chowali. On jeden na świecie, ale

i drugiej takiej pani, jak ona, także pewnie nikt nie widział.

Wzruszyła mię serdeczna wielomówność poczciwego sługi, ale przyznaję się, że tej radości nie dzieliłem z nim jakoś. Żenił się mając lat dwadzieścia dwa, żenił się w czasie, kiedy ja zupełnie czego innego oczekiwałem po nim, ale wprędce przyszła mi na myśl ta jego katastrofa— życie które zapowiadało się zmarnowanem nieodwołalnie...

— Ha! niechże się sobie wreszcie i żeni, zawsze to lepsze, niż tamto!— i wziąłem się do czytania listu. Oto jego treść:

„Mój stary, serdeczny, dobry kolego! Przekonany jestem, że gadatliwość mego posła uprzedzi przeczytanie listu; tem lepiej, bo ci niewiele będę miał do powiedzenia, a czasu mam tak mało dzisiaj, jak wczoraj miałem go jeszcze do zbytku. Żenię się, mój stary przyjacielu, jestem szczęśliwy—oto wszystko, co ci mam do powiedzenia—reszta do ustnego objaśnienia, bo nawet przypuścić nie mogę, żebyś sobie przywileju prowadzenia

do ołtarza mojej żony miał odmówić. Sobie i mnie nie odmówisz, wszak tak? Zbyt wiele znaczysz w mojem życiu dotychczasowem, abym się z myślą niewidzenia cię obok siebie w tym dniu, tak łatwo mógł pogodzić. Bez uścisku twojej poczciwej ręki nie mógłbym rozproszyć dokoła siebie resztek tego smutku, który ty rozpraszałeś tak umiejętnie i serdecznie w swoim czasie. Przyjedź. Za dwa miesiące od daty dzisiejszej mój ślub.

„Przyjedź wcześniej, bo mam dużo do mówienia z tobą.

„Ale ty ciekawy byłeś zawsze i takim musisz być i teraz—chciałbyś tedy zapewne coś o mnie przedtem się jeszcze dowiedzieć. Opowiem ci, co wiem sam.

„Żyję. Tak, jak pomroka nocna do dnia bożego, tak moje dzisiaj do dnia wczorajszego niepodobne. I mnie słońce moje rozproszyło wszystkie dawne złowrogie cienie. Wszak wiesz o czem mówię. Bóg jest dobry; nie pojmuję, dla czego ja się tak udręczałem. Czuję wszystko: i radość ludzi dobrych z mego szczęścia i upojenie własne, nie powiem

podwójnie, ale czuję za cały ten czas, przez który mię nic ucieszyć i ożywić nie mogło. Zadniestrzany były niegdyś jedną z wielkich moich miłości, póżniej przestałem do nich tęsknić, a niedawno jeszcze czułem się w nich jak w grobie pochowanym. Nic mnie nie dolegało bardziej, jak to, że mi ojciec to niegdyś ukochane miejsce na własność przeznaczał.

„Cóż powiesz, mój drogi, na to, że kiedy mię wczoraj do swego pokoju zawołał i te same Zadniestrzany uroczyście i formalnie na własność ofiarował, takie wzruszenie szczęścia niezmiernego zadusiło mi oddech, żem nic nie odpowiedziawszy i jak dziecko się rozpłakał.

„Życie jest wielkim darem! Biada tym, którzy je na imaginacyjne niedole rozpraszają. Jakże wiele win moich mam do odkupienia! Czuję to, a tymczasem się Opatrzności uznaniem pełni mojego szczęścia, jak mogę wypłacam.

„A teraz prośba moja do ciebie.

Na przybycie mojego drogiego gościa restauruję dom, oczyszczam duszę moją ze zwątpień, ale i materyalne świadki moich

przejść bolesnych radbym także usunąć. Niech jej pogodne spojrzenie nie padnie nigdy na smutne pozostałości z czasów tej choroby mojej wyobraźni, mojej prawdziwej niemocy. Rozstaję się z tem, ale nie niszczę. Jeśli kiedy mieć będę syna, a temu Bóg da głowę tak zapalną, jak była moja, poślę go do ciebie, stary przyjacielu, a ty pokażesz mu wszystko i opowiesz i nauczysz, jak umiejętnie żyć trzeba, żeby się tak opłakanych zboczeń ustrzedz,— w młodości zwłaszcza.

Przekonać go trudno ci nie będzie tego ewentualnego syna, bo i ja całą moją dobrą wolę wkładam w to, żeby się fatalizmowi (na wypadek, gdyby był fatalizm) zadość nie stało, ku czemu środek pewny, niechybny, jedyny w swoim rodzaju obmyśliłem. Ani zgadniesz! A jednak to takie proste i łatwe do odgadnięcia.

„Oto ani się krokiem na resztę życia z Zadniestrzan ruszyć nie myślę. Cóż ty na to? Przypuściwszy, żeby i los uwziął się na mnie i powiedział sobie: upór na upór!—coby on to trudności miał do zwalczenia, rozważ sam, wziąwszy którykolwiek

z moich obrazków, choćby ten kolorowy. Uważaj! lasy w Zadniestrzanach są przeważnie bukowe, jodłowe i dębowe, w dodatku od mojej rezydencyi na milę blizko odległe. Przypuszczam, że na odległość ten mój przeciwnik mógłby sobie poradzić, bo to i u Shakespear'a, który przecież jest nie byle kim, lasy przybliżają się czasem, ale jak tu poradzić na rodzaj drzewa, bo tam sośnina i to paskudna, karłowata sośnina. Oto trudność nie do pokonania, którą mój los wrogi szachować myślę.

„Co zrobić z kościołem, który jest murowany i nowy, a tam drewniany i stary. Nie ma sposobu, tylko się trzeba inkarcerować w tych Zadniestrzanach, co chciej wierzyć, że słudze twemu zbyt trudno nie przyjdzie.

„A teraz bądź zdrów, odpisuj, a o mnie i o dacie niezapominaj. Twój E. L.“

Wyznaję, że mnie ten list nie ucieszył wcale. Byłem przesądny, nie lubiłem, kiedy kto wyzywa losy. Oto wszystko.

* * *

Osobnego wstępu o zmienności tych losów oszczędzę wam; natomiast od razu powiem, żeśmy się przed końcem tych dwóch miesięcy spotkali z Edwardem ale nie w Zadniestrzanach, nie na weselu, ale wśród wojskowej ciżby w polu, w obozie, obydwaj jeżeli nie o wiele starsi, za to inaczej całkiem wyglądający niż przedtem. Był to rok 1866. Jednak krótkotrwały powiew szczęścia tak mi mojego chłopca odmłodził i odrodził, żem się nim nacieszyć nie mógł—i ja, com go znał oddawna, i ci wszyscy, którzy wczoraj dopiero poznawszy serdeczną skłonność dla niego powzięli.

Ani śladu tej melancholii, ani cienia dawnego smutku! Serdeczny, wylany, dzielny, wszystkich oczy na siebie zwracał; starszym służył za przykład wytrwania i animuszu żołnierskiego.

Nie było dla niego trudności i niebezpieczeństw; tam, gdzie było najciaśniej znalazł się on z pewnością ze swoją bezkłopotliwością młodzieńczą i fantazyą niezmarszczoną.

Stary doktór Francuz, osiwiały w żołnierskim zgiełku, ile razy Edwarda widział

zabierającego się do roboty, mówił do nas, kręcąc głową:

— En v'la encore un, qui a le diable au corps. Ile ne faira pas des vieux os celui-là; c'est moi qui vous le dis!

Śmiano się z niego na całe gardło, śmiał się sam Edward.

Ej! kochaneż to było chłopię; świecił prawdziwie jak to słońce, co się długo kryło za chmurami. Bardzo prędko wydobyła go z szeregów jego odwaga, przytomność i przedziwne instynkty żołnierskie, którymi brak fachowych wiadomości tak wybornie umiał zastąpić Nasz stary pułkownik po każdej jego czynności, z której zdawał raport, mówił do starszych oficerów: No, jeśli ten zaprędko karku nie skręci, to niedługo wielu z nas będzie się miało czego nauczyć od niego. Urodzony na żołnierza!

Przez ciąg kampanii co tydzień najregularniej wysyłał listy do swojej narzeczonej pełne otuchy, a nawet humoru. Przepadła za nim cała ta ponura przeszłość, jak gdyby w otchłań jaką, Mówiłem i ja sobie nieraz: No! taką fantazyą to można zakląć wszelkie, choćby też

najzawistniejsze losy. Teraz wierzę już i ja w jego gwiazdę. Jako żywo, winna mu była fortuna kompensatę taką.

Dzięki jakimś rozporządzeniom wyższym usunięto nas na czas pewien z teatru wojny. Nie mogę powiedzieć, abyśmy przyjęli z niechęcią otwierającą się przed nami perspektywę kilkutygodniowego może spokoju, i wygodnego odpoczynku w jakiejś wiosce w pobliżu Znaima, którą tym razem wyznaczono nam na nocleg.

Przeciwności jednak czekały nas na drodze do tej naszej Capui. Od południa prowadził nas rzęsisty deszcz, a choć to było lato, ale i w lecie ośm godzin ulewy dla ludzi i koni jest dokuczliwe bardzo. Zanim przybyliśmy na ów nocleg pożądany, przemokliśmy gorzej niż do kości, tak, że wśród ciemnej nocy w pierwszej kwadrze, omackiem nam tej chaty chłopskiej, która dla nas przeznaczoną była, szukać było potrzeba. Kto tam jednak uważał na to? W tej chacie było siano świeże na posłanie, dach nad głową; a jutro...? jużeśmy się z tem oswoili, że jutro albo nasze albo nie nasze. Tu

jednak w tej głuszy leśnej spać było można na obydwa boki.

Co do mnie przynajmniej, miałem zamiar koncertować, i z tymi zamiarami zwierzyłem się przed Edwardem. Zasnęliśmy.

Rano przebudził mię głos. Niby to był głos Edwarda, ale jakiś dziwny, straszny, nieludzki głos—taki, jaki już raz z ust jego słyszałem. Wołał na mnie:

— Wstawaj!... Patrz!...

Zerwałem się na równe nogi. W oknie chłopskiej chaty otwartem stał on blady, jak płótno, trzymał rękę wyciągniętą i pokazywał mi coś, czego ja dotąd rozpoznać nie mogłem. Przetarłem oczy. Straszna rzecz! I gdzież to nocowaliśmy dzisiaj?

Ten las sosnowy, ten barak, kościół, dzwonnica, te budowle w oddali...! Wszystko, wszystko, bez żadnej różnicy! On poznał i ja poznałem.

Staliśmy, a żaden z nas na słowo zdobyć się nie mógł. Zacząłem ja tam coś na temat, że jesteśmy po za granicami

niebezpieczeństwa, że wychodzimy zaraz, ale mi prędko przerwał:

— Basta! czas pomyśleć o sobie!

Rozłożył neseser podróżny i zaczął pisać. Blady był, ale spokojny. Przypatrywałem mu się w niemej boleści i przyznałem, że mi się tak szlachetnej godności w rysach nigdy spotkać nie zdarzyło. Co parę minut kopertował jeden z listów i kładł adres. Takich listow wręczył mi trzy: do rodziców, rodzeństwa i narzeczonej. Zdjął dwa pierścionki z palca, jeden z herbem—znaczenie drugiego wiedziałem. Oddał mi je obydwa, rozporządzając krótko:

— Ten oddasz jej, a to dla ciebie mój stary przyjacielu. A nieodstępuj mnie, abyś jej mógł powiedzieć, że umierałem... jak na uczciwego człowieka przystało.

W tej chwili wpadł ordynans, wołając:

— Panie poruczniku, pułkownik czeka.

Zimno mię przeszło. Czyżby to miało być naprawdę hasło?

Zastaliśmy naszego dowódcę rozgorączkowanego i klnącego tak, żeby mógł drzwi z zawias wysadzić.

— Otóż-to służba — wołał — otóż-to obowiązek! Od wczorajszego południa depcze nam nieprzyjaciel po piętach, a my sobie najbezpieczniejsi. Poruczniku L... ty przynajmniej dla lenistwa sumienia sobie nie obciążysz—na ciebie jednego rachuję. Weźmij, proszę dwadzieścia koni i przetrząśnij mi, jak należy, okolicę, tu oto—dodał, pokazując mu mapę.—Za godzinę czekam cię z powrotem.

Rozkazy były już przedtem wydane, ludzi z okulbaczonymi końmi zastaliśmy przed domem—były tam i nasze obydwa.

Zaledwie doszliśmy do ostatnich domów wsi, bystre oko Edwarda dostrzegło w odległości 1,500 kroków wśród zarośli jakiś cień kilkunastu koni kawaleryi nieprzyjacielskiej. Nieustępowali. My zbliżaliśmy się ku nim; dotrzymali nam, dopóki nie zbliżyliśmy się do baraku pod lasem. Tu zanim się poczęli cofać posłali nam jeden strzał, ale jeden jedyny...

Od tego strzału pochylił się Edward na kulbace. Kula przeszyła mu prawą skroń.

Spojrzałem z rozpaczą w niebo; na tle jego zobaczyłem owe fatalne cztery kruki, z których jeden szybował przodem, trzy obok siebie za nim. Równały się tetaz właśnie z wieżą kościołka. Odgłos strzału spłoszył je prawdopodobnie. Wszystko dokładne, akuratne bez odmiany.

Nieprzyjaciel cofnął się, bitwy nie było; szło widać o tę jedną kulę tylko. Edwarda przenosili właśnie żołnierze do baraku, ale było to zbyteczne zupełnie. Nie żył.

* * *

Cisza była grobowa, kiedy skończył nasz gospodarz. Nikt nie spieszył się z komentarzem, nawet doktór, tylko stary Onufry pod piecem ocierał oczy swoją kraciastą, czerwoną chustką.

PIERWSZA KSIĄŻKA.

...a żyją z tego
Co ząb ich chwyci na pięcie wieszcza,
Kraina niczego...

J. S.

Miała lat dwadzieścia trzy, była jedynem dzieckiem domu uczciwego i oświeconego, niezbywało jej i na wdzięku niewieścim, a mimo to wszystko panną była dotąd, i od lat dwóch już wierzyć zaczynała sama, że pozostanie nią chyba do końca życia.

Wychowanie domowe odebrała bardzo staranne; o światło dla jej umysłu starano się tyle przynajmniej, co o zdrowie dla ciała, reszty dopełniły podróże, praca nad sobą i towarzystwo dobre, do którego zaliczała się jej rodzina. Że jednak w tym domu towarzystwo nie było potrawą, ale przyprawą życia jedynie,

więc zetknięć ze światem zewnętrznym skąpo było trochę niekiedy, a przynajmniej skąpiej niżby pożądać mogła osoba młoda, żywa, o ruchliwej wyobraźni i zupełnie prawidłowo rozwiniętej stronie uczuciowej.

Inaczej jednak tego życia urządzić nie było można. Obowiązek nieodłączny od posiadania skazywał tę rodzinę na mieszkanie w okolicy odludnej, a w tym domu pomimo, że o obowiązku mówiono niewiele, przejmowano się nim bardzo. Nie przychodziło też panience do głowy nawet, aby kiedykolwiek pobyt w tej, pełnej swojego rodzaju wdzięku, poleskiej siedzibie, zamienić można na pobyt w wielkiem mieście, bo i o skłonieniu do takiej zmiany ojca mowy nawet nie było, i sama wreszcie młoda dziewczyna pomimo, że doświadczała tu niekiedy łatwo zrozumiałego w jej wieku uczucia zastoju, godziła się przecież z tym bytem w głębi duszy. Powracając w to odludzie swoje z murów miejskich i peryodycznych wycieczek w świat szerszy, czuła, że jej tu dobrze, że nigdzie nie kosztuje takiej niepojętej pełni duchowej, jak

tutaj, że gdyby to, czego używa w domu rodzicielskim, szczęściem nazwać się nie dało, to 'ona nigdzie jednak szczęśliwszą by się nie czuła z pewnością. To ją przekonywało, że egzystencya, którą prowadziła, była normalna, a wreszcie nie było to bytowanie próżniacze bynajmniej; miało ono swoje codzienne drobne zadowolenia i swoje w lepszych godzinach wielkie pociechy—chcielibyśmy powiedzieć: i swoje nadzieje także, ale od użycia tego wyrazu prawda, w granicach której trzymać się musimy, powstrzymuje nas całkowicie. Nadzieja, to wielkie słowo, które o tyle, o ile doli osobistej dotyczy, musi się koniecznie wcielać w jakieś formy konkretne, a my na początku samym zrobiliśmy wzmiankę, że ta interesująca osóbka coraz więcej oswajała się z myślą, iż stan jej cywilny do śmierci pozostanie takim, jakim był w owej chwili. Nie budziły w niej myśli te niepokojów żadnych, tem mniej goryczy niepożądanej; owszem, w miarę jak ewentualność taka przedstawiać zaczynała coraz więcej szans prawdopobieństwa, wyobrażenia jej i zasady zyskiwały na sile i trwałości, a jeśli był

tam zrazu i cień jakiś niechęci do tego, co ją otaczało w życiu zewnętrznem, przerodziła się niechęć taka w krótkim już czasie w spokojną pewność siebie, a ta ostatnia dała początek zupełnemu pogodzeniu się z losem. Nie możemy powiedzieć, aby równie łatwo godzili się z takim stanem rzeczy rodzice, a zwłaszcza matka. Dla matki dwudziestotrzyletnia niezamężna córka w domu to smutek codzienny, źródło trwożliwych westchnień na mysl o przyszłości, a gdy jak w tym wypadku, przyczyną jest dysharmonia między pojęciami panującemi a temi, które się szczepiło w dziecko własne, zwykły matki złorzeczyć pojęciom i zasadom wszczepianym, i skłonniejsze są one w ogóle do obarczania się wtedy wyrzutami sumienia, niż do rezygnacyi i przyznania słuszności temu, który wychowaniu kierunek nakreślił. Pociecha, jaką tutaj stale dawał taki winowajca, a która się mieściła w kilku wyrazach: „Bądź spokojna, trafi ona na swego“— niepocieszała, przyznać musimy, dostatecznie. Panna nie trafiała jakoś na tego swego,“ a mimo to rozważny ojciec nie

robił sobie wyrzutów za to, że gwoli pewnym wymaganiom, dziecko swoje oszpecić zaniedbał.

Więc jakkolwiek kilku odprawionych aspirantów do ręki panny przyczepiło do jej nazwiska przydomek emancypantki, zadowolony był ten ojciec z dzieła swego, zwłaszcza, że jak w tym wypadku epitet nie oznaczał kobiety drącej się koniecznie naprzód, ale przeciwnie taką, która pod pewnymi przynajmniej względami uporczywie na miejscu zatrzymaćby się pragnęła. Bo też wszelka kobieta, która ma tyle sądu samodzielnego, iż jej nie jest po myśli skakanie w takt każdej muzyce, jaką się w danej chwili pewnemu kółeczku przygrywać zachciewa, jest emancypantką w swoim rodzaju, bo się od owczego pędu i niemowlęcego naśladownictwa wyemancypować usiłuje.

Tak więc miały się rzeczy. Dla tej kobiety skończonej w swojej formie rozpoczynał się teraz okres życia wewnętrznego, to jest ta faza, w której człowiek, nie mogąc znaleźć zadowoleń swoich w warunkach bytu normalnego, szuka ich

w świecie myśli, a nie umiejąc się zaspokoić nędzą chwili obecnej, powoli buduje sobie przybytek w duchu własnym. Do takich przybytków zwykli się w godzinach zwątpień chronić poważnieni z życiem, albo ci, którym się dopiero na poważnienie zabiera. Ku zaszczytowi osoby młodej, o której mowa, powiemy tutaj, że należała ona do kategoryi drugiej, i to tylko w charakterze aspirantki zaledwie. Właściwością zaś wszystkich takich nastrojów jest pragnienie nadania myślom własnym trwałości—wcielenia ich w dotykalną formę życiową—innemi słowy, szukanie dróg dla twórczości swojej, która w miarę, jak nam wyobraźnia dopisuje, a wyrobienie literackie na opanowanie formy pozwala, stać się może źródłem godziwych i szlachetnych zadowoleń, bez względu na to, czy się próbkami podobnemi z kimkolwiek dzielić mamy—czy je oczy ludzkie oglądać będą, lub nie.

Tak bywa powszechnie na świecie—tak też było i tutaj. Coraz częściej siadywała młoda kobieta w długie wieczory zimowe pochylona nad biurkiem swojem, coraz dłużej w noc pisała w swoim

pokoju, oderwana od bytu powszedniego, i, powiedzmy prawdę, coraz staranniej kryła przed okiem ludzkiem te skarby swoje, jakkolwiek ci jedyni, którzyby je teraz zobaczyć mogli, to byli jej najbliżsi i najmilsi, a pomiędzy nimi był i taki, co do wielu jej myśli z słusznością wszelką mógł sobie niejakie rościć pokrewieństwo.

Nie myślimy rozstrzygać, czy to dziewiczość duszy, czy egoizm pozostających w niezgodzie z życiem zewnętrznem, dość że pewnikiem jest, iż sobie wszyscy tacy coś na wyłączną własność zostawić usiłują, i że jest to uczucie łatwo zrozumiałe, a nawet usprawiedliwione. Zauważono to w domu; zauważyła przedewszystkiem matka, która, przyznać należy, wcale odkryciem takiem uszczęśliwioną nie była, a nareszcie spotkał się z tym zeszytem razu pewnego i ojciec także. Dla matki był to jeden więcej żywy dokument staropanieństwa córki, od którego się też z należytym wstrętem odwróciła; ojcu zajrzeć do wnętrza tych kartek nie pozwoliło jego wyrafinowane pojęcie o honorze, i temu

zawdzięczał panieński rękopism, że pozostał dziewiczym równie, jak myśli i natchnienia, które go wypełniały.

Mają jednak książki swoje fata, jak powiadają—mają je i rękopisy, widać.

Nadchodziła wiosna, a wraz z nią siła jakaś wstępowała we wszystko. co żyje. Od pewnego już czasu owładnęła młoda autorka przedmiotem, coraz mniej przerabiała teraz, coraz jaśniej było przed nią, i coraz śmielej zdążała do celu. Nie miała już tych zniechęceń i tych przerw i niepewności, co przedtem; wzięła temat z serca, a sił przybywało jej ciągle. I oto wśród takiej gorączkowej, zdwojonej pracy przyszło pewnej nocy bezsennej na koniec jej dziełu.

Na brzask zbierało się światu, kiedy z twarzą rozgorączkowaną, z oczyma załzawionemi rzucała ostatnie słowo tej pracy swojej. Żal jej było, że się z nią rozstaje, ale dobiegła przecie do końca, i wedle jej widzenia rzeczy, jednego wyrazu dodać ani ująć się nie godziło. „Szczególny zbieg okoliczności“—pomyślała w tej chwili.—Wszak to był dziś dzień imienin jej ojca, dzień tak uroczyście

corok święcony. Pod wpływem natchnienia chwili pochwyciła zeszyt i wśliznąwszy się do pokoju ojca, położyła go w miejscu tak widocznem, iż pierwsze spojrzenie przebudzonego koniecznie nań paść musiało.

Wyszła potem niepostrzeżenie; za progiem dopiero przyszły refleksye, czy dobrze aby zrobiła. czy zasługuje praca na to, aby ją temu ojcu i przewodnikowi w takim dniu ofiarować. ale nie czas już było cofać się. przytem taka dziwna bezwładność obejmowała całe jej jestestwo, że osunąwszy się na najbliższy spotkany fotel. zasnęła.

Rozkoszny był sen, który ją kołysał tego ranka pamiętnego—rozkoszniejsze stokroć przebudzenie po nim.

Kiedy otworzyła oczy, dzień już był zupełny; przed nią stał ojciec z zeszytem w ręku—z oczu czytała mu wielkie wzruszenie a jedyne słowa, jakie jej szeptem do ucha między dwoma uściskami powiedział, były:

— Dziękuję ci dziecko... prześliczne!... Hojnie mi płacisz, córko, za pracę mojego życia.

Pośpieszamy was uspokoić, czytelnicy. Chciejcie wierzyć, że przedewszystkiem ten ojciec do rzędu ojców zaślepionych nie należał, następnie, że miał on do sądów tego rodzaju wszelkie prawo, że jednem słowem w całej sytuacyi śmiesznenego nie było nic zgoła.

Minęło kilka tygodni. Ojciec osoby, która was, czytelniczki, już teraz szczerze zainteresować powinna, wybierał się do Warszawy. W przeddzień wyjazdu niespodzianie zapytał on córki:

— Pozwolisz mi z tym zeszytem zrobić, co zechcę?

Zrozumiała, o co mu chodziło, ale odpowiedziała rumieńcem najpierw a potem nieśmiałem:

— Mój Boże! Alboż ja wiem?... Czy to warto?

— Nie ufasz memu sądowi?

Milczała pełna niepokoju i trwogi serdecznej. On tymczasem nie nalegał, a przeciwnie uspokoił ją krótkiem:

— Rozważ. W każdym razie zadecydujesz ty.

I znowu minęła dla niej biednej jedna noc walki ciężkiej, znowu nad ranem

te same skrupuły, gdy ją na wyjezdnem zagadnął:

— Jakże będzie?

Odpowiedziała na zapytanie zapytaniem:

— I tak... z nazwiskiem?...

— Jest ono i mojem także to nazwisko, a ja się nie lękam.

— Zrobisz ojcze, jak zechcesz, ale Bóg widzi, mam bardzo złe przeczucia.

— Brak odwagi to zły symptom. Możnaby pomyśleć, że nie masz dosyć wiary w zasadę, którą głosisz. Nie sądziłem...

Zapłonęła młoda dziewczyna i tym razem zdobyła się już na słowo decydujące.

— Niech tak będzie, ojcze, jak chcesz.

Po odjeździe jednak tego ojca w kilka godzin wysłała za nim do Warszawy list proszący o wstrzymanie druku, a nazajutrz drugi, który tamto postanowienie odwoływał. W końcu zniechęcona, upokorzona w przekonaniu własnem, robiła już tylko heroiczne wysiłki, aby o całej sprawie zapomnieć.

Kiedy ojciec powrócił z Warszawy, jedyny sposób, w jaki porozumieli się, był ten, że on uśmiechnął się, a ona zarumieniła, aż po białka oczu. Więcej nie było o tem mowy, ani teraz, ani później.

* * *

W jakiś czas wyjechała z rodzicami do Warszawy. Sprawy, za któremi przybyli były ważne; losy rękopisu nieszczęśliwego zeszły do pewnego stopnia na drugi plan. Rano wyszła z matką na miasto, a że ciekawość miała do drukowanej bibuły niepospolitą, zatrzymała się przed oknem pierwszej spotkanej księgarni.

Potrzebną tym razem była w samej rzeczy obecność tej matki, która za chwilę pełna niepokoju, przeklinając w duchu wszystkie autorskie aspiracye, wiozła do domu wpółprzytomną dziewczynę co za szybą ujrzała dziw—straszydło—zmorę swoją—ów, jednem słowem, tom własnej pracy z jaskrawem na okładce imieniem i nazwiskiem całem. Ani przeczuwała jednak matka, a tem mniej córka, jaki

na nie w hotelowym apartamencie oczekiwał antydot. Dawna koleżanka spłoszonej autorki, z Drezdeńskiego jeszcze pensyonatu, dzisiaj młoda mężatka, dowiedziała się o przybyciu przyjaciółki, więc chcąc być pierwszą do uścisku i powinszowań, rzuciła się współprzytomnej jeszcze na szyję z entuzyastycznym Kleberowskim wykrzyknikiem:

— Dziewczyno, jesteś wielka, jak świat!

Te kilka dni, które teraz przepędziła w mieście, szczodrze wynagrodzić ją miały za bezsenne noce i dnie pełne niepokoju. Co tylko było znajomych bliższych i dalszych, mianowicie kobiet, pomimo, że od tygodnia dopiero ukazał się w księgarniach ten tomik, śpieszyło teraz uścisnąć rękę młodej dziewczyny, a tyle tam było szczerej życzliwości, taki zupełny brak obłudy i przesady, że i ona sama uwierzyć już musiała, że to sercem za serce płacą jej ludzie dobrzy. Szczęśliwą była nad wszelki wyraz, ale krokiem jednym nie wyszła na miasto—wstydziła się teraz tryumfu swego i powodzeń swoich.

W wigilią wyjazdu podała ojcu nieśmiało notatkę. Ten, spojrzawszy, zrozumiał odrazu, o co chodziło. Na kartce stały szeregiem wypisane kilkanaście tytułów najbardziej czytanych dzienników i pism tygodniowych tutejszych. Uśmiechnął się dobrodusznie i dorzucił:

— Aha! idzie ci o tamtych?

— Och! zobaczysz, ojcze, z tamtymi będzie cokolwiek inaczej.

I z tem wyjechali do domu.

* * *

Kilkadziesiąt listów czekało na nią tutaj; pochodziły one głównie od nieznanych jej kobiet—listów, pełnych wynurzeń uznania; były one też ostatnią pociechą, jakiej doświadczyć miała. Przychodziła kolej na cykutę, bo zaprenumerowane pisma stosami zwożono teraz, ze stoicyzmem możliwym oczekującej wyroku swego, młodej kobiecie. Przygotowaną była na niejedno, to jednak, czem się odtąd karmić miała, nawet jej trwożne przeczucia o wiele bardzo przewyższyło.

Teraz zbliżała się kompensata i to kompensata z nawiązką.

Jedna tylko, jedyna krytyka, wprawdzie przez poważnego bardzo autora napisana, wyraziła się z uznaniem, a nawet z zachętą. Oceniała ona tendencyą, przyznawała oryginalność pomysłu, i dla formy nawet artystycznej kilka słów pochlebnych się tam znalazło. Reszta, jak gdyby na umówionego, jak gdyby się jeden szyderstwami drugiego podniecał— reszta odsądzała nieszczęśliwą pracę od wszystkiego.

Po takiej zimnej kąpieli przyszła na pokrzywdzoną ciężka pora zniechęcenia i goryczy. Darować sobie nie mogła śmiałości własnej—darować nie chciała, że sama wywołała taką profanacyę czystych intencyj swoich, a przytem i szanowne nazwisko jej ojca stanęło tym sposobem pod pewnego rodzaju pręgierzem. Odmiennego jednak zdania był ojciec.

— Niezrozumiały to dla mnie objaw u ciebie — mówił do niej pewnego dnia, gdy ją mocniej, niż zazwyczaj, ujrzał rozdrażnioną. Przekonana jesteś o słuszności zasady, której bronisz; wiedziałaś

o tem, że myśli twoje popularne na te chwilę nie są, bo gdyby popularnemi były, praca twoja nie miałaby tej racyi bytu, którą ma. Aż nadto wynagrodziło cię przecież uznanie ludzkie—co ci po rozgłosie dziennikarskim? Wszak nie dla niego podjęłaś to, o czem ludzie zapominać się zdają? Czyż to raz mogłaś i ty już sprawdzić, że opinia sobie, a krytyka sobie?

— Bądźcobądź, przykre to jest niesłychanie.

— Dla czego ma być przykre? Wiesz dobrze, że nietylko jest na świecie więcej wątrób, niż serc, ale i żółci więcej, niż mózgu.

Nieuspakajały rozżalonej dostatecznie rozmowy takie; owszem, powiedzieć można, że melancholia zdruzgotanej przez t. z. zawodową krytykę wzrastała.

* * *

Nie widząc właściwego środka ratunku na tego rodzaju cierpienia, przyszła wreszcie temu ojcu myśl w swoim

rodzaju szczególna. Wypisawszy nazwiska, pseudonimy i hieroglify wszystkich recenzentów, wybrał się do Warszawy, a tam, poinformowawszy się o wszystkiem, co kiedykolwiek który z tych Zoilów napisał, z całym takim ładunkiem zjawił się przed pognębioną, a nawet już upadłą na duchu, swoją córką.

Trzeba przyznać, że pomysł był trafny. Najprzód zajęło jej czytanie dużo czasu nieopatrznie szafowanego dotąd na rozmyślanie, a nadewszystko, że w miarę jak się w tych pracach rozczytywała osądzona, uspokajała się stopniowo, bo z żadnem arcydziełem między temi pracami dotąd się nie spotkała. Widząc, że lekarstwo wcale pomyślnie skutkuje, wdał się pewnego razu ojciec w rozmowę o tej sprawie, o której milczeli od jakiegoś czasu oboje.

— No, i cóż mówisz na to? Czy to wszystko przejdzie do nieśmiertelności?

— Zapewne, że to wogóle bardzo mocne nie jest, ale ja się dotąd przekonaną nie czuję.

— A czegóż ci brak, moje biedne dziecko?

— Och! Brak mi rzeczy najważniejszych prawie.

— Powiedz-że nareszcie czego?

— Niema tu jeszcze żadnej z prac ani tego *dwukropka* ani *wykrzyknika.* Wiesz przecie, ojcze, że prawdziwie nieubłaganymi okazali się dla mnie oni dopiero.

— A zkądże ja ci wezmę tych prac?

— No zapewne ztamtąd, zkąd przyszły te wszystkie. Przecież to ludzie wielkiej wziętości.

— Jakichże prac? Czy wiesz o której?

— Ja nie wiem, ale ludzie wiedzieć muszą.

— Nie wiedzą i ludzie. Mówiłem, rozpytywałem, szukałem. Niema nic.

— Cóż oni pisali?

— Krytyki pisali.

— I możesz mię o tem upewnić, ojcze?

— Słowem uczciwego człowieka. Informacye zbierałem od osób wiarogodnych a wtajemniczonych.

— Ha, ha, ha! — rozległ się po raz pierwszy od dawnego czasu szczery, serdeczny śmiech młodej kobiety.—W takim razie jestem uspokojoną zupełnie.

Ci dwaj są istotnie przepyszni!

ZEBRAK WIOSKOWY.

Dla oczu mieszkańca miast, nawykłego do żebractwa ulicznego, bogatego w typy i cechy charakterystyczne, wypełgła postać żebraka wioskowego nie przedstawia żadnego interesu.

W wielkich ogniskach ludzkich, pomiędzy tym, który jeździ karetą, a tym, który wyciąga rękę, jest niezmierna drabina stopni pośrednich. Jest tam dostatek rzeczywisty i pozorny, jest byt skromny a pracowity—są położenia trudne, ale dozwalające człowiekowi utrzymywać się na powierzchni życia,—jest nakoniec i bieda prawdziwa, ale pracująca i pełna nieraz godności; to też obok tych wszystkich stanów, klas i odcieni społecznych, ten który potargał względy, zerwał z pozorami nawet, pozbył się wstydu—ten koniecznie jakimś zupełnie odmiennym od

reszty prawom podlegać musi. Są w miastach żebracy profesyoniści—tak zwani z dziada pradziada, i tych każdy, kto się w życiu miejskim orjentuje jak należy, rozpozna na pierwszy rzut oka, ale nie brak tam i postaci, mogących zaciekawić w wysokim stopniu spostrzegacza bacznego—nie brak takich, które pozwalają domyślać się, że nie lada to tam walki, targania się i porażki być musiały w ich życiu, zanim się ta ręka po raz pierwszy po jałmużnę wyciągnąć ośmieliła. Jednem słowem obserwator wytrawny zawsze uważnie spojrzy w twarz tego, któremu na bruku miejskim daje kilka groszy.

Żebrak na wsi to zupełnie coś odmiennego; temu z pewnością nikt ciekawie przypatrywać się nie będzie. Pośród ludności, z której miłosierdzia żyje ten paria, nic go tak dalece nie wyróżnia. Zarówno ich, jak jego, jednaka okrywa siermięga, jeden i ten sam u wszystkich poziom umysłu, pod względem dostatku różnicy wielkiej niema, bo to, co ten wyżebrze dziennie blizkiem jest w każdym razie tego, co każdy z tamtych zapracuje, a te trochę więcej zaniedbania, którem

się żebrak odznacza, te nieodłączne od procederu akcesorya: broda siwa, kij i torba żebracza, od całego bytu szarego, od tego życia bez szczęścia, bez burz i namiętności zbyt rażąco nie odbijają. Gdybyś, spotkawszy postać podobną, zapytał o jej losy i przeszłość, to w dziewięćdziesięciu wypadkach na sto otrzymałbyś odpowiedź takiej mniej więcej treści: Pracował póki był trzeźwy, i żył jak inni, potem się rozpił i pracować przestał; teraz żebrze, ale o wiele gorzej nie jest mu, niż było przedtem, i on sam z pewnością ani tej zmiany nieodczuwa, ani jej sobie przykrzy nadmiernie.

Tak bywa w samej rzeczy w niezmiernej większości wypadków, i to prawdopodobieństwo oznaczyliśmy nawet stosunkiem dziewięćdziesięciu na sto. Od reguły jednak dopuszczalne są wyjątki, i oto jednym z takich właśnie był z pewnością ten, którego własnemi oczyma miałem sposobność oglądać przed laty.

Wogóle wśród tego mrowiska ludzkiego dobrze jest być przygotowanym na wszelką niespodziankę. Wszak na śmieciskach nie raz jeden znajdowano

perły kosztowne, ciche wody ukrywały nieprzewidywane głębiny, a natomiast tam, gdzieśmy pewni byli dramatycznych zawiłości, lichą farsą kończyło się wszystko. Posłuchajcież!

Parę dziesiątków lat minęło już od tych czasów, kiedy wypadało mi często bardzo przejeżdżać okolicą—jedną z najjednostajniejszych i najposępniejszych w naszym kraju. Dwadzieścia kilka mil długo ciągną się tutaj lasy odwieczne, a szeroki gościniec piasczysty, który je wtedy przerzynał, nie pozwalał znudzonemu wędrowcowi myśleć o jedynej możliwej uldze—o przyśpieszeniu podróży. Jechało się tamtędy długo, bardzo długo, noga za nogą, jak się to mówi u nas, i zawsze po kilku dopiero godzinach niewypowiedzianych nudów dobijały się strudzone konie do jakiegoś upragnionego dla nich miejsca wypoczynku. Tem miejscem bywała zawsze wieś, a raczej kolonia, położona na wielkiej piaszczystej polanie leśnej, która też od miejscowości owej najsłuszniej ochrzczoną została nazwą Międzylesia.

Do dóbr skarbowych należała ta osada, więc też nie tutaj było odpocząć znudzonemu jednostajnością leśną oku wędrowca. Rozwlekły rząd wyciągniętych na wiorstowej długości chat i budowli gospodarskich wedle jednego wzoru zbudowanych, brak zupełny obok siedziby ziemi żyźniejszej, ogrodu, zadrzewienia— tego wszystkiego, czem odznacza się zwykle posiadłość małego właściciela rolnego, odrazu przekonywały przejeżdżającego, że to wedle planu urzędowego powstać musiała ta osada, może być, że i racyonalniej pod względem ekonomicznym od naszej wioski urządzona, ale za to pozbawiona całkowicie tego uroku, który mieszkaniu człowieka nadaje jego osobista inicyatywa w wyborze miejsca, jego niczem nie krępowana swoboda, własny pomysł i własne upodobanie.

Nie było tedy w Międzylesiu nic, coby wioskę naszą przypominało, ale był dobrobyt i ten znać było na każdym kroku. Warunki, na jakich osady podobne były urządzone, pozwalały osadnikowi bogacić się, więc choć ziemia była uboga, ale ten, który żadnych z niej powinności

nie spełniał, koniecznie w krótkim czasie do zamożności przyjść był powinien. Tak też było i tutaj. Długi szereg osad, jedna od drugiej o równe sto kroków odległych, kończyła obszerna budowla, mieszcząca niezbędną przy trakcie karczmę, ztamtąd o kilkadziesiąt sążni poczerniały modrzewiowy kościołek z pochyloną od starości dzwonnicą, nakoniec plebania z ganeczkiem o czterech słupach i nieuniknionemi doniczkani gieranium i nasturcyi kwitnącej, wyglądających z po za czystych i mile zatrzymujących na sobie wzrok przechodnia, okienek proboszczowskiego pomieszkania.

Głębie leśne, które się tutaj znowu rozpoczynały, użyczały latem całej sadybie miłego chłodu, a zarazem nadawały temu zacisznemu ustroniu swojego rodzaju charakter szczególny a sympatyczny.

Czuć tu było tęsknotę, ale nie trąciło pustką; ze starganemi siłami, znużony wędrówką życia radby tu przyszedł człowiek odetchnąć i czekać końca ziemskich swoich przeznaczeń. Takie przynajmniej robiła na mnie wrażenie ta ustroń,

przylegająca do czarnej ściany wiekowej puszczy leśnej.

Pierwszy raz przejeżdżałem wtedy przez Międzylesie. Dzień był letni, upalny, południe zbliżało się, pominąć więc tej karczmy nie było sposobu, zwłaszcza że, jak mi powiedziano, do drugiej następnej na drodze mojej, prędzej, jak po czterech jakichś godzinach dojechać było niemożebnem. Przed nami taka sama ciągnęła się głusza sosnowa, jak ta, którą pozostawiliśmy po za sobą. Chciałem odpocząć w izbie karczemnej, ale mię wkrótce wypędziły ztamtąd muchy, specyficzny, takim tylko miejscom właściwy odór i hałaśliwa rozmowa kilku gospodarzy tutejszych, odprawiających pomimo powszedniego dnia swoją południową siestę szynkową. Choć dzień był upalny, wolałem ławę umieszczoną przed karczmą, niż pobyt w jej wnętrzu. Niedługo jednak pozwolono mi cieszyć się ciszą i samotnością moją, zaledwie bowiem oczy do spoczynku kleić mi się zaczęły, usłyszałem wrzaskliwy głos z wnętrza szynkowni:

— Oho Jasiek! patrzajcie, głupi Jasiek!

I wraz z tem paru podchmielonych już nieco próżniaków wiejskich znalazło się obok mnie. Najwyraźniej ten Jasiek jakiś stanowił rodzaj ucieszneg widowiska miejscowego, a że mi ono zkądinąd dobrze było znanem, że widziałem, jak się znęcać potrafi nad upadkiem i nieszczęściem zamroczone trunkiem prostactwo, więc powoli rozglądałem się za schronieniem jakiem nowem, i już mi nawet las niedaleki na myśl przychodzić zaczął. Nie zostało mi jednak czasu na wykonanie tego zamiaru. Postać jakaś od lasu zdążająca szybko zbliżała się ku nam, a tymczasem stojący na podsieniu karczemnem rozpoczynali swoje uwagi i komentarze.

— Powiadają, że on głupi, ale nie bójcie się—ma on swój rozum. Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć, żeby on jakiego przejezdnego prześlepił, a już pana każdego to sobaka węchem chyba poczuje.

— Ba! i jakżeście wy chcieli. Gospodarz potrzebuje wiedzieć swoje, organista

swoje, a na to mówiący, i taki przecie swoją dziadowską profesyję także znać powinien. To też on zna, i trza powiedzieć, że dziad z niego, jak się patrzy.

— No, niema gadania, jać mu przecie nie przyganiam, ale równie mógłby, i on być mówniejszy. Dwóch słów kanalia do człowieka nie powie.

— Jaki to z was dziwny człowiek! I co on będzie mówić, kiedy jemu się wyraźnie rozum pomieszał, i to widać, że nie od wczoraj, bo tak nie przymierzając, jakby niemowa był z kretesem.

— Niemowa nie jest, bo jużci to swoje, to on tam zawsze przecie mamrocze. Mało wiele powie, ale powie.

— Takie to i powiedzenie jego. Jedno mu tylko zostało w głowie i to powtarza, niby sroka. Żeby on był człowiek, jak i drugi, toby ci się przecie krzyżem świętym przeżegnał, Boga pochwalił, Zdrowaśkę chociaż zmówił, jak inne dziady, a on nie i nie.

Tymczasem nadszedł i ten, o którym mówiono. Spojrzałem uważniej: przedemną

stał człowiek, którego wieku oznaczyćbym nie potrafił w żaden sposób, bo i w twarzy i w postawie całej pełno było sprzeczności, które razem wzięte na żadną ocenę nie pozwalały. Odkrytą miał w tej chwili głowę i dokoła nagiej zupełnie czaszki widać było kosmyki białych włosów, a jednocześnie z całej postawy przeglądała siła, i zauważyłem, że idąc kijem swoim tylko z przyzwyczajenia się posługiwał, a ruchy miał żywe i energiczne. Takie same kontrasty w wyrazie fizyognomii: czoło pomarszczone jak u starca, a pod tem czołem błyszczało dwoje oczu dziwnie wymownych—powiedziećby można nawet młodzieńczych. Zresztą plecy przygarbione, broda biała zupełnie, kij w ręku i torba przez ramię skórzana, napełniona tym razem, przekonywała, że musiał już żebrak odbyć swoją codzienną po wsi pielgrzymkę i zaprowiantować się na dzień cały.

Kapelusz słomiany zdjęty z głowy skierował ku mnie, ale zgodnie z tem, co o nim mówiono przed chwilą, nie recytował zwykłych dziadowskich próśb, mających na celu wywołanie miłosierdzia,

nie odmawiał modlitw, oczekując na jałmużnę—stał i czekał.

Mnie też pilno było skończyć z tem wszystkiem, sięgnąłem do kieszeni i miedziany pieniądz włożyłem mu w kapelusz.

I teraz milczenie, jak poprzednio—ani słowa podzięki, ani jednego pacierza, jaki zwykle za powodzenie i zdrowie obdarowujących zwykli odmawiać żebracy. Byłby się był oddalił niezwłocznie, gdyby jeden z gospodarzy, któremu zależało widać na przedłużeniu sceny, nie był się zbliżył do niego i nie powiedział mu do ucha półgłosem:

— Nie odchodźcie Jaśku, to dobry pan, pokłońcie się pięknie, to dostaniecie jeszcze drugą dziesiątkę.

Żebrak nie był zdecydowany; stał w miejscu. Spojrzał mi tylko przelotnie w oczy dla przekonania się, czy skłonny jestem istotnie do powtórnego datku, a widząc z giestu mego, że się rzeczywiście na to zanosi, wyciągnął znowu kapelusz w moją stronę.

Druga dziesiątka znalazła się w kapeluszu za pierwszą, poczem tak zwany

głupi Jasiek schyliwszy się na znak podziękowania, zabierał się naprawdę do odejścia.

Ten, który stał obok niego, zatrzymał go za rękaw sukmany.

— Tak to odchodzicie, Jaśku? Przecie wy potraficie gadać. Powiedzcie panu, co umiecie.

Zatrzymywany opierał się; widocznie śpieszno i jemu było odejść, ale że trafił na upartego, więc dla pozbycia się rychlejszego powiedział półgłosem, nie podnosząc na mnie oczu.

— Oddam... oddam...

Chór śmiechu wszystkich trzech głosów przedemną i za mną stojących chłopów, poparty takimże wykrzyknikiem karczmarza, który wyglądając oknem całej krótkiej scenie się przypatrywał, powitał to szczególne w swoim rodzaju podziękowanie. Żebrak tymczasem, oddalając się, zmierzał prosto ku lasowi.

Co do mnie, niepewny zupełnie znaczenia tego jednego wypowiedzianego przez cały czas wyrazu, zapytałem, czy nie wiedzą obecni, coby on przez to chciał powiedzieć.

— A Bóg że jego wie, wielmożny panie, — była odpowiedź. — Odkąd go tu ludzie znają, nic innego pokraka jeszcze nie powiedział. Gadaj do niego co chcesz, a on ci na wszystko to jedno odpowie. Dzieci mu się sprzeciwiają, on powiada: oddam; kobieta, nieprzymierzając, chleba kawałek albo groszaków parę mu wyrzuci, on powiada: oddam. Zagadywali do niego różni tutejsi i przejezdni, probował i dobrodziej nieraz. Na nic! Więcej z niego nie wydębi nikt.

— Czy on tutejszy?—zapytałem.

— Ja nie wiem — odpowiedział karczmarz.—Sprowadziłem się tu przed dwoma laty i jego już zastałem.

Spojrzałem pytająco na resztę świadków ostatniej sceny, a jeden z nich biorąc na siebie objaśnienie mnie, w niewielu słowach się się z tego wywiązał:

— Niby tutejszy, a nie tutejszy. Dla młodych to jużci on niby ztąd jest, ale starsi ludzie powiadają, że dopiero we dwa lata po tej ostatniej biedzie on się tu zjawił. Zrazu odchodził na miesiąc albo i lepiej czasem, a potem uwidziało mu się, żeby zostać i został.

— A z czegoż on żyje?

— Ta, jużciż on tak zawsze, jak wielmożny pan widzi. Swoi dadzą – ten kawałek chleba, ten grosz jaki, pan przejezdny się trafi co jaki czas, a nie trzeba wielmożnemu panu powiedzieć, że niechaj jeno kobiecie jakiej dzieciak słabować zacznie, to się jeszcze sama za głupim Jaśkiem ogląda, żeby mu co wetknąć do garści. Zwyczajnie jak to u ludzi.

— E, kobiety to go niebardzo nawidzą—dorzucił inny.—Poganin z niego jakiś, powiada jedna i druga. Imienia Pańskiego od niego nie usłyszeć, do kościoła go też nie napędzi, a i Zdrowaśki jednej bestyjnik nie zmówi, jak mu dać trzygrośniaka. Kat jego wie, kto on taki.

— Kto ma być? głupi jest i koniec.

— Głupi, nie głupi... Żeby on głupi był z kretesem, toby jego tutaj nie było. Ma on swój rozum... ma!.

— Co tam jego za rozum taki. Toż i każde, na to mówiący, stworzenie Boskie woli do siebie, jak od siebie. Dyć to

i ta owca, nieprzymierzając, łakomiej skubie trawę przed deszczem, jak przed pogodą jutrzejszą. Tak i on... boi się to starości i zgarnia grosza co może, żeby nie zostać tak, i nie przymrzeć potem głodu. To on wie, ale więcej nic nie wie.

— Gadanie wasze takie niemądre, niby jak dziecka jakiego. Kiedy on taki głupi, to mu spróbujcie zajrzeć do jego torby—zobaczycie jak na was zęby wyszczerzy.

Zabierało się na sprzeczkę, mniej jeszcze zajmującą, niż była cała postać głupiego Jaśka zapewne, a ja, zobaczywszy konie gotowe do drogi, skoczyłem co prędzej na bryczkę i po kwadransie zapomniałem o Międzylesiu i jego mieszkańcach.

Kilkanaście jeszcze razy w ciągu roku przejeżdżałem tą drogą i za każdym razem jak najakuratniej stawiał się w Międzylesiu po swój haracz niemy żebrak. Nigdy od niego nie usłyszałem więcej nad ten jeden wyraz i przyszedłem do przekonania, że to jakiś nędzarz o zwichniętym umyśle musi być z pewnością.

Motywa, przyczyny, źródła takiego stanu, wyznaję, nie przychodziły mi na myśl, bo i ktoby tam sobie zaprzątał głowę takiemi sprawami; nawet lekarz-alienista nie zwykł sobie zadawać kłopotu, ile razy mu się chory podobny przytrafi. To tylko dla mnie było pewnością niezbitą, że ilekroć zjawię się w Międzylesiu, oglądanie tego dziwoląga nie ominie mnie i że dyagnoza ludności tej wioski trafną była zupełnie, to jest, że głupi Jasiek był głupim niewątpliwie.

Cokolwiek więcej światła spłynąć mi jednak miało niebawem na stan duszy tego biedaka, to jest o tyle więcej, że zupełna dla niego obojętność ustąpić musiała zaciekawieniu pewnemu; głupi Jasiek zaczynał mię teraz interesować. Stało się to przypadkowo zupełnie.

Pewnego razu przypadł mi w Międzylesiu odpoczynek w godzinach rannych. Siedziałem, jak zwykle przed karczmą, gdy niespodzianie uderzyła mię szczególnie postawa, wzrost i ruchy powracającego po mszy na plebanią miejscowego proboszcza. Czułem, że postać

ta dziwnie jakoś majaczeje we wspomnieniach moich, pośpieszyłem do karczmy, aby zapytać o nazwisko, powiedziano mi to samo, które miałem na myśli—jednem słowem z wielką przyjemnością dowiedziałem się, że ksiądz staruszek jest dawnym i bardzo blizkim mojej rodziny znajomym. Postarzał się przez te lata, jak widać bardzo, zmienił, niemniej był to ten sam człowiek, i w tej zaraz chwili zacząłem złorzeczyć niezaradności mojej, dzięki której tyle ciężkich i nudnych godzin spędziłem dotąd w karczmie Międzyleskiej, podczas gdy mogłem takiej przykrości najzupełniej uniknąć, a nawet te godziny do wyjątkowo przyjemnych zaliczyć. Ksiądz Piotr, niegdyś zakonnik, obecnie duchowny świecki, był jedną z najsympatyczniejszych, a nawet wielce szanowanych postaci pomiędzy ludźmi swojego stanu. Niewyczerpanej dobroci i słodyczy charakteru, oddany z całem przejęciem powołaniu swemu, usunął się w ten kąt zapadły i żył tutaj ze swoim smutkiem, obowiązkami, czekając swojej, jak się zwykł był wyrażać, wielkiej godziny.

Odnowienie znajomości naszej odbyło się szybko; starzec pamiętał mię bardzo dobrze, rad mi był niezmiernie—bo już to przyznać trzeba samotnikom wszystkim starego autoramentu, że dziwnie umieli oni godzić dobrowolną rekluzyę swoją z gorącą miłością ludzi i niezmordowaną chęcią służenia im. Nie wykluczało u nich jedno drugiego bynajmniej. Usunęli się w ciszę, bo w tej ciszy i w tym spokoju bliższymi się czuli Boga, ale że ich nie mizantropia skazywała na wygnanie, więc odludkami nie byli wcale. Gość u takich pustelników był zawsze miły i pożądany, i w tem, jak we wszystkiem, wierni oni byli zasadom społeczności, do której się wiekiem i obyczajem zaliczali.

Po godzinie rozmowy byliśmy już tak, jak gdyby nas nie dzieliło te kilka lat, zarówno dla niego, jak dla mnie, ciężkich. Ożywił się starzec, rozruszał, opowiadał mi o tem, co było, o teraźniejszem polu swojej pracy, które zawiodło do pewnego stopnia jego oczekiwania. Lud, zdaniem jego, nie był zły ani obojętny, ale nie przywiązywał się wcale do tych siedzib swoich, owszem, uciekał

z nich w okolice żyźniejsze, ztąd ubożenie kościoła, którego potrzebom, to co się do tutejszej parafii zaliczało, coraz trudniej zaradzić mogło. Pokazywał mi nawet to, co było dlań kłopotem prawdziwym a nie grymasił istotnie starzec, bo na pierwszy rzut oka znać było na każdym kroku brak dotkliwy, podtrzymywany tylko osobistym funduszem ubogiego parocha.

Skoro obszedłszy kościół i cmentarz, usiedliśmy na ganeczku plebanii, ujrzałem zbliżającą się ku nam postać Jaśka żebraka, który dojrzał mnie i tutaj, i szedł po swoją zwykłą daninę.

Kiedy już odchodził zaspokojony, ksiądz Piotr dodał niby w formie objaśnienia:

— To taki jeden biedak tutejszy.

Odpowiedziałem, że znany mi jest ten człowiek od jakiegoś już czasu.

— Ach! więc znasz go. To dobrze— to bardzo dobrze. Jeśli mu się przypatrywałeś, powiedz-że mi, co ty o nim myślisz?

— Obłąkany, jeśli nie upośledzony na umyśle od urodzenia.

— Tak sądzisz?

— No, cóżby innego przypuszczać można?

— Ja nic stanowczego powiedzieć nie chcę, ale przypatruję mu się już od lat pięciu z górą i mam pewne wątpliwości...

— Ksiądz proboszcz rozmawiał z nim?

— Rozmową tego nazwać nie można, ale widziałem go słuchającego, gdy ja mówiłem. Nie w ten sposób patrzy człowiek, który nie pojmuje tego, co słyszy; to twierdzę z całą pewnością.

— I o czem, jeśli wolno wiedzieć, mówił do niego proboszcz dobrodziej?

— — Widzisz, gniewało mnie zrazu to jego szczególne zachowanie się. Żebrak, żyjący z miłosierdzia ludzkiego, stroni od domu Bożego, toż to rzecz prawie niebywała u nas. Obowiązków religijnych nie spełnia żadnych, więc monitowałem go sam na sam. Cóż powiesz na to? rozbroił mnie wyraz skruchy, który czytałem na jego twarzy, gdy mię słuchał.

— Ale cóż on mówił—w ogóle, czy mówił cokolwiek?

— Skoro go widywałeś, to musisz wiedzieć, że on jeden tylko wyraz mówi, więcej też i ja nie wydobyłem z niego, a jednak...

— No, skoro on się i tutaj nie rozgadał, to już ja chyba mam słuszność, i to jest sobie zwyczajny tylko obłąkany albo idyota. Dlaczegoby miał tak uporczywie milczeć; tembardziej, że nieraz już znajdował się w warunkach, które powinny z niego były słowo jakieś wydobyć i zdradzić jego władzę myślenia, jeśli tę władzę istotnie posiada w jakimkolwiek stopniu. Sprzeciwiają mu się i drażnią go ludzie, powinien przecie coś powiedzieć—strofował go ksiądz proboszcz, to gdyby mógł się był usprawiedliwić czemkolwiek, z pewnością nie zaniedbałby tego. Zresztą, co mu przeszkadza chodzić do kościoła?

— Albo ja wiem co... musi mieć swoje powody jakieś...

— Ksiądz proboszcz chcesz koniecznie zrobić z niego istotę myślącą i rozumującą. To się chyba nie da.

— Widzisz, mój drogi, wy wszyscy niesłychanie prędko wyrokujecie o rzeczach

i ludziach, a to niezawsze dobre. Zaczekaj, nie protestuj· Co do tego człowieka ja mam swoje zapatrywania, gotówbym powiedzieć swoje przeczucia i domysły. To jest jakiś wypadek szczególny—wyjątkowy całkowicie. Ja przez lat czterdzieści wczytuję się w fizyonomię tego ludu i zdaje mi się, że jeśli nie czytam, to sylabizuję jako tako na tej książce. Jemu coś duszę uciska; to jest nieszczęśliwy—jeśli wolisz—rozpaczający człowiek, z pewnością nie waryat ani upośledzony na umyśle.

— Wedle tego, co jest u nich w takim razie zwykłem lekarstwem, powinienby szukać pociechy religijnej; dlaczego nie bywa w kościele?

— Albo ja wiem.

— Nie bywa, bo niechce, bo mu się tak uwidziało, bo może nie bywał nigdy.

— Niechce, powiadasz... a może nie śmie.

— Oh! to by coś niezwyczajnego było w takim razie, a rzeczy niezwyczajnych tak mało na świecie Bożym. Wie ksiądz proboszcz dobrodziej, ot jabym

rękę włożył w ogień za to, że on jest waryat albo idyota. I ja też przypatrywałem się twarzom ludzkim.

— Nie bądź taki skwapliwy z tą ręką; mógłbyś się sparzyć, a tym razem bodaj że napewno byś się sparzył. Słuchaj reszty: Cokolwiekbądź dadzą mu ludzie w pieniądzach, przyjmie, ale za te pieniądze nic nie kupuje, tylko co pewien czas przychodzi i oddaje mnie. Nie liczy tego, nie wie sam z pewnością, ile jest, ot tak sobie garścią wysypie na stół i odejdzie. Pierwszym razem, kiedy przyniósł, zapytałem go:

— Czy ci to schować?

Kiwnął głową i odszedł. To się powtarza parę razy do roku a ja prowadzę ten rachunek osobno; te jego wyżebrane grosze trzymam w opieczętowanej skarbonce. Na wypadek mojej śmierci jest tam w rozporządzeniu o tem wzmianka. Widzisz, to jest jedno.

— Czegóż to dowodzi? — przerwałem,—alboż to zwierzęta i owady nie robią zapasów? Instynkt pcha go do

robienia oszczędności. Dla mnie to zupełnie jasne.

— Gorączka z waszeci, taki sam gorączka, jak dawniej. Słuchajże jeszcze. Ja dałem polecenie w kuchni, aby o nim pamiętano; przychodzi, ale bardzo rzadko, jak widać wtedy tylko, kiedy nic nigdzie dostać nie może, ale trzeba ci wiedzieć, że przyjmuje tylko jeden chleb, i to czarny, innego nie weźmie. Próbowano z nim na różne sposoby, w dzień powszedni, postny, czy święta; zawsze on je tylko ten swój chleb i pije tylko wodę. O tem wiedzą ludzie. Jakże czy i to nie daje ci do myślenia?

— Nie, bo to także nieledwie że w harmonii z resztą. Alboż my wiemy, czy żył on kiedykolwiek w dostatku, czy zna wartość pokarmów więcej wyszukanych, i czyby jego zmysł smaku czuł się milej podrażnionym, gdyby spróbował czego innego oprócz swojego chleba.

— No, niełatwy jesteś do przekonania, ale może to zkądinąd i dobrze dla ciebie, chociaż powiem ci, że w tym wypadku upierasz się trochę wbrew oczywistości.

— Ależ nie, proboszczu kochany, — mówiłem, zabierając się do odjazdu, — z pewnością nie. To jest istota upośledzona z największą pewnością, z tem swojem „oddam“.

Przerwał mi ksiądz dosyć szorstko, jak na niego przynajmniej.

— Daj pokój temu: „oddam“. Bóg tylko jeden wie, co się pod niem ukrywać może.

Nie było co przekonywać dalej starca; zresztą, czyż rzecz sama przez się zasługiwała na to? Pożegnałem go, bardzo serdecznie zapraszany, abym go odwiedzał, ile razy przez Międzylesie przejeżdżać będę. Siedząc już na bryczce, przez ducha przekory zwróciłem się raz jeszcze i powiedziałem z uśmiechem:

— Ale Jasiek, proboszczu, idyota stanowczo.

— No, no! — pomruknął starzec, kreśląc za mną krzyż, jak to było u nas we zwyczaju dawniej.—Zobaczymy!

To były ostatnie słowa, jakie usłyszałem za sobą.

* * *

Podróże moje przez Międzylesie przerwały się niespodzianie. Nie było celu odbywania dalej owych dróg nużących, i przez trzy blizko lata nie widywałem tych lasów niezmiernych, tego gościńca szerokiego a prostego, tego monotonnego szeregu chat włościańskich, co mi było bardzo miłem i pożądanem, ale przestałem także spotykać się z sympatyczną dla mnie ze wszelkich względów postacią księdza Piotra, i o tem przypominałem sobie dosyć często. Za to powiedzieć mogę, że ten dziwaczny stary Jasiek ani razu nie przyszedł mi na myśl—że nigdy więcej nie zastanawiałem się nad tem, kto z nas dwóch—ksiądz Piotr czy ja, miał słuszność, upierając się przy swojem zapatrywaniu na stan jego umysłu.

Teraz, gdy po trzech latach wypadło mi niespodzianie znowu się wybrać po za sosnowe bory, mogę powiedzeieć, że wybierałem się ze szczerą—niekłamaną ochotą. Od pewnego już czasu uwidziało mi się, że staruszka księdza nie zobaczę więcej w życiu i przykro mi było bardzo, że sobie na kilkodniowy wyjazd pozwolić

nie mogę. Darmo! obowiązek trzymał, jak w kleszczach.

Przyjechałem do Międzylesia nocą, rozumie się wprost na plebanią, zastałem starca trochę więcej pochylonego, włos siwy zmienił mu się na biały, nogi suwały się z coraz większym wysiłkiem, ale był to zawsze jeden i ten sam duch spokojny, pogodny, oddany służbie Bożej i ludzkiemu pożytkowi. Przyjął mię wyrzutami pełnymi życzliwości, ugaszczał po swojemu, wypytywał i zapraszał do pozostania przez dwadzieścia cztery godzin przynajmniej.

Bez namysłu przyjąłem; w szczególnie kojący sposób oddziaływała na mnie obecność tego człowieka.

Kiedy po herbacie odprowadzał mnie do pokoiku, przeznaczonego raz na zawsze dla gości, pod wpływem ożywienia jakiegoś zapytałem wesoło:

— Cóż księże proboszczu? nie posprzeczamy się tam znowu o głupiego Jaśka?

— Chyba nie—odpowiedział, ale z takim szczególnym wyrazem twarzy, że

mimowoli poprzestać jakoś na tem wyjaśnieniu nie mogłem.

— Więc ksiądz proboszcz kapituluje?

— Jeden z nas z pewnością kapitulować będzie musiał—inaczej nie porozumielibyśmy się. No, śpij z Bogiem, będzie jutro czas na wszystko.

Przyznaję, że uderzył mnie taki ton zagadkowy starca; mówił do mnie tak, jak gdyby mi zachowywał jakąś niespodziankę, a przytem miał w wyrazie twarzy coś w rodzaju tryumfu. Ha! zobaczymy jutro,

To jutro rozpoczęło się dla mnie od wczesnego bardzo zbudzenia. W ogóle rano wstawał ksiądz Piotr, a dzisiaj miał swoje specyalne jeszcze po temu powody. Wprost z plebanii poszliśmy do kościoła. Już sam zewnętrzny wygląd tej poczerniałej i chylącej się niedawno jeszcze budowli, dzisiaj odmłodzonej, wzmocnionej, z nowym dachem i gustowną a doskonale zastosowaną wieżyczką, zastanowił mię bardzo. We wnętrzu ten sam podziw, bo wszystko nosiło na sobie cechy starania i zamożności, aż do

wybornej kopii Grottgerowskiej Madonny w wielkim ołtarzu, do której posiadania lat tyle wzdychał ubogi i zawsze zakłopotany proboszcz Międzylesia. Po za kościołem ta sama wszędzie metamorfoza. Dzwonnica nowa, niedaleko plebanii maleńki szpitalik z trzema łóżkami, zarządzany przez szarytkę, siostrę księdza Piotra, o parę lat młodszą od niego, i cmentarz ogrodzony, ku któremu zmierzaliśmy w tej chwili, a którego furtkę otworzył proboszcz, idąc przedemną szybciej, niż zwykle, i kierując się ku ścianie przeciwległej wejściu.

Tu zatrzymał się starzec i chwytać zaczął pośpiesznie oddech, a ocierać uznojone czoło; wyczerpały go te oględziny całe. Nie dosyć baczny na to znużenie, zapytałem:

— Albo spadek, albo wygrana na jakiej loteryi—wszak tak, księże proboszczu?

— Zaprzeczył ruchem głowy, a nie mogąc, jak widać, mówić jeszcze, uderzył kilka razy laską o płytę ciosową grobowca, przy którym staliśmy w tej chwili. Spojrzałem; na płycie krzyż,

korona cierniowa i palma. U spodu napis: „Większa będzie radość przed aniołami w niebie nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi.“ Nic więcej! Ani imienia, ani nazwiska!

Patrzyłem w twarz proboszcza, czekając objaśnień. Starzec kończył szeptać jakąś krótką modlitewkę, a przeżegnawszy się, oparty o płytę kamienną tak zaczął:

— W krótkich słowach opowiem ci wszystko. Rok minął w tym miesiącu, kiedy o tej samej godzinie co teraz, odmawiając w ganku pacierze ujrzałem zbliżającego się ku mnie Jaśka żebraka. Szedł wolniej, niż zazwyczaj, a możesz sobie wystawić zdumienie moje, kiedy stanąwszy przedemną powiedział głośno i dobitnie:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

Nie wiem nawet, czy odpowiedziałem, jak wypada. Tyle lat znać kogoś i wiedzieć, że on nie mówi, a naraz usłyszeć jego głos, to robi wrażenie.

On tymczasem wysypał garść jedną i drugą drobnej monety, przytem położył

obszytą w stare płótno paczkę jakąś i, schyliwszy mi się do ręki, głosem bardzo wzruszonym i rzewnym, najwyraźniej przez łzy tłumionym, powiedział:

— Prosiłbym też pokornie o spowiedź świętą. Bóg wszechmocny woła do siebie.

Opuścił się na kolana i zapłakał wielkim głosem. Pojmujesz, co się ze mną działo. Wpółprzytomnie odniosłem te jego biedne grosze i tę paczkę, zawołałem na kościelnego, żeby mu dopomógł wstać, bo widać było, że resztą sił się tu przywlókł. Przyszliśmy przed kościół, ale on mimo nalegań moich do wnętrza wejść nie chciał, a prosił, aby zwołać ludzi, bo on chce odbyć spowiedź publiczną.

Nie miałem prawa odmówić. Zadzwoniono; lud powoli zaczął napływać, a kiedy nas otoczono ze wszystkich stron, on rozpoczął wyznania swoje, i powiadam ci, że ja stary ksiądz, ja, co dwa lata byłem spowiednikiem więziennym, wielkiemu wzruszeniu oprzeć się nie mogłem. Lud zebrany zanosił się jednym wielkim płaczem. Lata całe nauk moich nie

zrobiły tego, co ta jedna godzina dokonała tutaj.

Oto treść tej spowiedzi. Był on niegdyś gospodarzem w stronach bardzo ztąd odległych, i tam przyszedł do niego pewnej nocy młody chłopiec, zupełnie mu nieznany. Oddał mu pakiet jakiś do przechowania i powiedział, że jeśli się nie zgłosi po to za pół roku, on będzie mógł wziąść sobie zawartość jego i zużytkować jako własność. Przyszedł za miesiąc, ale tego nieszczęśliwego szatan chciwości obłąkał. Pieniędzy nie oddał, a chcąc się pozbyć świadka i jak się obawiał oskarżyciela, do zguby jego się przyczynił. No, i zgubił go rzeczywiście — nieodwołalnie! Stało się nieszczęście.

Oddawna już gospodarstwo nie szło mu dobrze, więc zaczął brać z tych pieniędzy na potrzeby i tym sposobem wydał niespełna 150 rubli, ale w tym depozycie było więcej—o wiele więcej. To znaczna była suma. On nie porachował nawet wszystkiego, ale zapamiętał co do grosza to, co wziął dla siebie. Sumienie głuszył w sobie widać, jak mógł, ale

wystaw sobie, że w ciągu miesiąca zabrał mu Bóg żonę i dwoje dzieci, a w kilka tygodni potem zgorzała gospodarka cała. To wziął już rozumie się, za wyraźną oznakę kary niebios. Jak żył potem, jakie on tam walki ze sobą przechodził, można się domyśleć, skoro postanowił ostatecznie pokutować, a to miejsce odludne, chodząc po kraju, wybrał sobie za najodpowiedniejsze, bo tu o jałmużnę w pieniądzu najtrudniej, a on ślubował tak długo żyć o chlebie i wodzie i w milczeniu zupełnem, dopóki nie wyżebrze groszami kwoty, którą uronił, poczem wszystko miał oddać na kościół. No, i pomyśl sam: dwanaście lat blizko trwała ta jego męka, dwanaście lat! Jakiej to skruchy głębokiej, jakiej wiary i siły woli trzeba było, żeby wytrwać! W naszych czasach! Oto masz tajemnicę całą- Bo twój idyota, widzisz, zostawił mi do rozporządzenia wszystko i za te nieszczęśliwe pieniądze ja zrobiłem to, co widziałeś. Ale to, co jego już dziełem osobistem jest, to wielkie wrażenie, jakie taka pokuta i taka śmierć chrześcijańska wywarła na ludność

tntejszą, Zbieram ja owoce tego i zbierać będzie następca mój, dopóki pamięć o tym fakcie nie zaginie.

— Czy umierał spokojnie?

— Spokojnie i z ´zupełną ufnością w miłosierdzie Boże. Na chwilę przed zgonem mówił, że widzi przy sobie tego młodzieńca. Uśmiecha się, powiadał, i wyciąga ramiona ku mnie.

Nie widzę, mówił po chwilowej przerwie ksiądz Piotr z odcieniem smutku w głosie—nie widzę, żeby to na tobie zrobiło wrażenie. Wyście dziwnie przemędrkowali sobie wszystko. Słuchajże; zostawię ci jeszcze jednę zagadkę do rozwiązania. O kłamstwo mnie nie posądzisz, bo ci zresztą mojem kapłańskiem słowem poręczam prawdę tego, co powiem.

Umarł tego dnia, kiedy mi przyniósł resztę pieniędzy, jakie się od niego należały, aby dopełnić braku. Możesz sobie wyprowadzić z tego wniosek swój, to jest, że ten człowiek niepiśmienny prowadził rachunek przez lat dwanaście, albo, jeśli ci dogodniej będzie, objaśnij sobie

wszystko, tak nazywanym przez was, zbiegiem okoliczności. Była to reszta, ale pamiętaj, że reszta co do grosza.

Oto historya Jaśka żebraka. Spoczywa obok niego od kilkunastu już lat i ksiądz Piotr także na cmentarzu w Międzylesiu.

SPIS RZECZY.